ROK XXII.
Ogólnego zbioru Tom LXXXVIII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM IV — ZESZYT I.

1897
4

Październik.

WARSZAWA.

1897.

Druk Jana Cotty.

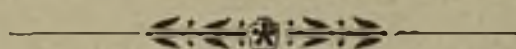
SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy **12.**

Druk ukończono d. 19 października 1897 r.

Percy B. Shelley.

EPIPSYCHIDION.



„Epipsychidion”, Shelley'a, to najwznioślejszy utwór najidealniejszego i najmniéj zmysłowego z poetów, a natchniony najczystszą z jego miłości, uczuciem dla pięknéj i nieszczęśliwéj Emilii Viviani! — W istocie losy jéj nieprawdopodobnie romantyczne, mogły zainteresować poetę. Młoda, urocza córka magnata włoskiego, została przez niego umieszczona — właściwie uwięziona — w klasztorze św. Anny w Pizie, dopóki ojciec nie wynajdzie odpowiedniego dla niéj małżonka. — Pędziła tam życie nad wyraz smutne. Śliczna, niezwykle inteligentna i poetyczna, była pozbawiona nie tylko wszelkiego towarzystwa, ale nawet książek, i zmuszona do znoszenia mnóstwa niewygód i przykrości. Dopiéro we cztery lata po przybyciu do klasztoru, poznała Shelley'a, z którego żoną zaprzyjaźniła się serdecznie. Oboje starali się o ile możności rozerwać biedną samotnicę i ulżyć w jéj smutném położeniu; na czas jakiś udało im się nawet zabrać ją do siebie. Wynikiem téj znajomości było gorące uwielbienie Shelley'a dla Emilii, które, w przeciwieństwie do zwykłego losu podobnych stosunków, zostawiło po sobie szczerą obustronną sympatyę i przyjaźń trwającą nawet wtedy, gdy Emilię ojciec wydał za jakiegoś majętnego obywatela w Maremmach. Po zamążpójściu życie jéj było również nie wesołe,

wkrótce dostała suchot i umarła w czas jakiś po tragicznym zgonie poety.

Została ona unieśmiertelnioną w cudownym utworze, który, jak sam jego tytuł wskazuje, ma być „poematem o duszy" i jest cały hymnem nieziemskiéj miłości.

Shelley, który miał umysł niezwykle skłonny do abstrakcyi i którego fantazya tworzyła zawsze obrazy nieuchwytne i trudne do zrozumienia dla przeciętnéj inteligencyi, nie umiejąc się nawet na prośby przyjaciół i bardzo kochanéj żony nałamać do wymagań smaku realniejszego, Shelley sam czuł dobrze, że poemat taki jak „Epipsychidion", nie może być popularny. Pisał téż wysyłając go z Włoch do swego wydawcy, Olliera .... „Życzę sobie, aby był wydrukowany co najwyżéj w stu egzemplarzach. Ci, którzy są w stanie odczuć i osądzić utwór tak zupełnie oderwanéj natury, nawet tak liczni nie będą z pewnością,—przynajmniéj między osobami, którym wogóle przyjdzie ochota do poznania utworu noszącego dziwaczny tytuł, a wydanego bezimiennie; nie byłoby mi zaś miło bynajmniéj, żeby go czytała publiczność pospolita. Jeśli pan ma coś przeciw wydawaniu tak niewielu egzemplarzy, ze względów praktycznych, to proszę, zechciéj Pan tylko rozdać odbitki poematu tym, którym to może sprawić jakąkolwiek przyjemność ...."

W kilka miesięcy późniéj poeta tak się odzywa w liście do jednego z przyjaciół:

„Epipsychidion", to tajemnica. Co się tyczy „krwi i kości", wiész zapewne, że tego rodzaju nie ma u mnie na składzie: oczekiwać odemnie czegoś ziemskiego i realnego, to tak jakbyś szedł po polędwicę do handlarza win. Prosiłem Ollier'a, aby to puścił w kurs tylko dla „wybranych"......

i ci „wybrani", przypuszczał, nie zrozumieją, dlatego téż dodaje, że ma zamiar napisać objaśnienie do poematu.

Nasi czytelnicy może zechcą policzyć się do „wybranych" i nie pozostaną obojętnymi na wzniosłość polotu ducha i na niezwykłą czystość uczucia jakim równych trudno rzeczywiście spotkać u największych nawet poetów. — Sienkiewicz przyrównał kiedyś poetę (wogóle) do kwiatu, który, dlatego, że piękniejszy i wonniejszy od innych, nie jest mimo to ochroniony od burz i łamiących wichrów, lecz przeciwnie, mogą mu one témbardziéj zaszkodzić. — Shelley wyjątkowo zdaje się przypominać te kwiaty, co rosną na górskich wyżynach i pod których stopami przepływają burze ziemskich namiętności. Dlatego téż z taką łatwością wzbija się on na szczyty niedościgłéj abstrakcyi,

na które nie każdy za nim podążyć zdoła. Ale, że użyję tu słów Konopnickiéj (wyrzeczonych o „Odzie do młodości”:)

„Kto go doścignie, będzie wielkim, ale któż byłby tak małym, aby go wcale nie naśladować?”

EPIPSYCHIDION.

Wiersze poświęcone szlachetnéj i nieszczęśliwéj pani E.(milii) V.(iviani) uwięzionéj w klasztorze..... (Św. Anny w Pizie).

L'anima amante si slancia fuori del creato, e si crea nell' infinito un mondo tutto per essa, diverso assai da questo oscuro e pauroso baratro [1].

Własne jéj słowa.

O! Pieśni moja! Drżę o twoje losy,
Bo wpośród ludzi niewielu się spotka
Zdolnych zrozumieć myśli twojéj głosy.
Jeśli przypadkiem dolą twą się stanie
W tłum zawędrować, co cię nie zrozumie,
O, ty ostatnie moje ukochanie!
Pociesz się sama, i rzeknij w tym tłumie,
Że oni głupcy, tyś piękna i słodka!

Przedmowa poety [2].

Autor niniejszych wierszy umarł we Florencyi wśród przygotowań do wyjazdu na jedną z najdzikszych wysp między Sporadami, którą kupił i gdzie urządził do mieszkania ruiny starego budynku; miał on nadzieję urzeczywistnić tam marzenie o sposobie życia zastosowanym

---

[1]) Dusza kochająca wydziera się z ciała i tworzy sobie w przestrzeni nieskończonéj świat osobny, zupełnie odmienny od ciemnéj i strasznéj przepaści, w której mieszka.

[2]) Co się tyczy téj przedmowy, Shelley pisał w liście do wydawcy: „Nie chciałbym, aby ten poemat uważano za mój własny; zresztą jestto rzeczywiście utwór cząstki méj istoty, która już umarła i w tém znaczeniu przedmowa nie jest tylko wymysłem wyobraźni.“

raczéj do tego lepszego świata, w którym teraz przemieszkuje, niż do naszych ziemskich warunków. Życie jego było szczególne, nie tyle z powodu przygód romantycznych, jakie go spotykały, ile dzięki pewnemu idealnemu tchnieniu, którem wskutek jego charakteru i uczuć owiane są jego losy. Poemat obecny, podobnie jak „Vita Nova" Dante'go, będzie zrozumiany przez pewną kategoryę czytelników bez objaśnienia okoliczności odnośnych; dla innych zaś pozostanie nazawsze niezrozumiałym z powodu, że brak im zmysłu do pojmowania tych idei, około których się obraca. Coprawda [1]) *„gran vergogna sarebbe a colui, che rimasse cosa sotto veste di figura o di colore rettorico, e domandato non sapesse denudare le sue parole da cotal veste in guisa che avessero verace intendimento.*

Poemat niniejszy zdawał się być zamierzonym jako dedykacya do dłuższego. Strofa pomieszczona u wstępu jest prawie dosłownem tłomaczeniem sławnego wiersza Dantego:

Voi, che intendendo il terzo ciel movete... etc. Zuchwałe zastosowanie ostatnich wierszy do swego własnego utworu wywoła uśmiéch kosztem mego biednego przyjaciela; niech to będzie uśmiéch politowania, a nie wzgardy!]

EPIPSYCHIDION.

O, słodki duchu! Siostro téj sieroty,
Co nosi imię niegdyś drogie Tobie [2])
W świątyni serca mego, jak na grobie,
Wieńca pamiątek składam zwiędłe sploty.

Biedna ptaszyno! Przez więzienia ściany
Próżno się skarży wciąż Twój głosik szklany
Zawodząc tęsknéj prośby skargę rzewną.
Serca oprawców Twych zmiękczyłby pewno,
Lecz go nie słyszą. O, mój uwielbiany
Słowiczku! Pieśń ta, jako róża blada
Będzie dla Ciebie; i choć już opada,

---

[1]) Wielki to wstyd dlatego, kto rymuje pod osłoną figur i ubarwień retorycznych, a gdy go o to proszą, nie umié słów swoich obnażyć z téj szaty, aby się stały zrozumiałemi.

[2]) Prawdopodobnie Marya Shelley, żona (druga) poety, która straciła matkę wkrótce po swém urodzeniu, a którą bohatérka poematu często nazywała siostrą.

Z bledziuchnéj główki jéj płatek za płatkiem,
Lecz pachnie słodko — (bo kwiat zanim skona,
Śle duszę z woni czarownéj ostatkiem) —
I żadnym cierniem nie zrani Ci łona.

Próżno wzlatujesz, duszyczko skrzydlata,
Twych myśli rajskie piórka wnet opadną,
Gdy pokaleczy je więzienna krata,
I zakrwawiona osuniesz się na dno,
A na twéj piersi skrzepną krwi jagody.
Cóż z łez mych? Ulgi Tobie nie przynoszą,
Och! krew serdeczną oddałbym z rozkoszą,
By ci okupić chwileczkę swobody!

Aniele z nieba, zbyt piękny dla świata!
Niewieścich kształtów Twych cielesna szata
Przesłania światłość ducha, co w niéj gości.
W tym świecie przekleństw pełnym i podłości
Tyś jest promyczkiem, wszechmiłości bożéj,
Tyś gloryą światła wśród ciemnych przestworzy,
Wśród chmur posępnych twarzyczką miesiąca,
I gwiazdą w burzy. Jako w blasku słońca,
Tak w czystém świetle twojego wejrzenia
Ziemskich się kształtów postać rozpromienia
I nawet przędza słów mych, biedna, niska
Ogniem błyskawic przed tobą wytryska!
Błagam Cię, z pieśni mojéj zetrzyj zmazę
Ziemskiego pyłu i przez chwilę jedną
Spuść na nią rosę łez, od których zbledną
Twe oczy. Gdy zaś ból zmienisz w ekstazę,
Wtenczas uśmiechnij się o Pani biała,
I spojrzyj na nią, aby nie skonała.

Nie spodziewałem się, idąc przez życie,
Że spotkam marzeń młodzieńczych odbicie,
Gdy na skalistéj drodze czystą lilią
Wykwitłaś nagle przedemną. — Emilio,
Kocham Cię! choć świat nie znajdzie nazwania,
Co miłość taką przed wstydem osłania.
Och! Czemuż wyrok losu nas nie stworzył
Dziećmi u jednéj matki? i dlaczego

Nazwisko, które-m u stóp innéj złożył,
Nie zadzierzgnęło węzła siostrzanego
Pomiędzy Wami? Lecz cóż mi po słowie
Marném, gdy żadne imię nie wypowié,
Jak bardzo jam Twój. Przez Boga na niebie! [1])
Nie jestem twoim, jestem cząstką Ciebie!
Tyś moje światło! Z duszą uskrzydloną
Wzlatam ku tobie, lecz skrzydła mi płoną
I opadają, jak martwe narzędzie.
Myśl ma do Ciebie, jak pienie łabędzie
Ostatnim lotem wzbija się i kona
W pieśni bezsilnéj. O Ty, niesplamiona! —
Ty, mój anielski duchu przebaczenia
Podobny światła mistycznéj krynicy,
Która blask szczęścia roznieca w ciemnicy,
I rozdźwięk w cudną harmonię przemienia! —
Uśmiechu wpośród chmur! — Łagodny dźwięku
Wśród dzikich głosów i rozpaczy jęku! —
Gwiazdo w zamęcie nieruchomie tkwiąca!..
Miłość na duszy twojéj, jak na lutni,
Pieśń ukojenia śpiéwa tym, co smutni. —
Słówko twe każde nakształt szczęścia gońca,
Co jak pisklątko, nie wzbija się lotem,
Ale słodziuchnym upaja szczebiotem.
Ukryty skarbie pociechy! Ach, w tobie
Wszelki ból ludzki przepada, jak w grobie
I w smętne fiołków zamienia się kwiecie.
Napróżno szukam w wyobraźni świecie
Porównań godnych ciebie, wszystkie gasną,
Nic nie znajduję, tylko niemoc własną!

Smutny, błąkałem się przez ciemne życie,
Gdy mię spotkała, jak promień o świcie
I na przepaści zwątpień stromym brzegu
Złote nadziei ukazała wrota,

---

[1]) Przekład dowolny. Shelley, który był zaciekłym ateistą, nigdy prawie w swych poezyach nie wspomina imienia Boga. W oryginale jest daleko prostsze zaklęcie „ah me“, nie dające się na polskie przetłómaczyć.

Przyp. tłóm.

Śmielsza i lżejsza niż górska kozica,
Mieszkanka szczytów, gdy zawiśnie w biegu
Ponad otchłanią. — Boska jéj istota
Przeświecać zdaje się przez śnieżne lica,
Jak w mgieł wiosennych przejrzystéj zasłonie
Roztopion w blade tęcze, księżyc płonie.
Usta jéj, — niby hyacynt różowy,
Co się kroplami perli słodkiéj rosy —
Zlekka dźwięcznemi rozchylone słowy,
Co są jak pieśni zaświatowéj głosy
Przez sen słyszanéj w gwieździstéj krainie,
Gdy już szał zmysłów w upojeniu ginie.
Z cudnych jéj oczu tryska zdrój świetlany,
Co błyskawicą myśli rozniecany
Z niedosięgnionéj głębiny jéj ducha
Snopem promieni nazewnątrz wybucha,
I w świat wystygły, spojrzeniem anioła,
Ciepło i światło rozlewa dokoła.
Postać jéj nakształt lekkiego utkania,
W ruchu i światła, marzeń i kochania,
W którém wstydliwie nawpół się przesłania
Różana krasa, i w białości tonie,
Twarz ozdabiając, paluszki i dłonie.
(Tak mleczna bladość poranku, co świta
Purpurą jutrzni różowo zakwita).
Drżysz, że rozpłynie się w tém pięknie świata,
Które go zewsząd przenika, oplata...
Ledwo widzialna, tak bardzo urocza.
Wkoło subtelne ulatują wonie
Z luźnych kędziorków pieszczących jéj skronie,
I z ciężkich splotów bujnego warkocza,
Z fałdów jéj jasnéj sukienki. Ach! dusza
Nieznanym dreszczem przy niéj się porusza,
Jak pączek ścięty mrozem, gdy mu w łono
Padłszy, wiosennéj rosy krople toną.
Oto stanęła! Jak gdyby zaklęta
W cielesne kształty piękność niepojęta; —
Promienna, jakby sen o szczęściu złoty, —
Jak żywe źródło nieziemskiéj tęsknoty, —
I jako światło księżycowe białe,
Co koi życia fale rozszalałe, —

Jak wiosennego poranka wcielenie,
Który zapędza mroźne zimy tchnienie
Śmiechem i łzami aż w upalne ciemnie
Letniego grobu...
Ach! Szaleniec ze mnie!
Dokąd się wdarłem? Jestem na tym szczycie,
Zkąd zejść nie można, chyba tracąc życie.
Blask nieśmiertelnych prawd na własne oczy
Widzę, i czuję bodaj jedną chwilę,
Że i najlichszy ten robaczek w pyle
Przez cześć i miłość z Bogiem się jednoczy! —
Małżonko! Siostro! Aniele skrzydlaty,
Co mię prowadzisz przez zwątpienia światy!
O Ty! zawcześnie uczczona przezemnie,
A ukochana zbyt późno daremnie!
Ducha mojego było przeznaczeniem
Między obszary gdzieś nieśmiertelnemi
Napotkać ciebie, albo tu na ziemi
Snuć się za tobą twéj istoty cieniem.
Ja ciebie kocham! i czuję ze drżeniem,
Jak w głębi serca wzruszeń czystych zdroje
Wzbierają tajnie, by na słowo twoje
Wytrysnąć łzami. — Myśmy utworzeni
Jak dźwięki, które wibrują w przestrzeni
I choć odmienne, zlewają się razem,
By stać się jednéj harmonii wyrazem.

Tyś mię uczyła stanąć, jak na skale
Latarnia morska, świecąca na fale,
By wzniosłe dusze chronić od rozbicia.
Nie mogę pojąć téj mądrości życia,
Co nakazuje wybrać z pośród tłumu,
Albo kochankę, albo przyjaciela,
Którym się z głębi swéj duszy udziela
Skarbów uczucia, zdobyczy rozumu,
I resztę ludzi puściwszy z zasady
W chłodną niepamięć, iść płytkiemi ślady
Nierozerwalnym spojony łańcuchem
Z sercem częstokroć pustém, albo suchem.

Wieczna miłości prawdziwéj istota
Tém się odróżnia od gliny i złota,
Że choć ją dzielić, nic z niéj nie ubywa.
Miłość jest jako ta świadomość żywa,
Która tém więcéj światła wciąż zdobywa,
Im więcéj prawdy w jéj głębie upadło. —
Jak wyobraźni cudowne zwierciadło,
Które z państw ducha i z nieba i z ziemi
Promienie zbiera swojemi pryzmaty,
Ażeby potém blaski tęczowemi
Zalewać szersze przestrzenie i światy,
I śląc jak słońce swoje strzały jasne,
Zgładzić robaka ciemnoty. O! ciasne
Serce, co kocha istotę jedyną,
Umysł, co jedno tylko zdolny tworzyć!
We własnych dziełach nie dano im ożyć
I w żywym grobie na wieki zaginą!

Duch tém odmienny jest od swéj postaci,
Dobre od złego, wszystko, co szlachetne,
Wzniosłe, od tego, co kruche i szpetne,
Że nigdy nawet cząstki nie utraci
Z istoty swojéj. — Ból może potrosze
Zmniejszać się, znikać, aż z niego zostaną
Tylko popioły. Lecz ducha rozkosze,
Jak feniks, wiecznie nowe zmartwychwstaną,
I choć na milion drobnych cząstek pękną
W każdéj odrodzi się całości piękno.
Z téj prawdy w ciągu wieków objawianéj
Mędrcy nadziei czerpią talizmany,
Ona to bladém światłem opromienia
Tę drogę życia pustą i jałową,
Kędy wędrowiec z pochyloną głową
Idąc, siew rzuca przyszłego istnienia.

Duch mój błąkając się kędyś wśród cieni
Pól elizejskich, spotykał w przestrzeni
Swoich wędrówek niebiańską Istotę.
Młodzieńczych moich snów rojenia złote
Opromieniała jéj postać urocza;
Wśród łąk mistycznych cudnego przezrocza,

I hen daleko ponad śnieżne szczyty
Rubinowemi zapłonione świty
Zórz zaświatowych, zjawiała się w bieli
Na złotych blasków ruchoméj podścieli
Stąpając lekko. Na samotnéj skale
Nad oceanem tajemnic wszechbytu
Stawała w gloryi promiennego świtu
Tak, żem olśniony nie widział jéj wcale.
Kiedy błądziłem po samotnym lesie,
Słyszałem, jak się ku mnie głos jéj niesie
Z fontanny jękiem i liści pogwarem.
Kwiaty szeptały drżeniem cichych woni
Rozkochanemu powietrzu wciąż o niéj.
Letnie powiewy i chmurki w przelocie
Jéj postać niosły z sobą. I w świegocie
Ptaszków i w świetle i w ciszy i w ruchu
I w roztęsknionym własnym moim duchu,
W przyrodzie, w sztuce, w świata pięknie całem
Zawsze i wszędzie ją tylko widziałem.
W głębiach téj szczytnéj myśli poświęcenia,
Co nędze życia w blask męczeństwa zmienia,
Duch jéj był nakształt prawdy objawienia.

Z młodzieńczych dumań mych głębi ponuréj
Rwałem się wtedy ognistemi pióry,
By lecieć do niéj, méj gwiazdy północnej.
A byłem przy niéj jako motyl nocny,
Co w wieczornego zmierzchu świetle szarem
Goni za łuny zachodniéj pożarem,
Wątłych skrzydełek przeceniając siłę,
I chce tam znaleść płomienną mogiłę,
Jakby te blaski, które płyną od niej
Były światłością mdłą ziemskich pochodni...
Wtenczas modliłem się do niéj. Daremno!
W obłoku światła, przepasanym w tęcze,
Gdzieś przepływała daleko na niebie,
I już się miałem rzucać w otchłań ciemną,
Aby dosięgnąć ją, kiedy nademną
Ozwał się jakiś głos: Biedny szaleńcze,
Ta, któréj szukasz, jest tu, obok ciebie.

Gdzie? zapytałem, lecz ciemne otchłanie
Własne mi tylko odniosły wołanie.
Wiatrów powietrznych pytałem się o nią
I wciąż wzywałem rozpaczliwym głosem,
Aby, jak bóstwo, z wyciągniętą dłonią
Nad myśli moich stanęła chaosem.
Uczynić światło. Próżno! Więc uciekłem,
I z wrącém w duszy méj rozpaczy piekłem
Wpadłem w ten ciemny bór pełen manowców,
Co życiem zowią. Tam w tłumie wędrowców
Patrzyłem tęskny, czy podobną do niej
Zdołam napotkać. Ujrzałem: w ustroni,
W błękitnym zmierzchu stała postać cudna,
Kształtem zdawała się być jedną z bogiń,
Głos jéj podobny był słodkiéj truciźnie,
Co skrytym jadem do serca się wśliźnie;
Uśmiech upajał, jak woń kwiatów złudna,
A z pod jéj powiek dziwny tryskał ogień.
Za jéj dotknieniem, przy dźwięku jéj mowy,
Stanąłem nagle zmieszany i drżący;
Na widok białéj piersi falującej
Płomień ogarnął mnie od stóp do głowy,
Uczuć młodzieńczych pączek nierozwity
Wnet niszczącemi przepalił zachwyty
I jak siwizną ponad młodém czołem
Świeże listeczki przysypał popiołem.

. . . .

Próżno wśród ziemskich istot się starałem
Spotkać z tym myśli mojéj ideałem.
Piękność? — przeminąć może z każdą chwilą.
Widziałem mądrość — słowa często mylą,
Spotkałem wierność—och, czemuż nie do mnie
Była zwróconą! Więc się nieprzytomnie
Me biedne myśli w głąb własną rzuciły.
Jak ranny jeleń, gdy mu zbraknie siły,
Aby uciekać, tak i ja stanąłem
Blady, zdyszany, z pochyloném czołem,
I nawet chłodnéj promienie jutrzenki
Drżały litością dla téj srogiéj męki.

Wtém na méj drodze stanęła dziewica
Taka podobna do mego marzenia,
Jak w letni wieczór, gdy się rozpromienia
Na bladém niebie jasna twarz księżyca
Podobna słońcu. — Jak srebrzysta Dyana,
Perła szafirów, chłodna, nieskalana,
U szczytu niebios królująca dumnie,
W słodkim się blasku ześliznęła ku mnie;
I jako Dyana ponad Endymionem
Cicho stanęła z czołem pochylonem.
A ja u stóp jéj, pogrążony we śnie
Drżałem ze szczęścia, lub łkałem boleśnie,
Czując, czy wzrok jéj smutny, czy pogodny;
I jak odbija się na fali wodnej
Obraz księżyca drżący, migotliwy,
Odzwierciedlała się jéj dusza we mnie.
Och! Czemuż wtenczas umarły lub żywy
Nie byłem, tylko uśpiony tajemnie!
I usłyszałem, jak na jéj wezwanie
Życie ze Śmiercią, jak siostry bliźniacze
Przylatywały nad moje posłanie
Szepcząc: on nie nasz, niech tutaj zostanie!
Płakałem; i choć to sen, znowu płaczę!

Ach! Jakie wtenczas snów ponurych ciemnie,
Jakie się burze rozszalały we mnie
I bladą moją przesłaniały Dyanę!
Jak potém uczuć fale rozhukane
Mrozem rozpaczy méj stanęły ścięte,
A spodem prądy szalone, zamknięte
Wyjąc, wstrząsały skorupę lodową,
Tego nie powiem. Chyba każde słowo
Jękiem skazańców piekielnych się stanie,
A każdy wyraz przemieni się w łkanie!

Wreszcie, uśpiony gdzieś w puszczy gęstwinie
Uczułem, że jéj postać do mnie płynie
I poprzez suche gałęzie i ciernie,
Jak złota zorza prześwieca niezmiernie,
Budząc do życia zimową przyrodę.
Z pod stóp jéj kwiatki wytryskały młode,

Jak pierwsze myśli miłości nieśmiałéj;
Fale powietrzne dokoła niéj drżały,
Jak struny harfy zlekka rozdzwonionéj,
A kędy przeszła, tam topniały szrony
I cichnął nagle wicher rozszalały.
Wreszcie, jak promień słońca przemieniony
Ze światła w miłość, weszła w tę jaskinię,
Gdzie spałem, by mię powołać do życia:
Zbudziła iskrę ducha w martwéj glinie,
Jak błyska płomień wśród dymu spowicia...
I rozświetlony w blasku jéj urody
Stanąłem przed nią, i podniosłem oczy
I wzrok na sobie spotkawszy przezroczy,
Próżno szukaną poprzez wiek mój młody
Postać mych marzeń poznałem w téj chwili.
To była ona! To postać Emilii!

. . . .

Bliźniacze światła, które panujecie
Nad mojém sercem, jak na małym świecie.
Dla was on w bujne ustraja się kwiecie,
Lub we mgłach tęsknot kryje się i jęczy,
Lub przez łzy śmieje się uśmiechem tęczy.
Bądźcie dla niego, jak te dwa ogniska,
Z których wciąż jedno lub drugie rozbłyska
Na niebie, blaski zsyłając na ziemię,
Strojąc ją w perły, jeśli cicho drzemie,
Lub w płaszcz ze złota, róży i szkarłatów,
I wciąż kierując ją wśród roju światów.
Tak wpośród prądów gwałtownych uniesień
Przez skwarne lato i przez chłodną jesień
Wiedźcie mą duszę pod lodowe wrota
Śnieżnego grobu. Tam niech śpi ukryta,
A gdy powróci znowu wiosna złota,
Jeszcze cudniejszém kwieciem niech rozkwita.—
I ty, kometo świetna i wspaniała,
Coś na mym widnokręgu zajaśniała,
I przyciągnąwszy biedne serce moje,
Znów odleciałaś pomiędzy gwiazd roje,
Ono zaś odepchnięte w pustce głuchej
Z żalu się w drobne rozprysło okruchy,

O! błagam ciebie, wróć do sfery mojej!
Słońce cię w cudne brylanty ustroi,
A rozkochane lice księżyc złoty,
Zanurzy w jasne twych warkoczów sploty;
Gwiazda wieczorna wraz z rumianą zorzą
Będą cię czciły i w ofierze złożą
Promienne blaski...
O, ty moje bóstwo!
Nie patrz z pogardą na słów mych ubóstwo,
Przyjmij te kwiaty myśli! Każde słowo
Pod Twojém okiem rozkwitnie na nowo,
Jak czarodziejska paproć w noc czerwcową!

Oto dzień nadszedł, gdy ulecisz ze mną!
Będziesz mi siostrą, póki jeszcze muszę
Dźwigać do czasu tę powłokę ziemną,
Lecz tyś wybrana już przez moją duszę
Oblubienica; nadeszła ta chwila,
W której nareszcie Twoje pęta skruszę.
Oto wieczorna gwiazda się wychyla
Z rąbków błękitu; blade jéj promienie,
Szukając próżno bledszéj od nich twarzy,
Dziś pustē tylko oświecą więzienie.
Przez gęste mury, mimo pewnéj straży,
Miłość swobodną drogę ci otwiera,
Jak błyskawica, co chmury rozdziera,
Tak nieuchwytna, jako wolne tchnienie
Powietrza, które wypełnia przestrzenie;
I zbliża się, nakształt śmierci anioła,
Przed którym nic się obronić nie zdoła,
Mniéj groźna odeń, lecz bardziéj wspaniała:
Nietylko duszę oswobadza z ciała,
Ale wywyższa ją ponad cierpienie,
Znikomych bólów rozpraszając cienie,
Dźwigając serce z ponuréj otchłani
Zwątpień i czarnych snów...
O, moja pani!
Okręt się teraz kołysze w przystani,
A wiatr pagórkom zlekka pieści skronie;
Jest ścieżka w morza lazurowém łonie,

Któréj nie pruły jeszcze nigdy łodzie; —
Ptastwo się morskie trzepocze na wodzie,
Nim na wysp brzegi chmarami opadnie.
Morze pogodne uśmiécha się zdradnie,
Blaskiem opali kryjąc przepaść ciemną, —
Powiédz mi siostro, czy chcesz płynąć ze mną?
Łódź nasza chyżo za wiatrem pogoni,
Jak śnieżna mewa po błękitnéj toni;
Siądziemy razem między jéj skrzydłami!
Dzień zgaśnie, mrok się roztoczy nad nami,
I znów się niebo świtaniem zabieli,
I zorza wejdzie, gdy będziem płynęli...
...Jest wyspa hen pod niebiosy jońskiemi
Cudna, jak raju zakątek na ziemi.
Nieznana światu, bo nie ma przystani,
Pustynią byłaby, lecz żyje na niéj
Naród pasterski niewinny, a śmiały,
O prostéj duszy, czystéj jak kryształy,
Jasnéj, jak greckie powietrzne przestworza.
Błękitne fale Egejskiego morza
Opierścieniły ten kącik wybrany,
A szmery, blaski i śnieżyste piany
Całują piasek wilgotny wybrzeża.
Nad wyspą lekki powiew się rozszerza,
Do snu kołysząc ją w ciche wieczory.
Tam w gąszczu leśne przemieszkują twory,
Tam zdrój dyamentów tryska wśród zieleni
I w tysiąc kropel tęczowych się mieni,
Tam lekkie stopy płochliwych jeleni
Krętéj ścieżynki wydeptały ślady,
Wiodąc w jaskinie, kędy bluszcz zielony
Na dół się zwiesza bujnemi festony,
A na mchu ciemnym przejrzyste kaskady
Wtórują szmerem spadającéj fali,
Gdy słowik rzewną piosenką się żali.
Ach! Tam powietrze przesycone wonią,
Którą w upale południowym ronią
Kwiaty pomarańcz. Tam z miękkiéj kolebki
Mchów aksamitnych, wyglądają łebki
Fiołków i żółte narcyzów korony.
Tam to wędrowiec staje odurzony

I z woni upajających zmieszania
Przytomność traci i prawie się słania.
Tam w każdéj barwie, dźwięku i promieniu
Zda się, że dusza rozpoznaje echa
Pieśni słyszanéj kiedyś w przedistnieniu...
Wysepka w blasku słońca się uśmiecha
Tak zawieszona w przejrzystym lazurze
Cudnego nieba, powietrza i wody,
Nakształt oazy szczęścia wiecznie młodéj.
Czasem ponad nią przelatuje w górze
Anioł zniszczenia, klęski wlokąc brzemię,
Ale nie zstąpi nigdy na tę ziemię
Zawsze szczęśliwą. I skrzydlate burze
Pędząc na wichrach, wśród piorunów zgrzytu,
Pozostawiają szczelinę błękitu
I pasmo ciszy ponad tą krainą,
Lub się w perłowych łez strugę rozpłyną,
Która pagórków złotą zieleń rosi.
Dokoła wyspy z morza się podnosi
Lekkich oparów różana i blada
Zasłona, tworząc przejrzyste spowicie,
Które od słońca promieni opada.
Wtenczas, podobna nagiéj Afrodycie,
Wyspa powstając z ozłoconéj toni
Cała się wstydem i miłością płoni.
Ale, jak lampa ukryta w podziemie,
W łonie téj ślicznéj wyspy dusza drzemie,
Wiecznego piękna nieśmiertelny atom,
Co niewidzialny objawia się światom,
I w ciemnym lesie i na modréj fali,
I w skał martwocie skrę życia rozpali.

Wpośród téj cudnéj przyrody się chowa
Opustoszała, lecz piękna budowa,
Co w górę smukłą wieżycę swą wzbija.
Żaden z mieszkańców wyspy nie wié, czyja
Ręka ją wzniosła; lecz niesie podanie,
Że przed wiekami był na oceanie

Wielki i mądry król, którego żona
Upodobała ten śliczny zakątek.
Dziś z jéj pałacu został tylko szczątek,
Ale potężny: ze skalnego łona
Wyrasta w górę lekki i wspaniały,
A wieża szczytem swéj kamiennéj strzały
Sięga wysoko nad zieloną puszczę.
Tam zamiast ozdób sztucznych, wiotkie bluszcze
Z dzikiego wina gałęźmi splątane
Ruchomym wzorem urzeźbiły ścianę.
Kwiat pnącéj róży i łzawych powoi
Zamiast klejnotów białe gzymsy stroi,
A gdy opadnie, w oknie opuszczonem
Martwe szypułki okryją się szronem,
I tworzą kratę srebrzystą, zza któréj
Na tych posadzek paryjskie marmury
Zimowe słońce, lub blade promienie
Księżyca, kładą przeróżne desenie...
Rzuć okiem na dół, stojąc na terasach,
Wszędy, gdzie sięga wzrok, ocean z ziemią
W swoich objęciach leżąc, słodko drzemią
I śnią o chmurach, kwiatach, drzewach, lasach,
A my, w uśmiechu ich widząc to wszystko,
Rzeczywistością mienimy... zjawisko.

W śliczném ustroniu tém kilka pokoi
Poświęcić pragnąłbym dla pani mojéj,
Tam złote światła porannego zdroje
Potoki słońca leją w okna twoje,
Powiew z nad morza faluje tam chłodno,
Jakby cień fali ponad falą wodną.
O czém zamarzysz, to wszystko tam będzie:
Książki i nuty, muzyczne narzędzie,
I zaklęć naszych cudownym wyrazem
Przeszłość i przyszłość wywołane razem
Staną przed nami. Tak niechaj dni życia,
Wpośród rozkoszy duchowych użycia
Płyną nam cicho w upojeniu takiem,
Co zaświatowych jest uciech przedsmakiem.
Czegóż nam trzeba? Zbytkami psuć szkoda,
Co ustroiła tu sama przyroda,

I w puste leśne rzuciła obszary
Ruchliwéj dziatwy swéj życie i gwary:
Synogarlica w altanie bluszczowéj
Grucha miłośnie. Wieczorami sowy
Latając ciężko w koło staréj wieży
Łopocą skrzydłem; stada nietoperzy
Wypełzłszy z kątów, kiedy gwiazdy wschodzą,
Dziwaczne tańce o zmroku zawodzą.
Nocą zaś w blasków księżyca powodzi
Rogaty jeleń wspaniale przechodzi
Patrząc, czy w drogę nie wbiegnie mu łania
Wysmukła, z liści uciekłszy posłania.
Gdy lata przędzą coraz nowych pasem
Jesienną drogę życia nam usieją,
Staniem się wyspy téj duszą, nadzieją
Nieśmiertelnego istnienia. Tymczasem
Pójdziemy razem pod niebios błękity,
Na jasne łąki, na omszałe szczyty;
Aż hen wysoko, gdzie niebo się skłania,
Ziemi wietrzyków śląc pocałowania;
Będziem błądzili przez wybrzeża piaski,
Co drżą i mienią się wciąż błyskotliwie,
Gdy je ruchoma fala pieści tkliwie.
A wszystkie drżenia te, barwy i blaski,
Wszystko to nasze i do nas się wdzięczy,
Igrając w słońcu kolorami tęczy.
Nam zaś, w błękitach czystych zachwycenia
Zda się, że dusza się w nas rozprzestrzenia
I całe piękne wszechświata ogarnie,
Sama w piękności tonąc oceanie...
I żyć i kochać jedném nam się stanie.
...Kiedy południe rozpali się skwarnie,
Pójdziemy razem gdzieś w jaskini głębie,
Gdzie szron srebrzysty, jak piórka gołębie
Na mokrych ścianach kiściami osiada,
Jak gdyby światłość księżycowa blada
Przez noc zazdrośnie ukryta przed słońcem.
Tam dzionek nie śmié zajrzéć światłem drżącem,
I tam w półmroku śliczna moja zaśnie
Snem, co jest rosą miłości omdlałéj,
Pod którym ogień pocałunków gaśnie.

Tam głosy nasze dwa będą szeptały
Aż póki cicha miłość rozmarzona
Dla słów zbyt słodka, na ustach nam skona,
I w blasku spojrzeń znowu się odsłoni.
Z sercem przy sercu, ze skronią przy skroni,
Z bijącém łonem usiądziemy razem,
A usta, zamiast drżéć próżnemi słowy,
Innéj, gorętszéj użyją wymowy,
Co je zespoli milczącym wyrazem!
Z dwojga serc naszych,—jak górskie strumienie,
Gdy je wiosenne ogrzeją promienie,
Tryskają nagle z lodów rozpętane —
Wybuchną świéże zdroje pięknéj myśli,
W ogniu miłości ze sobą zmieszane.
I uczujemy, żeśmy tak rozbłyśli,
Jak meteory dwa, co lecąc płoną,
I rozświetlone nad ciemnym bezmiarem
Jeden drugiemu ognisk swoich żarem
Płomienne wzajem zasilając łono,
Wciąż niezniszczalne, ciągle w górę dążą.
Tak jedną duszę w nas dwa ciała wiążą,
Jedną nadzieję dwie wole, o, nie! nie!
Jedyną wolę, jedno przeznaczenie,
Czy śmierć, czy życie, piekło i zagłada,
Czy nieśmiertelność....
....Ach! biada mi, biada!
Napróżno myśl się skrzydlata wyrywa,
Na niedościgłą miłości wyżynę
Własne jéj słowa ciążą jak ogniwa,
I drżę, upadam, omdlewam i ginę!
. . . .
. . . .

Idź słaba pieśni, do stóp twéj władczyni,
Powiédz, żeś gońcem od jéj niewolnika
I niechaj z tobą, co zechce, uczyni.
Potém wywołaj z zapomnień jaskini
Grono sióstr twoich, i głosem słowika
Zanućcie: „praca miłości jest słodka,
Lecz jéj na ziemi nagroda nie spotka;
Téj szukać trzeba wyżéj, w świecie ducha.”

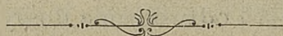
... Gdy tam odejdę, zostańcie na ziemi
I błądząc między sercami ludzkiemi
Jeśli znajdziecie takie, co was słucha,
To była dusza niegdyś mi życzliwa.
Te niechaj z wami wspólny lot porywa
I pyły ziemi strząsnąwszy ostatnie,
Niech razem dążą jako duchy bratnie
I niechaj do mnie przylatują w gości
Na wieczne szczęście, w krainę Miłości.

Alina Świderska.



ARTYZM KOCHANOWSKIEGO

jego czynniki i znamiona.



Wraz ze wszystkiemi zjawiskami życia duchowego dzielić musi objaw, ujęty w miano „artyzmu“, znamię nieokreśloności i niejasności, właściwéj zarówno samemu pojęciu, jak i jego wyrazowéj formie.

Wtargnięcie do wszystkich języków europejskich rosnącego ciągle zastępu wyrazów, o pokroju kosmopolitycznym, z końcówką „izm“, świadczy z jednéj strony o doniosłości, jaką w naszém stuleciu przybrały pojawy życia duchowego — zarówno jako przedmiot badań, oraz w charakterze czynników życia; z drugiéj strony—daje wymowne świadectwo naszéj niemocy, odnośnie do ujęcia i określenia tych zjawisk. Bogactwo rozwijających się coraz nowych kierunków działalności duchowéj, wytwarzanie się coraz więcéj skomplikowanych stanów duchowych — odbija tém jaskrawiéj od ubóstwa i mglistości form pojęciowych i wyrazowych.

Przyczyna téj nieujętości i niejasności tkwi w owém tajemniczém *X*, odgrywającém we wszelkich objawach życia duchowego, a więc i w artyzmie, rolę pierwszorzędnego czynnika. Podobnie jak ludzka mowa — poniekąd także objaw artyzmu pierwotnego — okazuje się tak nieudolną, gdy chodzi o ujęcie stanów uczuciowych i kierunków myślowych duszy; tak i wszelkie środki materyalne,

jakiemi posługuje się artysta, pozwalają mu na częściowe zaledwie odbicie tego, co się mieści w głębiach jego ducha. Rozwój sztuki przedstawia nam ciąg nieustannych mocowań się artysty z materyałem formalnym, stopniowych, powolnych naginań i urabiań tegoż materyału. Jak warstwy skorupy ziemskiéj w swych załamaniach, przesunięciach i przekształceniach cząstkowych, przechowały dzieje powolnych, lecz potężnych procesów fizycznych, a niekiedy i wielkich kataklizmów w odległych epokach; tak dzieła sztuki utrwalają, w zmianach i przekształceniach środków formalnych, przebieg procesów duchowych u społeczeństw całych i przedstawiających je artystów. Świat otaczający artystę ulega przekształceniu raz, gdy dostaje się do jego duszy, a powtórnie przy odtwarzaniu tego załamanego już obrazu za pomocą środków materyalnych.

Z tego, jak artysta widzi i odczuwa swe otoczenie, na co zwraca uwagę, ku czemu dąży i jakiemi środkami odtwarza świat odbity w duszy, lub stany duszy wywoływane przez zmiany w otoczeniu, wnosimy o rodzaju i stopniu jego artyzmu. Jak filozofia i nauka, tak również sztuka, innemi tylko drogami i środkami, dąży ostatecznie do ujęcia, poznania i odtworzenia duszy. Przez artyzm więc rozumiemy ogół czynników duchowych, biorących udział w wytworzeniu dzieła sztuki. Wartość danego dzieła zależy w znacznéj części od natury tych czynników i zachodzących między niemi stosunków.

Tajemniczość i nieujętość, cechujące proces tworzenia artystycznego, sprowadzają jako nieuniknione następstwo, niemożliwość wykrycia stałych, ogólnych zasad, któreby można stosować przy ocenie dzieł sztuki. Miarą wartości może tu być jedynie stosunek danego dzieła do dusz ludzkich, do pewnych niezmiennych właściwości i wymagań naszéj organizacyi psychicznéj. Im dłużéj trwa wpływ pewnego dzieła, im szersze koła ludzkie znajdują w danym utworze zaspakajanie wyższych, trwałych pragnień i wymagań, tém większą niewątpliwie jest jego wartość artystyczna.

Stąd możnaby przyjąć za jedyną ogólną podstawę oceny krytycznéj stosunek danego dzieła do całéj grupy pokrewnych mu formą i treścią, wybitnych dzieł poprzednich wieków, a obok tego stopień odpowiedniości wyższym potrzebom duchowym danéj epoki i następnych.

Jeżeli poddamy téj próbie zabytki poezyi polskiéj wieku XVI, to niemal jedyne twory śpiewaka czarnoleskiego wyjdą z niéj zwycięsko.

I.

Pomimo nieodzownéj tajemniczości pokrywającéj zawsze genezę artyzmu, możemy o jego istocie i rozwoju co do Kochanowskiego, wnosić zarówno z materyału spożytkowanego w utworach, jak i z obrobienia formalnego tegoż materyału. Poeta bądź posługuje się owym artyzmem dla tém silniejszego oddziaływania na otoczenie, wyniesienia i uświetnienia swéj osobistości, bądź téż chłonie w siebie to, co go interesuje czy draźni i, odpowiednio do swych właściwości indywidualnych, przetwarza na aliaż, z którego odlewa swe dzieła.

Rozwój artyzmu ściśle się wiąże z rozwojem charakteru, uczuć i pojęć artysty. Pogląd na świat i życie, stosunek do otoczenia wytworzony przez sposób postępowania, stopień i rodzaj uczuciowości, wywierają wpływ przeważny na treść i formę utworów, Sztuka w daleko wyższym stopniu, niż nauka, podnieca indywidualizm w jednostkach, które znajdują w niéj zarówno cel obiecujący zadowolenie pragnień najwyższych, jak i potężny czynnik zaspokojenia osobistych ambicyi.

W innem miejscu zwróciłem uwagę na rolę, jaką odegrał indywidualizm w rozwoju artyzmu u Kochanowskiego, uwydatniłem związek zachodzący między zmianami w stosunku poety do otoczenia a treścią i formą utworów [1]). Tu chciałbym w rozwoju uczuciowości śpiewaka „Sobótki“ i „Trenów“ odnaléść główne czynniki i cechy jego artyzmu i uwydatnić związek, zachodzący między stopniowém pogłębianiem się i wyodrębnianiem uczuć, a pięknością treści, doskonaleniem się stylu, układem wiersza i zwrotek.

Proces ten u Kochanowskiego, w porównaniu z przedwczesną dojrzałością i chorobliwą wraźliwością, cechującą zarówno Janickiego, jak wielu nowszych poetów, przedstawia stosunkowo późne pojawienie się głębszych i gorętszych tonów serca, przy umiarkowanéj wraźliwości. W zdrowym młodzieńczym organizmie wychowańca puszcz sandomierskich, oddziaływanie różnorodnych objawów bujnego życia ówczesnego (humanizm, reformacya, życie polityczne i towarzyskie) i bogatych w obrazy i myśli literatur (biblia, literatura grecka, łacińska, włoska, a wreszcie współczesna łacińska w Polsce i początki polskiéj), wywoływało podniecenie poczucia in-

[1]) „Indywidualizm jako czynnik w rozwoju artyzmu polskiego.“

dywidualnego, wyrażające się w zapale do życia i używania, ambitnych rojeniach i bezwiednym artyzmie.

Artyzm ten uwydatniał się zapewne u młodego poety — podobnie jak u Janickiego — w dbałości o wygląd zewnętrzny, a jednocześnie w zaszczepioném już zapewne w szkole staraniu o ład i harmonię formalną przynajmniéj, w nagromadzonych zasobach duchowych, a przedewszystkiém o ujęcie w ramy regularnéj kompozycyi pochodu wysnuwanych dla otoczenia myśli, a w odpowiednie rytmiczne formy tętna wypowiadanych uczuć. Jak udatny ubiór przy kształtnych rysach i figurze nadaje człowiekowi swobodę i pewność siebie w towarzystwie, tak artyzm jako przystrój duszy, potęgujący wartość i piękność jéj zasobów, wywołuje podniecenie poczucia indywidualnego.

Świadomość swéj wyższości nad otoczeniem rodzi w Kochanowskim zadowolenie z życia i siebie, podnieca upodobanie do stosunków towarzyskich, popęd do szukania uciech, pogoni za sławą i hołdami. Prócz Boga i mistrzów starożytnych, nie uznaje on nad sobą żadnéj powagi, stąd skłonność do wolnomyślności w kwestyach kościelnych i politycznych.

Poczucie indywidualne, uczucie własnych sił i duchowéj wyższości, góruje początkowo nad wszystkiemi innemi. Zarówno poezya, jak miłość i stosunki towarzyskie, stanowią dla poety poniekąd tylko środki zadowolenia tego młodzieńczego popędu. Jedno tylko uczucie religijne wyodrębnia się dość wcześnie i będzie hamować zapędy indywidualizmu. Uczucie to w znanym hymnie („Czego chcesz od nas Panie“) przedstawi się w formie podziwu i uwielbienia dla wszechmocy i hojności Bożéj, odbijającéj się w wielkości i porządku świata, tudzież w obfitości udzielonych człowiekowi darów. Wdzięczny szczerze Bogu za uprzyjemnienie życia ziemskiego, poeta nie tęskni przecie za niebem, a skwapliwie goni za powabami doczesnemi, które chętnie opiewa w pieśniach, elegiach, fraszkach.

W większych utworach pierwszéj epoki swéj twórczości, poeta bierze przypadkowo nasuwające mu się różnorodnéj treści tematy, by w ich rozwinięciu uwydatnić swą wirtuozyę. Po mitologicznych „Fenomenach“ idzie biblijna „Zuzanna“, po niéj dworsko-renesansowe „Szachy“, humanistyczno-polityczny „Satyr“ i kościelno-polityczna „Zgoda“.

Artyzm poety przedstawia się nam tu głównie ze strony formalnéj. Panuje on nad materyałem, jakiego dostarcza mu przeważnie lektura i samo życie ówczesne, ruch religijno-polityczny, a w małéj części obserwacya; owładnął przytém zasobem form

i zwrotów językowych, wyrobionych przez życie towarzyskie na dworach, dysputy religijne i rozprawy polityczne, posiada wreszcie poczucie ekspresyjnéj wartości form wyrazowych, i zdolność prostego a trafnego skombinowania szczegółów w całość kompozycyi. Będąc synem epoki, w któréj wymowa stanowiąc jedyną uprawianą i cenioną przez społeczeństwo polskie sztukę, odgrywa rolę potężnego czynnika w walkach religijnych i politycznych, sprawach sądowych i nauczaniu szkolném, przedstawia się nam Kochanowski w pierwszéj zwłaszcza epoce swéj twórczości, jako poeta-mówca, jasny, rozumny, chłodny, żywy, wytworny.

Takim się okazuje w swym oryginalnym wstępie, dodanym do przekładu „Fenomenów“ Arata, takim jest w „Zuzannie“, „Szachach“, w wierszu „Na śmierć Jana Tarnowskiego“, w „Satyrze“ i „Zgodzie.“

Ujęcie przedmiotu uwydatnia się w trafnym wyborze momentu, od jakiego rozpoczyna poeta swe opowiadanie, czy téż w zręczném postawieniu kwestyi, jaką zamierza rozwinąć. Jestto artyzm architektoniczny, że tak powiem, połączony z trzeźwością i logicznością umysłu. W związku z tém zostaje ta miara, cechująca zarówno budowę utworów, jak i sądy, wyraz uczuć i styl poety. Rozprawia on lub opowiada, ale nie gawędzi nigdy i nie wybucha, utrzymując wobec czytelników, mimo pozorów przyjacielskiéj poufności, wyższość swego stanowiska, opartą na pewności siebie i zręczności w rozporządzaniu zasobami duchowemi.

Mimo niewyrobienia stylowego i językowego, „Zuzanna“ pomijana wzgardliwie przez dzisiejszych czytelników i krytyków Kochanowskiego, przedstawia zalety układu i wysłowienia, które już przed r. 1562, jak świadczy „Zwierzyniec“ Reja i nieco późniejszy „Proteusz“, uczyniły młodego poetę „kochaniem“ ówczesnéj inteligencyi.

Wypowiedziawszy we wstępie myśl, któréj potwierdzenie i dosadną ilustracyę stanowić będzie przygoda bohatérki biblijnéj, ujmuje sobie poeta czytelnika prostym a zręcznym zwrotem:

Kto nie ma nic pilniejszego, niech posłucha mało,
A ja powiem dostatecznie jako to się stało.

Treściwą i jasną, w chłodnym tonie trzymaną opowieść, ożywia wtrąconemi tu i owdzie uwagami, zbliżającemi stan duszy przedstawianych postaci ze znanemi słuchaczom z własnego doświadczenia pojawami. Tak np. przedstawiając niepohamowaną pożądliwość starców, dodaje:

A komu kiedy zdradliwa miłość przepuściła.

a nieco daléj znowu:

Ale ogień co go dusisz, to się bardziéj żarzy.

Żywo ale z mniéj właściwym tu humorem opowiada skradanie się i spotkanie kryjących się przed sobą współzawodników.

I rzekł jeden: zda mi się południe już nadchodzi,
A nam téż ku obiadu pokwapić się godzi.
To wyrzekszy rozeszli się, mając oko na się:
I ty pojrzysz, alić oni u Joachima zasię.
Czego ty chcesz? A ty czego? społem się pytają.

Odmalowanie stanu duszy niewinnie oskarżonéj Zuzanny, było zadaniem przechodzącém zakres uzdolnienia poety. Żywszego współczucia trudno od niego wymagać, to téż zastąpi je rozumowaniem o cnocie i tryumfie prawdy nad fałszem, jakie włoży w usta uskarżającéj się na swój los bohatérki. Jednym tylko trafnie odczutym i wyrażonym błyskiem uczucia rozjaśnia poeta blado zarysowaną postać, kładąc w usta zdecydowanéj na śmierć Zuzanny, wykrzyk:

Z tą nadzieją na plac pójdę i nadstawię szyję,
Duszo moja nie lękaj się: Bóg na niebie żyje.

Wiersz 14-zgłoskowy, złożony z 7 trochejów, o rytmie krakowiaka, odtwarzającym wiernie tętno młodzieńczéj werwy poety, niezbyt szczęśliwie wybranym został na szatę dla téj poważnéj biblijnéj powieści. Użycie dwuwierszy odpowiednich dla wyrażania oderwanych zdań moralnych, ale rwących opowiadanie czy opis na cząstki nużące monotonnością budowy, świadczy także, iż stosunek poety do przedmiotu był chłodnym, że w wyborze swoim kierował się nie wewnętrznym popędem, ale względami na modne wówczas interesowanie się Biblią, a zapewne główną rolę tu odegrała chęć dogodzenia upodobaniom ks. Radziwiłłowej (z domu Szydłowieckiej), żony głośnego Mikołaja, gorącego propagatora kalwinizmu.

Za to w „Szachach“ (z r. 1557?) znalazł młody poeta przedmiot harmonizujący wybornie z rytmem i tonem jego serca i temperamentu. Wiérsz 11-zgłoskowy z urozmaiconą budową metryczną, nadaje się wybornie do uwydatnienia ujętéj w karby wymagań towarzyskich werwy i swobody, z jaką Kochanowski opowiada interesujący go epizod życia dworskiego. Jeżeli zechcemy szukać w téj noweli wyrazu uczuć poety, to znajdziemy chyba odbicie młodzień-

czego upodobania, w ruchliwém życiu towarzyskiém, grze w szachy i stosunkowo wysokiéj ogładzie, jakiéj sam dawał zapewne przykład. Świadomość téj wyższości odbija się w sposobie opowiadania, w swobodnym, ironicznym nieco stosunku do przedmiotu. Poeta chętnie się popisuje ze swoim stoicyzmem, jako modnym przystrojem, głosząc przez usta Fiedora:

Jeden jest fortel na szczęście wszelakie,
Lub źle lub dobrze, serce mieć jednakie.
Kogo fortuna srogim nie pobiła,
Tego łaskawem okiem nie zmamiła.

Zresztą znać zarówno w stanowisku, jakie zajmuje poeta względem przedmiotu, jak w prostocie, swobodzie i wdzięku poniekąd opowieści, wpływ Ariosta, którego „Orlando" żywiéj przemówił do wyobraźni młodego śpiewaka, niż epopee starożytne.

Urobiony już pod wpływem ogłady obyczajowéj, język towarzyski dostarczył poecie form i zwrotów harmonizujących z wymaganiami dworności, jaką z własnéj duszy przenosi do swéj opowieści. Podobnie jak w „Zuzannie“ i tu opowiadanie swe ożywia wtrąconemi *a parte* uwagami. Tak np. wysunąwszy w opisie gry Popa (nazwa figury w szachach) dodaje: „A kogoby tak zły człowiek nie zdradził“, w inném znów ustępie, malując bój obu wojsk szachowych, powiada:

Nie miło stronie, ale dzień targowy,
Patrz każdy swego, a umykaj głowy.

W wierszu na zgon Jana Tarnowskiego († 1561) po raz pierwszy występuje poeta w poważnéj roli głosiciela cnót i zasług wielkiego męża. Dla utworu swego wybrał formę „pocieszenia“ (*consolatio*), pozwalającą mu przybrać względem młodego Tarnowskiego (któremu niedawno poświęcił „Szachy“), poufno mentorskie stanowisko, świadczące zresztą, że Kochanowskiego z domem Tarnowskich musiał łączyć bliski stosunek [1]). Jak w dedykacyi „Szachów“, tak i w tym utworze poeta przemawia do Krzysztofa Tarnowskiego, jakby do równego sobie kolegi („Mój hrabia“, „Jeśli cię dobrze znam“). Że z pewnym przymusem przybierał poeta na siebie rolę niezbyt zgodną z nastrojem młodéj duszy, świadczy wprowadzenie do utworu obszernego epizodu o Orfeuszu i Eurydyce, mającego służyć za ozdobę, przyczepioną czysto mechanicznie do

[1]) Żona Mikołaja Radziwiłła (z domu Szydłowiecka), któréj dedykowana jest „Zuzanna“, była rodzoną siostrą matki Krysztofa Tarnowskiego.

uwag o nieodzowności śmierci. Po dwa razy powtarza charakterystykę zasług hetmana, raz obszerniéj przed epizodem o Orfeuszu, drugi raz krócéj po tym epizodzie, to samo jednak, innemi tylko słowy. Kończy nauką, zwróconą do syna, a włożoną jakoby w usta zmarłego. Wiersz 13-zgłoskowy i czterowierszowa zwrotka odpowiadają powadze treści i tonu, w jakim umiał utrzymać się autor, który okazał się tu rozumnym sędzią i wymownym moralistą, ale natchnionym przez żywsze uczucie poetą, chyba jedynie w porównaniu zgonu, obciążonego zasługami starca do położenia się „kłosa dojrzałego“.

II.

Uznanie, pozyskane przez powyższe utwory, umocniło w poecie świadomość własnych sił i pobudziło ambicyę do wystąpienia w nowéj roli: mentora społeczeństwa. Zrzuciwszy płaszcz mędrca, w którym godził Krysztofa Tarnowskiego z poniesioną stratą, przywdzieje zgodny ze smakiem epoki przystrój pół-boga, leśnego męża, Satyra, pozwalający mu przybierać na przemiany, zarówno ton chłoszczącéj satyry, jak chłodnego pouczania lub niby przyjacielskiéj rozmowy ze słuchaczami. Nowością i powabem głównym utworu będzie właśnie ta nieznana w dotychczasowéj poezyi rozmaitość tonów w uczuciach przemawiającego poety i jego stosunek do słuchaczów i przedmiotu. Artyzmem wysłowienia dodaje świeżości, piękności i siły przekonywającéj, pojęciom i obserwacyom, będącym wtedy w obiegu śród kół inteligencyi, powtarzanym wielokrotnie w rozprawach i pismach ówczesnych. Po raz pierwszy też w „Satyrze“ występuje trafność ujęcia i wyboru szczegółów życia ówczesnego, najlepiéj się nadających do uwydatnienia myśli przewodniéj utworu. Czy to maluje gorączkowo się rozwijającą gospodarkę i przemysł szlachecki, czy rosnący wraz z dochodami zbytek w jego prostaczych formach, czy łączący się z tém upadek ducha rycerskiego, czy wreszcie wskazuje objawy anarchii politycznéj i religijnéj, zawsze umie poeta wybrać fakty czy pojawy, streszczające w sobie dany stosunek czy położenie. Jak w wierszu na śmierć Tarnowskiego kładzie w usta zmarłego przestrogi dla syna, tak tu znów powtarza podobną co do treści, szerzéj tylko rozwiniętą naukę życia dla całego społeczeństwa szlacheckiego, wkładając ją w usta Chirona, przemawiającego do Achilesa. Myśl główna obu przemówień zasadza się na przypomnieniu, iż dusza ludzka, mając z nieba

początek, ku doskonałości zmierzać winna, a doskonałość tę osiągnąć można jedynie przez owładnięcie popędami cielesnemi.

....w człowieku są mocarki dziwne,
Nietylko sobie różne, ale i przeciwne.
Jest bystra popędliwość, jest żądza niesyta,
Bojaźń mdła, żałość smutna, radość niepokryta,
Nad któremi jest rozum jako hetman...

Poeta, idąc za mędrcami starożytnymi, każe w téj treściwéj charakterystyce duszy ludzkiéj stać rozumowi na straży popędów i afektów, choć własne doświadczenie mogło go codziennie przekonywać o małéj skuteczności podobnego nadzoru.

Monolog „Satyra" ożywiają wielce, często powtarzające się zwroty do słuchaczów, nadające mu charakter dyalogu.

Prawdę mówię czyli nie? uznajcie to sami.
Ale się tam ozywa jeden między wami,
Mieniąc, iż gospodarstwo Polskę wzbogaciło,
A jako żywo złota więcéj w niéj nie było.
Prawda, że złota wasi przodkowie nie mieli,
A małobym tak nie rzekł, że go ani chcieli.
. . . .
Mniemacie wy podobno, że to wam bajano,
Kiedy w objazd Kijowa siedm mil powiadano.
. . . .
O Prusiech wam nic nie chcę powiadać, bo sami
Na każdy rok pływając do Gdańska z traftami,
Widzicie gęste miasta i zamki budowne.
. . . .
Oho znać papieżnika. Po czémże? po mowie.
Mniemałem, by po rogach, co to mam na głowie.
Bracie, nie chcę się z tobą w rzecz wdawać o wierze,
Bo ja sam na się wyznam, żem prostak w téj mierze.
Lecz jeśli ty inaczéj o sobie rozumiesz,
Jedź do Trydentu, a tam okażesz, co umiesz.
. . . .
Ja mówię, co rozumiem, kto ma co lepszego,
Niechaj powiada, będę rad słuchał każdego.

Do czasów Krasickiego żaden poeta nie będzie umiał tak pociągnąć czytelnika ku sobie, ująć prostotą, swobodą, imponując mu jednocześnie powabem wysłowienia, powagą i siłą rozumowania, trafnością rysów satyrycznych, subtelnością odcieni uczuciowych, rzadkich w duszach ludzkich, a nieznanych ówczesnéj poezyi.

Ożywienie, cechujące utwór, ma swe źródło nie tyle w przekonaniu poety o prawdzie i zbawienności przestróg, jakie udziela społeczeństwu i płynącym stąd zapale reformatorskim, ile w zadowole-

niu miłości własnéj z odgrywanéj roli mentora ogółu szlacheckiego, w poczuciu własnéj wyższości duchowéj, opartéj na sile artyzmu, pozwalającego młodemu, skromnemu ziemianinowi pociągać za sobą masy i obdzielać je chlebem duchowym. Stąd mimo swobodnego tonu poufnéj rozmowy z czytelnikami, mimo ironicznego piętnowania swego zasobu umysłowego mianem prostactwa („Bo ja sam na się wyznam, żem prostak w téj mierze" — „Ja głupi tak rozumiem") czuć w każdém zdaniu świadomość i poczucie wyższości nad otoczeniem, któremu poeta przy końcu przemowy grozi, pół żartem niby, chłostą, jako jedynym środkiem skutecznym poprawy dla zatwardziałych w złych nałogach.

Przybrawszy na się poważną, klasyczną szatę bogini Zgody, przemawia Kochanowski w téj saméj formie i tymże tonem, argumentując trafnie i dosadnie, w kwestyi rozstroju religijnego i łączącéj się z nim anarchii politycznéj i obyczajowéj. Kończy swój utwór jędrnym i zręcznym, choć nie tak szorstkim, jak w „Satyrze", zwrotem do słuchaczów:

....a wszystkie swe sprawy
Do pożytku spólnego obróćcie naprawy.
To czyńcie, a nie będziem wszyscy żałowali
I ja, że radzę, i wy, żeście mię słuchali.

Choć główne cechy artyzmu poety mają swą podstawę w jego duchowych właściwościach, to jednak można dopatrzéć się w cechach formy, jak tonie i samym stosunku do słuchaczów pokrewieństwa dość widocznego, od „Zuzanny" począwszy—z opowiadaniami, czy rozumowaniami Ariosta.

Umysłowi poety brak lotności, wynalazczości i wyobraźni, stąd zawsze, jak dotąd, opiéra się on na gotowych już obcych pomysłach, czy planach i przedstawia się nam jako wymowny tłómacz dążeń i pojęć swego otoczenia, zręczny obserwator życia klas wyższych i wytworny dworak-humanista. Rozbudzona przez życie dworskie i kulturę umysłową ambicya, popycha go ku wyższym zadaniom artystycznym, ku epopei rycerskiéj, zespolonéj z apoteozą Jagiellonów.

Widocznie jednak zarówno trudności, jakie przedstawiało ujęcie bogatego materyału historycznego w ramy kompozycyi, jak i nastrojenie duszy do tonu odpowiedniego podniosłemu przedmiotowi, przechodziło możność poety. Pozostały fragment poematu o bitwie warneńskiéj, nie budzi w nas żalu za nie napisanym dalszym ciągiem. Znał tę nieudolność swą sam poeta, gdy skarżył się w „Omenie", że „siły" nie odpowiadają jego chęciom, że choć wi-

dział tyle świeżych jeszcze śladów zwycięzkich bojów, które budzą w nim dumę patryotyczną, to jednak czuje, że nie może „mężom i bojom zdołać".

III.

W „Satyrze" i „Zgodzie" artyzm poety w pierwszéj fazie jego rozwoju dosięgnął najwyższego szczebla. Że zyskanie powodzenia musiało upoić Kochanowskiego i obudzić w nim ambitne rojenia, że zwykłą koleją rzeczy rojenia te nie ziszczały się, a nawykły do oklasków i kadzideł artysta poczuł się tém więcéj osamotnionym, im na wyższe wspiął się stanowisko, tém przykrzéj zawiedzionym, im pewniejszym się czuł swych uzdolnień artystycznych i więcéj znalazł uznania—o tém nie można wątpić.

Czy nowe jakieś świadectwa odsłonią kiedyś tajemnicą pokryte szczegóły życia poety w epoce dworskiéj, czy dowiemy się, jakie wypadki i jacy ludzie wpłynęli na jego losy, wywołali w jego duszy bolesne, lecz podnoszące ją przekształcenia, przez zawody ambicyi, przyjaźń, miłości — czy téż, co prawdopodobniejsze, pozostaniemy nazawsze skazani na dzisiejszą zagadkowość, — nie przeszkadza to nam przyjąć—na podstawie wyznań zawartych w utworach — faktu doniosłego przesilenia w pojęciach, uczuciach i twórczości Kochanowskiego, przesilenia dokonanego pod wpływem wypadków małoznaczących, i stąd niezanotowanych przez żadne świadectwa, lecz doniosłych przez wpływ, jaki wywarły na wewnętrzne życie śpiewaka czarnolaskiego.

Z dość znaczném prawdopodobieństwem możnaby przyjąć rok 1567-my, a więc 37 w życiu poety, za moment duchowego przełomu, przekształcającego wykwintnego i wymownego dworaka i humanistę w poważnego śpiewaka uczuć religijnych, narodowych, głoszącego ideał cichego życia na wiejskim zagonie, szukającego szczęścia w mierności, cnocie i pożytecznéj dla ogółu pracy. „Sobótkę" i „Muzę" możnaby uważać za dzieła, otwierające nowy okres twórczości poety. W elegii łacińskiéj, pisanéj r. 1568 w odpowiedzi na listy Myszkowskiego, zachęcające do szukania karyery w stanie duchownym, powiada, że pragnie „w cichém życiu zgłębiać tajemnice przyrody."

Wzgardziwszy oklaskami dworskiego towarzystwa, którego obłudę poznał przez bolesne doświadczenia, zstępuje z piedestału, z jakiego dotąd przemawiał do słuchaczów i znalazłszy się w cichym

Czarnolesie, miesza się do koła obchodzącéj Sobótkę młodzieży, by razem z nią opiewać wesołość, miłość, przyrodę i zalety życia wiejskiego. Nastrój uczuciowy i stosunek do otoczenia zmienia się od razu. Jeżeli przedtém zespalał się niekiedy poeta ze swém otoczeniem, to tylko pod wpływem wesołości hulaszczéj w jakiéjś fraszce, czy piosence biesiadniczéj, w „Sobótce" po raz pierwszy obok wesołości dzieli z gronem dziewcząt (nie zaś z kółkiem wesołych towarzyszów) inne poważniejsze uczucia. „Sobótka paniom służy" — powiada sam poeta o tym utworze. Po raz pierwszy pod wpływem otoczenia zapomni on o sobie, o swoich ambicyach, zawodach, sławie, a przejmie się uczuciami weselących się dziewcząt, pięknością przyrody i życia wiejskiego, stanie się tych uczuć wiernym, prostym a wymownym tłómaczem. Wiersz ośmiozgłoskowy z urozmaiconą budową metryczną — ale nieporządnie przeprowadzoną — nadawał się wybornie do odmalowania uczuć grona dziewczęcego i rytmu ruchów wykonywanych przez kręcące się i skaczące koło. Że wesołość swą poeta przejął raczéj z otoczenia, niż dobył z głębi duszy, możnaby wnosić z zakończenia pieśni IX-éj:

Jednak ja mam, co mię boli,
Aby dziś nie ludziom kwoli,
Co śpiewam, płakaćbych miała:
Acz me pieśni płacz bez mała.

Przyobleczenie tych nowych uczuć i obrazów w szaty językowe, przychodzi poecie z pewną trudnością i stąd to wynikają po części wady budowy wiersza. W miarę tego, jak serce poety bierze silniejszy udział w wypowiadanych uczuciach, żywiéj się interesuje przedmiotem pieśni, rośnie ich bogactwo treściowe i piękność formalna (pieśń VI, XI i XII).

Jak na dworze — w ostatnich czasach pobytu — tak i na wsi cierpi poeta przez swe osamotnienie, nieodzowny wynik wyższości duchowéj, stawiającéj go ponad otoczeniem, z którém nie może się dzielić tém, co uważa za najlepszą cząstkę swéj duszy. Takie położenie rodzi w sercu poety nastrój melancholijno-ironiczny. „Sobie śpiewam a Muzom" oświadcza poeta, wyrażając przez to zarówno skargę na swe osamotnienie duchowe, jak i postanowienie utrzymania się mimo to na zajętém stanowisku:

Ja jeden niech wam służę a za cześć poczytam
Sobie że się dróg inszych niż pospólstwo chwytam.

Niech więc sobie ludzie cisną się za złotem, biją czołem przed bogactwem, poeta zdala od świata w swéj cichéj siedzibie wiejskiéj

nie przestanie tworzyć z nadzieją, że przyszłe pokolenia zrozumieją go, ocenią i odpłacą czcią i wdzięcznością. Podobną skargę na osamotnienie śród tłumu oddanego sprawom życia powszedniego spotykamy u Mickiewicza zarówno w I jak i III części „Dziadów.“

Jakkolwiek nie znamy daty napisania „Muzy”, jednak z prośby poety zwróconéj do Bogiń, by szczęściły „prace me zaczęte“ możnaby się domyślać, iż utwór ten powstał po opuszczeniu dworu (około r. 1567), kiedy w ciszy wiejskiego ustronia zabrał się Kochanowski do pracy nad szerszego zakroju dziełami (przekład Iliady, „Odprawa“, „Psałterz“). Nowością jaką „Muza“ wniosła do poezyi polskiéj, jest ironia, smutna, spokojna bo połączona z rezygnacyą i złagodzona zarówno nadzieją sławy pośmiertnéj jak i przez uczucie szczęścia zdobywane podniesieniem ducha w chwili tworzenia. Forma, w jakiéj poeta wyraził nastrój duszy, została szczęśliwie dobraną. Wiersz 13-zgłoskowy ze średniówką po 7 zgłosce, nadaje się do wyrażenia takiéj spokojnéj, rezygnacyą nacechowanéj skargi. Styl jest w zupełnéj zgodzie ze stanem uczuciowym. Poeta nie potrzebuje tu, jak wieszcz XIX stulecia, walczyć z ciężkiém zadaniem ujęcia w słowa wrzącego w sercu wulkanu, nie kocha on i nie cierpi za miliony, stąd swoje osobiste, szczere ale nie głębokie jeszcze cierpienie, wyśpiewa poważnie i z prostotą w pieśni opartéj na średnich jedynie tonach skali uczuciowéj. Tém umiarkowaniem i spokojem w skardze ujmuje nas jednak więcéj i do sympatyi pobudza, niż wielu współczesnych poetów, usiłujących gwałtownemi protestami przeciw zmateryalizowaniu i skarłowaceniu ludzkości, żółciową ironią i szyderstwem, pomścić się za zawody własnéj ambicyi, za obojętność ogółu. Nowością, doniosłą wielce, jest wysokie pojęcie o stanowisku i zadaniu poety, podnioślejsze od humanistycznego ideału (szafarza sławy), wyrażone zarówno w skardze na to, że ludzie nie chcą w jego pieśniach szukać pociechy dla swych serc jak i wynurzeniu wdzięczności Myszkowskiemu, iż przyszedł mu z pomocą w celu by „tém głośniéj śpiewał a nie podlegał nikomu.“ To samo innemi tylko słowy wypowiada Syrokomla w swym „Lirniku wioskowym.”

IV.

Dojrzewanie moralne pod wpływem zawodów, cierpień i skupienia duchowego w odosobnieniu się czasowem od świata, odbije się i na stosunku poety do społeczeństwa i jego uczuciach narodowych. W rok lub dwa po „Muzie“ pojawi się „Proporzec“, napisa-

ny niewątpliwie r. 1569 w Lublinie, podczas kilku tygodni dzielących akt hołdu pruskiego (19 lipca) od daty podpisania aktu Unii (11 sierpnia).

Pięć lat zaledwie upłynęło od ogłoszenia „Satyra“ i „Zgody”, ale przez ten czas zaszły w duszy poety doniosłe przekształcenia, co pozwolą i zrozumieć lepiéj i głębiéj odczuć znaczenie faktów, których będzie świadkiem i śpiewakiem.

Po raz pierwszy w poezyi naszéj podniosłe uczucia narodowe i ogólno-dziejowe idee znalazły swój wyraz w kompozycyi, stylu i języku „Proporca.” Po raz pierwszy poeta tu zstępuje z piedestału, na którym zwykł był siebie stawiać, by schylić czoło przed obchodami narodowemi i wspomnieniami wielkiéj przeszłości. To zespolenie się uczuciowe z życiem obecném społeczeństwa i jego dziejami pozwala mu wniknąć głęboko w naturę węzłów spajających narody i dostrzedz przytem cały łańcuch zdarzeń wiążących akt, którego jest świadkiem, z odległą przeszłością. Poważna, obywatelska myśl pobudziła poetę do utworzenia „Proporca.“ Chciał on społeczeństwu interesującemu się formalną i materyalną stroną aktu hołdu, złożonego w Lublinie Zygmuntowi Augustowi przez ks. pruskiego Albrechta, przedstawić, obok obrazu samego aktu, szereg wypadków wybitnych, charakteryzujących dziejowy przebieg stosunków polsko-krzyżackich, przyczém dla nadania większego blasku przeszłości narodowéj wiąże ją z losami i początkami całego plemienia słowiańskiego. Ażeby formalnie połączyć ten zarys dziejowy ze sceną hołdu, posługuje się poeta zapożyczonym z Iliady pomysłem (tarcza Achillesa) i umieszcza jakoby na proporcu, udzielonym ks. pruskiemu przez króla, szereg obrazów przedstawiających stosunki polsko-krzyżackie i słowiańskie początki Polski. Oczekując wraz z całém społeczeństwem na mający się wkrótce dokonać akt Unii, rozwija poeta swe głębokie i podniosłe pojęcia o środkach i warunkach trwałego zespolenia narodów. Wspólne niebezpieczeństwo od Niemców skłoniło dwa sąsiadujące ludy do zjednoczenia się. Akt hołdu ks. pruskiego był wymownym dowodem rezultatów osiągniętych przez ten związek. Gdy jednak dotąd potrzeba wspólnéj obrony i układy polityczne podtrzymywały Unią, teraz należy ją oprzéć na węzłach duchowych których oddziaływanie zaczyna się uwidoczniać w połowie XVI wieku. „Ty nas sercem zepnij i myślami” przemawia do króla poeta. Włożony do skrzyni pisany dokument łatwo ulegnie zniszczeniu, lecz jeśli unią „w pewny zamek do serca podamy”, to „nieogarnione lata przetrwa niestargana”, przekazywana jako spuścizna „synom od ojców.” Pod

względem artystycznym „Proporzec“ sprawdza sąd, jaki sam poeta wydał o swéj słabéj zdolności w zakresie epiki. To co żywo odczuł jako świadek naoczny, scenę hołdu mianowicie, ujął i odrysował — nie odmalował—udatnie, jasno, prosto; dostojnie, wymownie i podniośle wypowiedział swe poglądy na znaczenie Unii, ale gdy przychodzi mu odtworzyć obrazy fikcyjnego proporca, wygłasza ich treść z oschłością przewodnika oprowadzającego turystów po galeryi obrazów. Wtedy jedynie, gdy poeta kréśli obrazy oparte na znanych mu rzeźbach czy rysunkach, opisy jego nabierają plastyki, jak w przedstawieniu uosobionéj Wisły, obrazie życia Sarmatów.

Żywy udział w ruchu politycznym epoki elekcyjnéj (1572 — 75) wpłynie wielce na „uspołecznienie”, mówiąc językiem dzisiejszym, goniącego dotąd za indywidualnemi głównie celami, poety. Doznając zawodów w swych ambitnych rojeniach, przekonywa się stopniowo przez obserwacyą życia, jaka solidarność wiąże losy jednostki z położeniem ogółu, jak więc konieczném dla szczęścia ogólnego jest umiarkowanie wymagań indywidualnych i jak człowiek przez owładnięcie swych popędów zyskuje jednocześnie niezależność względną od otoczenia i harmonijny z tém otoczeniem stosunek—dwa główne warunki szczęścia możliwego na ziemi. Wyrazem tego dojrzewania moralnego będą liczne pieśni opiewające nowy ideał moralny i wiążące się z nim uczucia narodowe. Miłość dla tego ideału i silne przeświadczenie o jego doniosłości uzdolnią poetę do tak prostego a dosadnego, żywego i poważnego na przemiany, wypowiadania z przysłowiową treściwością drogich mu przekonań.

Stosownie do przemagającego w duszy nastroju stara się to o treściwą dosadność i prostotę w wyrażeniu swych zasad:

To pan zdaniem moim
Kto przestał na swoim.
. . . .
Siła posiadł włości
Kto ujął chciwości —

to znowu oddziaływa na czytelnika przez osnucie zasady moralnéj na podkładzie uczuciowym:

Serca nie zleczą żadne złotogłowy,
Żaden skarb troski nie wybije z głowy.

Zmienność w przyrodzie wywoływana przez następstwo pór roku, dostarcza poecie rysów uwydatniających zwykłą niestałość w warunkach bytu ludzkiego.

Nic wiecznego na świecie
Radość się z troską plecie.

Wobec zmienności i niepewności warunków zewnętrznych, człowiek winien szukać oparcia w sobie, w niezłomności wiary w opatrzność i wszechmocność Boga i stoickiéj obojętności na dary czy zawody fortuny.

Ukochawszy ludzi i pragnąc ich szczęścia, poeta chce teraz szczepić we wszystkich duszach zasady których prawdę i doniosłość stwierdził w swém życiu i przelać w serca ludzkie uczucia, jakie go ożywiają.

Jak wieszcz naszego wieku chciałby łańcuchem bratnim opasać „ziemskie kolisko", tak śpiewak czarnoleski zwołuje do bratniego szeregu tych „coby wzgardziwszy te doczesne rzeczy" chcieli wraz z nim „dobrą tylko sławę mieć na pieczy" i wytknąwszy sobie cel godny człowieka, pomagać „ku pożytku spólnego dobra."

Kiedy w „Satyrze" i „Zgodzie" poeta przemawiając do czytelników w 2-éj osobie liczby mnogiéj, wyłącza siebie, stojąc na stanowisku mentora, teraz w pieśniach albo po bratersku przemawia w 2-éj osobie liczby pojedynczéj:

A ty coć Bóg dał siłę i serce po temu
Uderz się z poganinem...

albo najczęściéj przemawia w 1-éj osobie liczby mnogiéj, włączając siebie do szeregu czy tłumu:

Przeto chciejmy wziąć przed się myśli godne siebie
. . . .
Służmy poczciwéj sławie...

Wraz z doniosłością i podniosłością wypowiadanych myśli, wzrasta powaga i spokój formy. Gdy uczucie poety żywiéj jest podniecone, wtedy zamiast 13-zgłoskowego wiersza, tak dobrze się nadającego do odbicia poważnych postanowień, podjęcia udziału w pracy nad szczęściem ogółu, używa poeta 11-zgłoskowego, lepiéj uwydatniającego tętno drgającego oburzeniem i cierpieniem serca.

Wieczna sromota i nienagrodzona
Szkoda Polaku; ziemia spustoszona
Podolska leży a pohaniec sprosny,
Nad Niestrem siedząc, dzieli łup żałosny.

To przenoszenie drugiéj części zdania do następnego wiersza, rozdzielanie rzeczownika z przymiotnikiem określającym go, tu stanowi zaletę pieśni, uwydatniając silne wzruszenie uczuć, wstrzymu-

jące niejako oddech i niedozwalające płynąć bez przerwy słowom poety oznajmującego narodowi bolesną i sromotną wiadomość.

Po wybuchu pierwszego wzruszenia, uczucie śpiewaka przybiéra ton skargi na bezsilność społeczeństwa, wobec słabego stosunkowo wroga:

Zbójce, niestety, zbójce nas wojują,
Którzy ani miast, ani wsi budują,
Pod kotarzami tylko w polach siedzą
A nas nierządne, ach nierządne! jedzą.
Jakiego serca Turkowi dodamy,
Jeśli tak lekkim ludziom nie zdołamy?
Zetrzyj sen z oczu a czuj wczas o sobie
Cny Lechu: kto wié jemu czyli tobie
Szczęście chce służyć....

Po téj energicznéj pobudce odzywa się w duszy poety ton ironii sarkastycznéj.

Wsiadamy! Czy nas półmiski trzymają,
Biedne półmiski, czego te czekają.

Ironia ta wynikająca z przeświadczenia o bezowocności gorących wezwań poety, występuje z największą siłą w zakończeniu:

Cieszy mię ten rym: Polak mądr po szkodzie
Lecz jeśli prawda i z tego nas zbodzie,
Nową przypowieść Polak sobie kupi,
Że i przed szkodą i po szkodzie głupi.

Działalność Batorego budzi w poecie otuchę i zapał gorący dla tego niepospolitego króla. Od chłodnéj dedykacyi „Satyra“ Zygmuntowi Augustowi, wymownie odbija cześć i miłość, jaką tchnie „Dryas zamechska“ lub pieśń „Na zdobycie „Połocka“. Kiedy w odzie na pochwałę królów polskich, poeta jest tylko chłodnym naśladowcą Ariosta (pochwała książąt z domu esteńskiego w Orlandzie), usiłującym wmówić w czytelników, iż zapał dla wielkiego przedmiotu unosi go aż pod niebiosa, to gdy woła do Batorego

Bóg pomóż królu jedyny,
Szerokiéj polskiéj krainy.—

lub ustami Dryady przemawia:

Mnie jednéj twoją dzielność i twe słysząc sprawy
Serce niemylnie tuszy: że cię z Bolesławy
Równo Polska kłaść będzie...

słowa jego są wierném odbiciem uczuć serca przepełnionego wdzięcznością i nadzieją.

V.

To bogactwo dobywających się z duszy poety tonów uczuciowych, wiąże się z rozwojem umysłowym i moralném dojrzewaniem pod wpływem doświadczenia i obserwacyi życiowéj. Świadomość wzmagających się zasobów i uzdolnień, własny postęp moralny, pobudzi poetę do podjęcia najtrudniejszego pod względem artystycznym zadania—utworzenia dramatu.

Że „Odprawa posłów" nie była pisana na obchód weselny Zamoyskiego, a tylko z okazyi tego wesela ukazała się światu, jest rzeczą niewątpliwą. Pobudką istotną był niepokój patryotyczny wywołany przez zetknięcie się bliższe z tajemnicami życia politycznego w epoce elekcyjnéj. Już „Wróżki", pisane przed śmiercią Zygmunta Augusta, wypowiadają obawy o blizką przyszłość kraju, wobec występujących na sejmach objawów prywaty i zepsucia moralnego, które tém groźniéj wzrosnąć muszą po bezpotomnym zgonie ostatniego z Jagiellonów.

Doświadczenie i obserwacye, zebrane w okresie dwu elekcyi, umocni jeszcze w duszy poety te przewidywania i skłoni go do przyobleczenia ich w niezwykłą — w polskiéj literaturze mianowicie—lecz dodającą im powagi i siły formę dramatu starożytnego.

Poetyka humanistyczna sformułowana przez Scaligera różniła się od starożytnéj tém, że dramatowi stawiała za cel nie tylko budzenie trwogi i litości, ale téż i pouczanie. Stąd teatr w szkołach dawniejszych stanowi dość poważny środek edukacyjny.

Forma „Odprawy" świadczy, iż poeta świadomie i ze znajomością rzeczy trzyma się wzorów greckich. Wziąwszy osnowę dramatu i jego osoby z Iliady, zachowuje ściśle jedność miejsca, czasu i akcyi, wprowadza chóry, używa białego wiersza. Wszystkie te środki mają tylko spotęgować wpływ nauczający utworu, podobnie jak włożenie maski Satyra lub przybranie postaci bogini Zgody, miało w oczach czytelników dodać powagi radom i upominaniom poety. W „Odprawie" cały szereg postaci starożytnych, unieśmiertelnionych w Iliadzie, przemawiać będzie zarówno upomnieniami i groźbami wprost zwróconemi do słuchaczów polskich, jak i akcyą odbijającą wiernie cechy życia politycznego polskiego.

W dramacie Kochanowskiego nie ma bohatera, nie ma postaci, któraby budziła grozę czy współczucie a jednak mimo to czytelnik doznaje tych uczuć, bo dzielić je musi wraz z poetą, ukazującym nam po za jednostkami i ich sprawami społeczeństwo, w którego

łonie rozgrywa się walka między pierwiastkami rozkładowemi a dążeniami dośrodkowemi. Prawdziwym bohaterem, którego losy mają nas trwożyć, wzruszać i pouczać, jest Troja ale... nie homeryczna, zapomniana, tylko nadwiślańska.

Poeta wprowadziwszy na chwilę Antenora, Parysa, Helenę czy Kasandrę, nie troszczy się o ich dalsze losy, nie stara się o pozyskanie dla nich żywszego i trwalszego zainteresowania czytelników czy widzów. Osoby te są niejako upostaciowaniem czynników życia wewnętrznego i stosunków politycznych Troi. Podobny stosunek spotykamy u Szekspira w „Juliuszu Cezarze.“ Nieskrępowany wzorami i regułami, poeta angielski wprowadza do utworu życie Rzymu z całą jego rozmaitością i bogactwem, kiedy Kochanowski trzyma się lękliwie przepisów i wzorów i daje nam w ciasnych ramach, zapożyczonych od tragedyi greckiéj, jakby fragmenty tylko wielkiéj całości, którą nosi w duszy, nie mogąc jéj ująć w szeroko rozwiniętą kompozycyą.

A jednak te fragmenty świadczą, iż poeta jako artysta blizkim był bardzo mistrzostwa, jakiego wymagało tak wielkie zadanie. Zarówno cechy i czynniki życia zbiorowego jak i indywidualne właściwości trafnie obserwuje i rysuje, stany uczuciowe wymownie odtwarza, a nadewszystko całość przenika poważnym i podniosłym nastrojem, wypływającym z żywéj troski o losy społeczeństwa i gorącego pragnienia poprawy jego stosunków.

O ile dla społeczeństwa poeta żywi gorące współczucie, zna nędze i kolce życia ludzkiego, stąd ma dla ludzi uczucia braterskie niemal, o tyle wobec tych, którzy stoją na czele rządu, którzy są przedstawicielami ogółu, kierownikami jego losów, wobec zaniedbujących obowiązki, młodzieży bogatéj a zepsutéj, występuje jako surowy mentor i sędzia nieubłagany.

Zawiązanie akcyi dramatu wyborne. Antenor, jeden z tych na których prawości, rozumie i energii wspiera się byt społeczeństw, wypowiada swój protest przeciw bezprawiom Aleksandra (Parysa) gwałcącego prawa gościnności przez uprowadzenie żony władzcy greckiego, w którego domu znalazł życzliwe przyjęcie. Skupia on koło siebie za pomocą darów, pochlebstw i „praktyk“ wogóle, liczne stronnictwo potrzebne mu dla poparcia własnéj sprawy na sejmie, mającym radzić nad odpowiedzią posłom greckim domagającym się, w imię sprawiedliwości, wydania porwanéj Heleny.

Jeden ze służalców Aleksandra próbował i Antenora ująć podarkiem czy obietnicą.

A mnie i dom mój i co mam z swych przodków
Nie jest przedajno. A miałbych swą wiarę
Na targ wynosić: uchowa mię tego
Bóg mój; nie ufa swéj sprawiedliwości
Kto złotu mówić od siebie rzecz każe.
Lecz i to człowiek małego baczenia,
Który na zgubę Rzeczypospolitéj
Podarki bierze; jakoby sam tylko
Wcale miał zostać kiedy wszytko zginie.

Słowa te miały odbić się echem wyrzutu sumienia w niejednéj duszy licznych uczestników intryg i zabiegów politycznych świeżych bezkrólewi.

Następujący potém dyalog między Antenorem a Aleksandrem, charakteryzuje dosadnie tych dwu ludzi występujących do walki, od któréj wyniku zależéć będą losy społeczeństwa. Poeta z niepospolitym artyzmem uwydatnił tu stopniowe przechodzenie od chłodnéj, ironicznéj uprzejmości do roznamiętnienia objawiającego się u Aleksandra obelżywemi podejrzeniami i zarzutami, czynionemi przeciwnikowi, u Antenora zaś przejściem od trzymanego na wodzy oburzenia do ironicznego wybuchu i gniewnego lecz poważnego przerwania przechodzącéj granice przyzwoitości rozprawy.

Gdyby poeta, nie krępując się formami i zasadami tragedyi greckiéj, chciał rozwinąć w szeregu scen działalność Antenora i Aleksandra w sprawie pozyskania stronników śród zasiadających na sejmie obywateli, otrzymalibyśmy szekspirowskie obrazy życia politycznego polskiego w wieku XVI. Że poeta miał w duszy bogaty materyał i że może umiałby w razie potrzeby go obrobić artystycznie, świadczy o tém obraz sejmu.

Zamiast tego jednak ukazuje nam poeta Helenę, pośrednią przyczynę grożącéj Troi katastrofy. Jakże marném jestto szczęście, dla którego Aleksander tyle ofiar składa. Ta upragniona Helena złorzeczy „bezecnemu“ uwodzicielowi i w najsmutniejszych pogrąża się obawach i przewidywaniach.

W pięknym, o lirycznym nastroju, dyalogu, Helena skarży się przed swą ochmistrzynią na przewagę cierpienia nad radością w życiu, na nierówność w rozdziale dóbr między ludźmi.

Zarówno bliższe zetknięcie się z życiem polityczném i upadkiem moralnym współziomków, jak obrachunek smutków i radości własnego życia, doprowadziły poetę do pesymistycznych wniosków o nieuchronnéj przewadze złego w świecie. Siła i szczerość nastroju duszy wywołanego przez taki pogląd nadaje skardze Heleny mu-

zykalną piękność i wdzięk melancholijny. Poeta chce walczyć ze złem całą siłą swych uczuć, swego artyzmu a jednocześnie dochodzi do przeświadczenia, że „więcéj ci złego na tym świecie niż dobrego,“ że fortuna musi być skąpą w szafunku dobra, człowiek winien się godzić z cierpieniem jako koniecznością życia. Przekłada sobie jednak poeta, że „bardziéj do serca to co boli człowiek przypuszcza, niżli co k'myśli się dzieje i stądże się zda, że tego jest więcéj co trapi, niżli co człowieka cieszy.“

Mimo chwilowych wątpliwości, Kochanowski w głębi duszy żywi silne przywiązanie do ideału moralnego, na którym chciałby oprzéć życie jednostkowe i zbiorowe. W drugim chórze ukaże się nam natchnionym głosicielem tego ideału, przemawiającym do tych „co pospolitą rzeczą władają“ z namaszczeniem i siłą Skargi pouczającego w kazaniach sejmowych „obmyślaczów dobra pospolitego.“ Majestatyczna prostota tego chóru jest wiernem odbiciem nastroju duszy Kochanowskiego, który zajął tu najpodnioślejsze stanowisko, o jakie pokusić się może poeta, stał się kapłanem głoszącym doniosłe prawdy, domagającym się w imieniu mas narodu sprawiedliwości od tych co trzymają w swych rękach ster rządów i wskazującym jako wzór do naśladowania sprawiedliwość najwyższą.

Opowiadanie o przebiegu obrad sejmowych możnaby z łatwością przerobić na scenę, któréj by się i Szekspir nie powstydził, tyle w niéj prawdy, werwy i trafnego pojęcia psychologii zgromadzeń publicznych. Barwniejszym i krzykliwszym jest wprawdzie sejmik w zaścianku dobrzyńskim, ale trzeba pamiętać, że Kochanowski odtwarza nam obrady sejmu, a Mickiewicz maluje nawet nie sejmik powiatowy ale zebranie szlachty zaściankowéj, przytém twórca „Odprawy“ krępowany jest wymaganiami uroczystego nastroju, koniecznego w tragedyi.

Ta tragi-komedya obłudy, rozgrywająca się od kilku tysięcy lat we wszystkich zgromadzeniach publicznych, świéżo obserwowana przez poetę na licznych zjazdach okresu elekcyjnego, została tu pochwycona i odtworzona z wielką trafnością i miarą. Ten Pryam upewniający, że u niego „pospolitéj rzeczy powinowactwo większe“ niż węzły rodzinne, a mimo to osłaniający przed sejmem zarówno czyn syna („Syn mój w Grecyi żony dostał, niewiem jako“) jak i następstwa jakie stąd mogą wyniknąć, budzi jeszcze w nas pewną pobłażliwość. Słabemu ojcu możemy wybaczyć takie wahanie się między obowiązkami monarchy a względami na syna. Za to obłuda Aleksandra jest bezczelną. Dla przekonania łatwowiernych a pobożnych o słuszności swego czynu powołuje się na wolę Bogów

(„Wenus mi ją sama zaleciła i za żonę dała“), by ująć mniéj naiwnych osłania swe bezprawie pozorami odwetu narodowego za porwaną kiedyś przez Greków Medeę, („onym się zyść miało Medeą z domu wykraść od przyjaciół naszych; A mnie zaś, ich fortelu takimże fortelem oddać się nie godziło?”). Porwanie Heleny to tylko słaba odpłata za niezliczone krzywdy przez Greków wyrządzone. Niech więc oni zwrócą Medeę, jeśli chcą odzyskać Helenę.

Ten płytki patryotyzm a właściwie szowinizm narodowy, na którym stara się wesprzéć swe usprawiedliwienie Aleksander, stanie się potężnym i decydującym czynnikiem, za sprawą zręcznego i wymownego gardłacza sejmowego Iketaona. Jak szekspirowski Antoniusz, potrafi on poruszyć najdraźliwsze struny uczuciowe w naiwnych słuchaczach i pociągnąć ich za sobą. Od razu wstrząsa i odurza on sejmujących fanfarą próżności narodowéj i grozą urojonego niebezpieczeństwa:

Owa jako nam kolwiek Grekowie zagrają
Tak my już skakać musim...
. . . . . . Teraz nam Helenę
Wydać każą, po chwili naszych się żon będą
I dzieci upominać.

Krzykliwa namiętność oszołomia tak słuchaczy, że nie zdając sobie sprawy z nielogiczności i bezzasadności rozumowań mówcy, w podnieceniu patryotyczném, nie pozwalają dojść do głosu przedstawicielom przeciwnego obozu i uchwalają przeważającą większością odmowną odpowiédź posłom greckim.

Mowa Antenora poważna, logiczna ale chłodna, przy końcu staje się rozwlekłą i nudną w zwrocie do króla, nic więc dziwnego, że przebrzmiała w sejmie bez skutku, zwłaszcza że mówca przemawiał do rozumu nie zaś do uczuć słuchaczów.

Mimo to scena sejmu stanowi najświetniejszy ustęp całego dramatu. Jeżeli się zgodzimy, że jedynym, istotnym bohatérem utworu jest społeczeństwo trojańsko-polskie, to w scenie téj mamy odtworzony doniosły moment jego życia, patrzymy na spełnienie czynu, który pociągnie za sobą zgubę bohatéra.

Jaskrawą charakterystykę stanu moralnego społeczeństwa trojańskiego, wygłasza jeden z posłów greckich Ulisses, którego opinia jest jakby echem sądów i relacyi, jakie niejednokrotnie przesyłali rządom swym posłowie i agenci obcych państw, uwijający się po Rzpltéj w czasie bezkrólewia. Tém tylko od nich się różni, że chłodną przedmiotowość, złośliwość czy ironią, zastępuje tu gorące obu-

rzenie i ubolewanie, mniéj może właściwe jako wyraz uczuć cudzoziemca, posła, obrażonego odrzuceniem słusznych żądań. Jeśli jednak zechcemy, jak to zapewne rozumieli współcześni, co stwierdza poniekąd Opaliński, odnieść tę przemowę do Polski, to postawić ją musimy, wraz z drugim chórem, obok proroczych upomnień i ostrzeżeń Skargi. Gorącością oburzenia i siłą słowa, boleścią patryotyczną, poeta zbliża się do wielkiego kaznodziei. Z załamanemi rękami patrzy on na to „nierządne królestwo i zginienia bliskie, gdzie ani prawa ważą ani sprawiedliwość ma miejsce, ale wszytko złotem kupić trzeba." Po następném pokoleniu niczego się spodziewać nie można prócz zguby, jaką ten „wrzód szkodliwy" zapowiada Rzeczypospolitéj. Zgodnie z innemi świadectwami przedstawia poeta obyczaje pokolenia, zrodzonego koło połowy XVI w. i wychowanego wśród przełomu doniosłego w pojęciach i stosunkach politycznych, religijnych, i ekonomicznych, w ciemnych bardzo barwach.

. . . . ci cnocie i wstydowi cenę
Ustawili i przed tymi trudno człowiekiem być
Dobrym, ci domy niszczą, ci państwo ubożą
A rzekę że i gubią . . .
A przykładem zaś swoim jako wielką liczbę
Drugich przy sobie psują?

Skarga jaką do Bogów zanosi Menelaus, następujący po niéj chór („O białoskrzydła morska pławaczko"), i przepowiednia Kassandry przenoszą nas znów na grunt grecko-trojański. W tych ustępach okazał poeta niepospolitą zdolność odtwarzania form i ducha poezyi starożytnéj. Ten artyzm naśladowczy może nas zająć, ująć pięknością formy, obudzić podziw, ale do duszy nie przemawia. Monolog Kassandry na scenie przy odpowiedniéj deklamacyi i grze, mógłby silne wywrzéć wrażenie, ale wtedy większa część zasługi należałaby się artystce za odtworzenie stanu podniecenia i podniesienia duchowego, w jakim ukazuje się nam ta córa Pryama. W czytaniu jednak nie budzą przepowiednie Kasandry uczucia naszego. Prócz szczeréj zapewne skargi poety na brak „wagi w słowiech", któremi wieszczego ducha swego chciałby wyrazić, na obojętność z jaką ludzie przyjmują jego przestrogi, nie spotykamy tu ni jednego obrazu czy myśli, któreby znalazły oddźwięk w naszéj duszy. Zstąpienie natchnienia na Kassandrę skréślone dość ciężko. Dopóki poeta mógł współczesne stosunki własnéj ojczyzny przenosić na widownią trojańską, dopóty nie krępując się względami na

wymagania prawdy dziejowéj kréślił nam trafne, głęboko ujęte i żywo odtwarzane zarysy polskich stosunków, z chwilą jednak gdy wypadło mu przedstawić katastrofę dziejowego dramatu, sprowadzoną przez błędy i zaślepienie społeczeństwa, spostrzegł że nie podoła zadaniu, że w ramach dziejowego zaniku maleńkiego państewka rozpostartego na kilku wzgórzach i małym skrawku wybrzeża morskiego, nie podobna pomieścić katastrofy obalającéj dziejową budowę wielkiego społeczeństwa. Przytém nie umiałby zapewne sformułować poeta swoich obaw i przewidywań z tą wyrazistością i proroczém jasnowidzeniem, jakie spotykamy u Skargi. Być może, iż tę niemoc swą miał na myśli, skarżąc się na Apollina „który wieszczego ducha dawszy, nie dałeś wagi w słowiech." Z tego powodu ograniczył się poeta na obrazach i faktach mających związek tylko z Troją homeryczną, choć w rozmowie Antenora z Pryamem, w obrazie przygotowań do wojny z Grecyą, używa wyłącznie prawie rysów i wyrażeń wziętych ze stosunków współczesnych polskich i kończy wreszcie utwór pobudką wojenną włożoną w usta Antenora:

> Ba, radźmy téż o wojnie, nie wszytko się brońmy;
> Radźmy jak kogo bić lepiéj niż go czekać.

Słowa te odniesione do Troi i do sytuacyi w jakiéj je wygłasza Antenor są niewłaściwe, stają się zrozumiałemi dopiéro gdy je uważać będziemy za nawoływanie społeczeństwa polskiego do popierania planów Batorego. Artyzm musiał tu ustąpić patryotyzmowi.

VI.

Jak w „Odprawie" pociąga nas i wzrusza najwięcéj nie to, co widzimy na scenie, ale to, co poeta dość przejrzyście ukrył w postaciach i wypadkach świata greko-trojańskiego, by odtworzyć poniekąd dramat życia dziejowego, własnego społeczeństwa, tak znowu w „Psałterzu" czarować nas będą nie tyle tony harfy Dawidowéj, ile śpiéw serca poety, którego melodya oplatać będzie i przekształcać podniosłą lecz monotonną psalmodyą kapłana-poety, jak tęskna modlitwa Gounoda unosząca się nad falami preludyi Bacha.

Przekład Kochanowskiego, mówiąc językiem muzycznym, jest swobodną transkrypcyą pieśni psalmisty, opartą po części na przeróbce humanistycznéj, łacińskiéj, „Psałterza" dokonanéj przez Buchanana.

W transkrypcyi téj ulegnie zmianie zarówno ton jak tempo, rytm i koloryt pierwowzoru; stąd nie tylko jako wyraz artyzmu formalnego, występującego tu w niezwykłym blasku, ale także jako odtworzenie różnych odcieni uczuciowych duszy ludzkiéj „Psałterz“ Kochanowskiego jest niewątpliwie najpiękniejszém dziełem poety.

Zawiedziony w miłości, przyjaźni, ambicyi, odsunięty od świata, nie tylko przez osiedlenie się w Czarnolesie, ale więcéj jeszcze przez duchowe wyniesienie ponad poziom otoczenia, szuka poeta pociechy i pokrzepienia w poezyi i uczuciu religijném. Gdy ludzie nie chcą cieszyć serc jego pieśniami, gdy jeden Myszkowski tylko „wzgardzone muzy“ ocenił życzliwie, lecz sam się przeniósł w dalekie okolice, otrzymawszy biskupstwo płockie, poeta przed Bogiem jedynie otworzyć może swe smutne serce. W szczerości i gorącości jego uczuć religijnych możnaby upatrywać wpływy dziedzictwa duchowego po matce, która z krwią Odrowążów przechować musiała i tradycyjną religijność starego rodu.

Że przytém poeta chciał rozwinąć i uwydatnić zasoby swego artyzmu, że świadomie i z niezwykłą starannością dobierał form wiersza i zwrotek dla uwydatnienia różnych stopni i odcieni swych uczuć, o tém świadczy zarówno bogactwo udoskonaleń nieznanych dotąd w poezyi polskiéj jak i podniesienie téj zasługi przez samego poetę w dedykacyi „Psałterza“ Myszkowskiemu. Praca nad „Psałterzem“ trwała prawdopodobnie około lat 9, jeżeli zestawimy datę listu do Fogelwedra (1571 r. 6 października) donoszącego o rozpoczęciu roboty z datą ogłoszenia drukiem (1579 r.). Rzecz naturalna, iż nastrój duszy poety ulegał w tym czasie wielu zmianom, pod wpływem zmian w losach i warunkach bytu. Zarówno żywy udział w życiu politycznem epoki elekcyjnéj, jak ożenienie, życie rodzinne, rosnąca świadomość własnych uzdolnień, uleczą poetę powoli ze smutku, jaki owładnął jego sercem w epoce utworzenia „Muzy“ i pracy nad pierwszą księgą „Psałterza“ [1]).

Bom od wszystkiego świata opuszczony
Pełne mam serce nieznośnéj żałości (Psalm XXV).

Osobista skarga poety nie tylko przekształca w psalmie XXXV ton i formę oryginału, ale wprowadza nieznane psalmiście obrazy i wyrażenia:

---

1) Z konieczności muszę powtórzyć tu niektóre przykłady i rysy pomieszczone już w dawniejszéj méj pracy „Kochanowski w świetle własnych utworów.“

Wiodą to na mnie o czem me poczciwe
Serce nie myśli
. . . .
Głodni pochlebce czci mi uwłaczali,
Mną sobie gęby dworni wymywali
Darmozjadowie.

Z jakąż siłą wiary, cierpienia, woła następnie poeta:

Panie kto Tobie rówien? Ty ubogich
Trapić możniejszym nie dasz; Ty z rąk srogich
Nędzne wyrywasz.
Widzisz o Panie, jawną krzywdę moją,
. . . .
Osądź mię według swéj sprawiedliwości
A nie daj Panie przeklętéj zazdrości
Pociechy ze mnie.

Każda zwrotka w tym wspaniałym wybuchu uczuć przedstawia nam rosnące gwałtownie *crescendo* oburzenia czy protestu, przerwane jakby potężnym akordem w innéj tonacyi, półwierszem nierymującym się wcale. Psalm ten czeka na muzyka, któryby zrozumiał poetę i odtworzył tonami całą gamę uczuć od prośby pokornéj do wybuchu gniewu i nienawiści.

Czy istotnie ludzie tak dokuczyli poecie czy téż może odczuwał on zbyt silnie zwykłe zawody i niepowodzenia życia, trudno odgadnąć, nie znając bliżéj tajemnicą okrytych stosunków.

Jak żywo odczuwał poeta drobniejsze przeciwności życiowe, o tém świadczy nieposполitéj piękności „Modlitwa o deszcz“ pochodząca zapewne z téj epoki co i przekład „Psałterza.“

Wszego dobrego dawco i Szafarzu wieczny,
Tobie ziemia spalona przez ogień słoneczny,
Modli się dżdża i smętne zioła pochylone,
I nadzieja oraczów, zboża upragnione.

Obraz ten nie dorównywa wprawdzie tragicznemu odtworzeniu przez Ujejskiego rozpaczy Agary błagającéj litości nad konającym z pragnienia synem, ale za to tchnie wzruszającą szczerością i ciepłem uczucia wiążącego poetę zarówno z Bogiem „dawcą wszego dobrego“ jak i z cierpiącą, smętną przyrodą.

Zawody doznane w stosunkach z ludźmi, osamotnienie do którego i sam poeta może własnemi błędami, zwłaszcza zbytnią drażliwością i pewnością siebie mógł się też przyczynić, wywołały doniosłe dla charakteru i twórczości poety przesilenie moralne, którego

odbicie spotykamy w „Psałterzu“ i „Fraszkach“ (wiersze „do Jana”). Czując się „od całego świata opuszczonym“, a jako poeta nieuznanym („wzgardzone Musae moje“), serce swe przepełnił żalem do ludzi („pełne mam serce nieznośnéj żałości”). Cierpienie pobudziło refleksyą, skłoniło do ścisłego obrachunku sumienia, który wypadł korzystnie dla poety. Któż jednak mógł tu być sędzią, kto mógł uznać jego niewinność? Ten jedyny tylko, który czyta w tajnikach serc ludzkich.

Takiemu nastrojowi duszy zawdzięcza niezwykłą piękność formy i siłę wysłowienia psalm VII. Zacząwszy od westchnienia błagalnego ku Bogu („W tobie ja samym, Panie, człowiek smutny, Nadzieję kładę, ty racz o mię radzić“), dochodzi w szybkiém *crescendo* uczuciowém do pełnego siły protestu przeciw zarzutom i sądom nieprzyjaciół. Jeżelim winien, jeżelim dał „z siebie przyczynę“, jeślim „przyjaźni nie szczerze zachował,“

Niech nieprzyjaciel górę ma nademną
Niech mię w proch zetrze i moją cześć ze mną.

Uczucie religijne powstrzymuje poetę od wybuchów niechęci ku ludziom i daje mu siłę do znoszenia cierpień moralnych.

Jeśli mię mój Boże
Ty sam nie wyrwiesz, nikt mię nie wspomoże
. . . .
Ty bądź mym stróżem, niech się zły nie śmieje
Żem ja położył w Tobie swe nadzieje. (Ps. XXV).

Miłość ku Bogu jest źródłem natchnień tłumacza:

Serce mi każe śpiewać Panu memu
A język sercu posłuszny pełnemu,
Odbiera słowa i nowy rym dzieje (Ps. XLV).

Śpiéwa poeta za psalmistą.

W drugiéj połowie „Psałterza“ przebija się stopniowe uspokojenie i pogodzenie z warunkami życia. Wpłynąć mogło na to szczęśliwe życie rodzinne w pierwszych latach po zaślubieniu Doroty Podlodowskiéj a więcéj może jeszcze rosnąca w duszy poety ufność w Bogu, tak wymownie wypowiadana w wielu psalmach, wreszcie dojrzewająca w duszy filozofia życia, zakładająca szczęście na umiarkowaniu żądz i spokoju wobec zmian losowych. Jak w pierwszéj połowie „Psałterza“ najżywiéj i najwymowniéj wypowiadał Koch. swe skargi i cierpienia, tak znowu w drugiéj najpiękniejszemi są psalmy wyrażające ufność w Bogu lub wysławiające jego potęgę.

Z jakiém życiem, zapałem i zacięciem wesołym śpiewa poeta:

Bogu ufa dusza moja,
To mój zamek, to ma zbroja,
W nadzieję jego zasłony
Nie boję się z żadnéj strony (Ps. LXII).

Z jaką siłą wiary i powagą kaznodziei ukazuje ludziom ideał sprawiedliwości:

Królowie sądzą poddane,
A króle koronowane
Sędzia wiekuisty sądzi (Ps. LXXXII).

Wspaniały chór „Odprawy“ („Wy, którzy pospolitą rzeczą władacie“) jest właściwie tylko parafrazą powyższego psalmu. Nic dziwnego, że najpopularniejszym z psalmów drugiéj seryi stał się ten, w którym poeta uczucie ufności w Bogu i spokoju, jaki stąd spływa na duszę ludzką, wyraził z tą nieporównaną prostotą i szczerością nadającemi pieśni „Kto się w opiekę” od trzech wieków znaczenie ulubionéj, narodowéj niemal modlitwy.

Ciekawym wyrazem téj radosnéj ufności w opiekę Boga, stwierdzonéj własném doświadczeniem, jest psalm LXXII:

Niech co chce będzie, żyw Pan ludu swemu
I zna kto szczerym sercem służy jemu.
Jaciem poprawdzie o włos nieszwankował:
Mój nierozumny rozum to sprawował.
Bo kogo — prze Bóg żywy — nie pobudzi
I ten wczas i ten dostatek złych ludzi.

Cały ten psalm, pełen życia i uczucia, jest jakby spowiedzią osobistą poety, osnutą na kanwie myśli psalmisty.

Uczucia narodowe znalazły też swój wyraz w przekładzie psalmu LXXIX-go.

Pohańcy, o Boże żywy,
Wojują twój kraj właściwy.

Mamy tu jakby uzupełnienie znanéj pieśni o napadzie tatarskim („Wieczna sromota i nienagrodzona Polaku szkoda“).

W psalmie CXXVIII-ym opiewa nam poeta ideał szczęścia osobistego, opartego na ogólném.

W rzeczypospolitéj zgodę
I całą ujrzy swobodę,
Ujrzy synów swoich plemie
I spokojną zewsząd ziemię.

Psalm CIV „Dusza śpiewaj Panu pieśń“ jest niewątpliwie najwspanialszém zobrazowaniem stosunku Boga do świata, jakie posiadamy w poezyi naszéj.

Wprawdzie poeta hebrajski daje Kochanowskiemu gotowe już obrazy i myśli, ale w porównaniu do przekładu, pierwotwór jest poważném *recitatiwem*, urywaném, monotonném, kiedy u poety polskiego rozbrzmiewa podniosła, szeroka melodya, wzbijająca się chwilami do potęgi i szczytności hymnu archaniołów, to znowu przechodząca w łagodne „pastorale“ lub uczuciową modlitwę.

Porównania z zakresu form muzycznych wzięte, mimowolnie nasuwają się przy rozpatrywaniu „Psałterza“. Wiecznotrwała piękność tego przekładu i znaczenie doniosłe w rozwoju poezyi polskiéj, polega przedewszystkiém na umuzykalnieniu języka, przez upodatnienie go do odbicia bogatéj gamy tonów uczuciowych, wymagających odrębnych form wiersza, zwrotki i stylu.

Nic dziwnego, że zaraz po ogłoszeniu „Psałterza“ znalazł się w Gomółce znakomity komentator muzyczny, który w swych „Melodyach na Psałterz“ starał się ująć w ówczesne formy muzyczne, unoszące się nad słowami poety rytmy i tony fal uczuciowych [1]).

Trzycieski wysławia muzykalność wrodzoną Reja, ale utwory poety nie noszą na sobie piętna ni rytmicznych, ni melodyjnych popędów. Uczuciowość Reja tak mało przedstawia odcieni, zamkniętych w tak ciasnéj skali, zarówno pod względem siły natężenia, jak stopnia wzniesienia czy pogłębienia, że nie mogła wycisnąć wydatniejszego piętna na formie i stylu utworów. Ze słów Trzycieskiego można się domyślać, że muzykalność twórcy „Wizerunku” polegała na słuchu i pamięci wybornéj, skutkiem czego łatwo chwytał i zatrzymywał raz słyszane melodye. Kochanowskiego muzykalność miała swą podstawę w duszy, w bogatym rozwoju uczuć, które, nie znajdując dla siebie bezpośredniego wyrazu w formach muzycznych niedostępnych dla poety, nadały pochodowi myśli, układowi wierszy i formie strofek, wznoszenia się i spadki, falowania i zatrzymywania właściwe melodyom, odbijającym głębsze stany uczuciowe, lub grę ścierających się fal uczuciowych. W pieśniach „Sobótki,” przeważa nad melodyą ruch rytmiczny jednostajny, jakby echo tańca w podskokach wykonywanego przez koło dziewcząt.

Do wielu pieśni Kochanowskiego ułożono muzykę lub przysto-

---

[1]) Prawie współczesne pojawienie się melodyi Gomółki, pozwala się domyślać wcześniejszego udzielania mu przez poetę w rękopisie jeszcze przekładanych częściowo psalmów.

sowano jakąś dawniejszą melodyą. Nietylko „Czego chcesz po nas Panie”, ale i „Pieśń o potopie” były śpiewane, a melodya téj ostatniéj tak powszechnie znana, że Klonowicz każe swego „Flisa” śpiewać na nutę: „Przeciwne chmury”. Pisząc pieśń: „Bodajci złe dni nie chcesz mię miłować”, z powtarzającym się po każdéj zwrotce przyśpiewem:

Biadaż mnie na cię, to mnie głowę psujesz
Inaczéj niewiem, jeno mię czarujesz.

musiał poeta mieć na myśli jakąś znaną melodyę, do któréj przystosował formę pieśni.

Podobnież w przekładzie psalmu LXVIII, to stale powtarzające się przenoszenie połowy drugiéj zdania do następnego wiersza, jest jakby echem form śpiewu kościelnego:

....sierotom tęskliwym
Ten jest ojcem, ten smutne opatruje wdowy,
Ten niepłodnym potomstwo daje, ten okowy
Ciężkie z więźniów zdejmuje...

O ile jednak poeta w pierwszéj epoce swéj twórczości przystowywał formę swych pieśni do znanych mu rytmów, czy melodyi, o tyle w epoce pracy nad „Psałterzem”, pod wpływem nowych stopni i odcieni uczuciowych, dla których znane mu ówczesne melodye nie dostarczały odpowiedniéj formy, zostawał on często pod wpływem téj nieujętéj, idealnéj muzyki własnego serca, oczekującéj dotąd na genialnego artystę, zdolnego odgadnąć ją ze stylu i toku wiersza w „Psałterzu” i ująć w formy melodyjne. Ta muzykalna piękność występuje w „Psałterzu” tam tylko, gdzie wchodzi w grę uczucie poety. Gdzie zaś wyraża pojęcia czy obrazy obojętne mu, staje się chłodnym, bladym, rozwlekłym. Metryczna budowa wiersza jest zwykle nieregularną, niestaranną. O ile względy muzykalne zniewalają go do obmyślania urozmaiconéj budowy zwrotek w połowie niemal pieśni składających „Psałterz“, o ile z tych powodów wprowadza w czterech psalmach rymy przekładane, nieznane dotąd w poezyi polskiéj, o tyle nie troszczy się o systematyczne przeprowadzenie jednéj kombinacyi w układzie miar wierszowych danego utworu.

Wobec bogactwa czynników artystycznych, jakie Kochanowski wprowadza do poezyi polskiéj, można mu to zaniedbanie wybaczyć.

VII.

Najwyższego stopnia w rozwoju uczuciowości dosięgnie dusza poety pod wpływem najsilniéj odczutéj ze strat, jakie poniósł on w swém życiu — niespodzianéj śmierci trzydziestomiesięcznéj zaledwie córki.

Cały dorobek duchowy poety, cała jego filozofia szczęścia, opartego na umiarkowaniu i spokoju duszy, religia indywidualna ugruntowana na przeświadczeniu, iż Bóg sprawiedliwy stosuje już w życiu ziemskiém stopień kar do wysokości wykroczeń, runęły w zetknięciu z powiewem nieskończoności, który, gasząc ten drobny płomyk obiecujący stać się słońcem starości nieszczęśliwego ojca, wypełnił mu duszę mgłą smutku i zwątpienia. Śmierć Urszulki wstrząsnęła ustaloną w duszy poety z niemałym trudem równowagę moralną, odsłoniła przed nim ciemne głębie nieskończoności, w które nigdy się nie zapuszczał, poprzestając na swéj prostéj, w ciasnych granicach zamkniętéj filozofii i religii zarazem.

Po raz pierwszy w życiu odczuje poeta z całą siłą marność człowieka, ograniczoność jego umysłu, niemoc wobec tajemniczéj potęgi, obalającéj w jednym momencie owoce długoletnich przygotowań i plany na daleką przyszłość.

Pomimo doznanych w życiu zawodów, pomimo swéj szczeréj religijności, poeta nie tracił nadziei osiągnięcia szczęścia w tém życiu; choć chętnie zwracał się do Boga, jako dobrego ojca i sprawiedliwego sędziego z prośbami lub skargami, nie tęsknił przecie za niebem, nie pociągały go ku sobie przestwory nieskończoności, jak Sarbiewskiego, nie zbrzydła mu ziemia. Sądził on, że już skończył się dla niego okres zawodów i cierpień, że doszedł do tego stopnia doskonałości moralnéj i równowagi duchowéj, na którym człowiekowi należy się zbiérać owoce dojrzałości i używać spokojnego szczęścia w życiu doczesném.

Ta upragniona i zasłużona, w przekonaniu poety, nagroda zawodów, trudów i wysiłków moralnych, zapada się nagle pod jego stopami; wraz z trumienką Urszulki grzebie on wszystkie swe nadzieje. Nic dziwnego, że wstrząśnięta takim ciosem dusza poety wydobędzie z siebie tak silne, podniosłe, gorące i głębokie tony uczuciowe, do jakich dotąd nigdy zdolną nie była, jakich nie spotkamy w poezyi naszéj do czasów, gdy wielkie, ogólne boleści znajdą oddźwięk w wielkiém sercu wieszcza narodowych cierpień i pragnień.

Wypowiadając w „Trenach“ różne momenty duchowego przesilenia, wywołanego przez to wstrząśnienie moralne, poeta bezwiednie stworzył wspaniały poemat psychologiczny, z którym do pojawienia się „Dziadów“ nic nie możemy porównać.

Choć utwór swój Kochanowski nazwał żalami na zgon córki, całe współczucie i zainteresowanie czytelnika dzisiejszego zwraca się ku duszy samego ojca i zachodzącemu w niéj procesowi. Wdzięczna postać dwuletniéj dzieciny wprowadza do utworu niezwykły kontrast zespolenia uczuciowego dwu dusz, z których jedna dopiéro budzić się do życia zaczęła, kiedy druga dochodzi do kresu swego rozwoju. Patrząc z rozkoszą na wywołane przez pieczołowitość ojcowską wczesne tak objawy rozwijania się władz duchowych w Urszulce, tém śmielsze i świetniejsze snuł Kochanowski dla córki i swego przyszłego szczęścia nadzieje.

Sam poeta zaznacza to niejednokrotnie, że rozpacz po stracie dziecka potęguje w nim jeszcze ruina dotychczasowych zdobytych z trudem przekonań.

Nieszczęśliwy ja człowiek, którym lata swoje
Na tym strawił, żebych był ujrzał progi twoje (mądrości).
Terazem nagle z stopniów ostatnich zrzucony
I między insze, jeden z wiela policzony.

Co znaczy mądrość cała ludzka, tyle obiecująca, tak śmiało rozwiązująca wszystkie kwestye wobec nieskończoności sfer zaświatowych:

Wspinamy się do nieba, Boże tajemnice
Upatrując, ale wzrok śmiertelnéj zrzenice
Tępy na to: sny lekkie, sny płoche nas bawią,
Które się nam podobno nigdy nie wyjawią.

Doszedłszy do tak pesymistycznego zapatrywania się na owoce mądrości ludzkiéj, widzi poeta, że wraz z „pociechą” (córką) traci i „baczenie swoje”, t. j. świadomość siebie i swego stanowiska na świecie.

Jak nieszczęśliwy kochanek Maryli, pod wpływem boleści serca zranionego, obojętnieje na swe ideały filareckie i z ironią powtarza początek „Ody do młodości”, jako wyraz przekonań i dążeń straconych już dla niego; podobnie i nieszczęśliwy ojciec Urszulki swe niedawne tak doniosłe i drogie mu pojęcia uważa po doznanym ciosie za urojenie, za „sny lekkie i płoche“.

Nieskończoność dla tych, których praca myśli goniącéj za absolutem, lot wyobraźni szukającéj ideału, lub porywy serca tęskniącego za najwyższém dobrem i sprawiedliwością, oswoją z bez-

miarami, przestaje być straszną, przeciwnie pociąga i upaja, wywołuje tęsknotę za sobą, pragnienie wyzwolenia się z ciasnéj widowni życia ziemskiego. Sarbiewski już wymownie maluje to uczucie i śmiało wzbija się w przestwory nadziemskie.

Kochanowski nie posiadając lotnéj wyobraźni, ni zapalnego serca, poprzestawał na świecie, jaki zbudował pracą własnéj myśli z kombinacyi pojęć i obrazów biblijnych i stoickich, nie zaglądając nigdy po za kulisy z obłoków otaczających tron najwyższego władzcy téj ziemi, przed którym przywykł kornie uniżać swą głowę. Nie były mu obce wprawdzie pojęcia Platona, ale nie czuł się zdolnym do abstrakcyjnéj pracy myśli:

....Cóż gdzie nasze oczy
Dosiąc nie mogą? gdzie myśl, która niebem toczy,
Gdzie sama piękność świeci i kształty wszechrzeczy,
Nie może tego pojąć mdły rozum człowieczy.

Niespodziewana śmierć dziecka ukazała mu po za temi różowemi obłokami poraz pierwszy ciemną głębię, w któréj zrozpaczony ojciec nie mógł dojrzéć sprawiedliwego Ojca i Sędziego, jakiego tam sobie wystawiał.

Nieznajomy wróg jakiś miesza ludzkie rzeczy,
Nie mając ani dobrych, ani złych na pieczy,
Kędy jego duch wionie żaden nie ulęże
Prawli, krzywli, każdego bez braku dosięże.

Przypuszczenie takie sprzeczne z dotychczasowemi pojęciami poety, drażniące tylko, lecz nie zdolne uspokoić bólu serca, ustąpi naturalnie miejsca innemu, które na dłużéj, trwale może, zawładnie duszą cierpiącego — pojęciu o bezsilności rozumu ludzkiego, co do rozwiązania kwestyi stosunku człowieka do potęg zaświatowych.

Świadomość téj bezsilności wytworzy w sercu poety nowe uczucie, nieznane mu dotąd: pokorę, pod któréj wpływem zrzeka się on wobec Boga swych indywidualnych dążeń i wymagań.

Wynurzenia pokorne znajdujemy już i w „Psałterzu“, choć tam możnaby je uważać tylko za wyraz przejęcia się tłómacza uczuciami oryginału, dopiéro więc w „Trenach“ spotkamy otwarte, szczere i gorące wyznanie téj pokory, nadające poraz pierwszy cechę chrześciańską religijności Kochanowskiego:

My nieposłuszne, Panie, dzieci twoje,
W szczęśliwe czasy swoje
Rzadko cię wspominamy.
. . . .

Niechaj na cię pomniemy.
Przynajmniéj w kaźni, gdy w łasce nie chcemy.
. . . .
Pierwéj świat zaginie,
Niż ty wzgardzisz pokornym,
Chociaż był długo przeciw Tobie spornym.

Ten akt pokory w połączeniu z doznaném cierpieniem wyzwoliły serce poety z resztek krępującego je pancerza indywidualizmu. Poraz pierwszy otworzy on głębie uczucia przed ludźmi i dobędzie z serca tony rozrzewniające swą szczerością i prostotą. Poraz pierwszy przemawiać będzie do czytelnika nie dworny mówca i mentor, nie natchniony kaznodzieja i polityk, lub osamotniony na swym piedestale śpiewak, lecz cierpiący człowiek, nieszczęśliwy ojciec, chcący się podzielić z braćmi ludźmi swą boleścią, szukający ulgi w ich współczuciu, jako „jeden z wiela“ nieszczęśliwych.

Jak Werther wołający: „Serce takie ja mam tylko sam”, tak i Kochanowski upewnia nas z całą siłą przeświadczenia:

Żaden ojciec podobno bardziéj nie miłował
Dziecięcia, żaden bardziéj nad mię nie żałował.

Podniecenie uczucia uzdalnia poetę do skreślenia tchnącego prawdą i wdziękiem wizerunku Urszulki, jedynego, na jaki się zdobył poeta w swych utworach, bo wymowny i udatny portret Doroty w „Sobótce” jest zręcznie przerobiony z charakterystyki Alcyny, wziętéj z „Orlanda”.

Gdy ten nastrój serdeczny osłabnie wraz z siłą cierpienia, znowu odezwie się w Kochanowskim dbały „o cześć ze swego płaczu” poeta, który zapragnie ująć w pewien ład częściowe wylewy uczuć i wynurzenia związanych z nimi myśli.

Dorobi więc obmyślane więcéj niż odczute, dwa pierwsze treny, w ostatnim zaś do opisu prawdziwego, stąd tak ujmująco przedstawionego snu, wprowadzi włożoną w usta zmarłéj matki przemowę (*consolatio*), będącą tylko szerszém rozwinięciem z odpowiedniemi do sytuacyi zmianami, nauki, jaką wygłaszał synowi z po za grobu hetman Tarnowski (w wierszu „O śmierci Jana Tarnowskiego”).

W nieśmiertelnych lamentacyach i medytacyach swych „Trenów” posługuje się poeta najczęściéj wierszem 13-zgłoskowym, nadającym się do uwydatnienia to głębokich westchnień przytłoczonéj smutkiem piersi, to znowu wzlotów duszy wyrywającéj się w swéj tęsknocie za zmarłą dzieciną. Gdy na widok pozostałych po niéj

pamiątek żal ściska pierś poety, tamując mu głos, znajduje on w kombinacyi 11-zgłoskowego wiersza z 7-zgłoskowym (w trenie VII) formę dwuwiersza, uwydatniającego wymownie to wydobywanie się słów skargi, przerywanéj kurczem ściskającéj się od bólu krtani:

Nieszczęsne ochędóstwo, żałosne ubiory
Mojéj najmilszéj córy.
. . . .
Giezłeczko tylko dała a lichą tkaneczkę;
Ociec ziemi bryłeczkę
W główki włożył; niestetyż! i posag i ona
W jednéj skrzynce zamkniona.

W saméj dykcyi tego trenu czujemy drżenie głosu ojcowskiego, tłumionego przez cisnące się łzy.

W trenie XVIII forma zwrotki (1 i 4 wiersz 11-zgłoskowy, 2 i 3 wiersz 7-zgłoskowe) odtwarza to błagalne wznoszenie się duszy z gorącą modlitwą ku Bogu:

Miéj nas na wodzy, niech nas nie rozpycha
Doczesna rozkosz licha;
Niechaj na Cię pomniemy
Przynajmniéj w kaźni, gdy w łasce nie chcemy.

Po raz pierwszy wprowadza téż Kochanowski do poezyi, jako wyraz tkliwości ojcowskiéj, zdrobniałe formy języka dziecięcego: Orszuleczka, szczebiotka, ręczynki, stopeczki, giezłeczko, ząmazeczka, letniczek, bryłeczka i t. d.

Choć odzyska z czasem nieszczęśliwy ojciec równowagę duchową, zawsze jednak przebyte wstrząśnienie zostawi trwałe ślady w nastroju uczuciowym i pojęciach. We „Wtargnieniu Radziwiłła" czyli „Jeździe do Moskwy", czuć w traktowaniu przedmiotu powagę i spokój człowieka, dochodzącego do kresu żywota i stąd niezdolnego już zapalać się dla spraw ludzkich. Nie tak dawno jeszcze przejmował się żywo zwycięstwami Batorego, teraz z ojcowską niemal powagą i życzliwością przemawia do Radziwiłła, a jego pochód opowiada z kronikarską drobiazgowością, widocznie na podstawie udzielonego sobie dyaryusza, który przerabia wierszem.

W liście do Zamojskiego, ogłoszonym przy wydaniu trzech pieśni w r. 1580, sam poeta wyznaje, iż pod wpływem przebytych cierpień stracił chęć i zdolność do tworzenia.

O tém śpiewać potrafi jedynie co go nie przestało obchodzić żywo. Stanie więc w obronie Zamojskiego, złoży wdzięczny hołd dobroci swéj towarzyszki życia, umiejącéj „słodkiemi słowy" wypę-

dzać troski z głowy smutnego męża, najchętniéj jednak wypowiadać będzie uczucie wywołane myślami o bliskiéj śmierci, która wydaje mu się teraz upragnionym portem dla rozbitków życia. Z serca swego dobędzie znękany poeta ton spokojnéj melancholii, miarkowanéj przez silną religijność.

Pewienem tego, a nic się nie mylę,
Że bądź za długą, bądź za krótką chwilę,
Albo w okręcie całym doniesiony,
Albo na desce biednéj przypławiony
Będę jednak u brzegu,
Gdzie daléj niemasz biegu;
Lecz odpoczynek i sen nieprzespany
Tak panom, jako chudym zgotowany.

Wobec śmierci i cierpienia poeta czuje się tylko „jednym z wielu“, rozumié nędze życia wspólne wszystkim:

....snać najmędrszemu
Trudno pogodzić temu,
Aby przynajmniéj więznąć, albo zbłądzić
Nie miał, chyba gdy kogo Pan chce rządzić.

Spokój rezygnacyi, wspartéj na ufności w Bogu i poddaniu się niepojętym wyrokom najwyższéj sprawiedliwości"— oto ostatni moment w rozwoju duchowym poety i ewolucyi uczuć, stanowiących czynniki jego artyzmu.

VIII.

W téj gamie tonów i półtonów uczuciowych, jakie z duszy poety przeszły do jego utworów, pominęliśmy dwa, tak doniosłe w życiu i sztuce: miłość i radość. Nie spotkaliśmy ich w najważniejszych utworach Kochanowskiego, widocznie więc nie odgrywały one wybitniejszéj roli w życiu duchowém. Wprawdzie we „Fraszkach“ i „Pieśniach“ znajdziemy nieraz miłość i wesołość, ale uczucia te nie wzniosą się nigdy ponad zmysłowe podniecenie, nie wypełnią sobą duszy poety.

Miłość występuje tu jako zmysłowy popęd, podniecający do przypodobania się z pomocą wydwornych pochwał i obietnic unieśmiertelnienia wybranéj za pomocą poezyi.

Ja na farbach malarskich nic się nie rozumiem,
Także wiele z marmorem postępować umiem.
Ale wierszem ozdobnym i rymy gładkiemi,
Mam nadzieję, że z mistrzmi porównam dobremi,

Temi ja przeciw długim latom się zastawię,
A za chęcią cnych Bogiń imię twe wybawię
Z niepamięci nieszczęsnéj; że o twéj urodzie
Będzie późny wiek wiedział i po naszym schodzie.

Hannie obiecuje w tym wierszu uwiecznienie jéj urody, ale wizerunku jéj nigdzie nie daje; za to kréśli zręcznie, przy pomocy wzoru, wizerunek Doroty. Z wdziękiem i dwornością włoską przemawia w wierszu do Reginy („Królewno moja"), udatnie, ale chłodno obiecuje „Pani" unieśmiertelnić jéj wdzięki w jednym z sonetów, jednak nigdzie ani ognia namiętności, ani uczucia żywszego nie możemy się doszukać. Podnioślejsze pojęcie o stosunku kobiéty do mężczyzny wytworzy się w duszy poety dopiéro w ostatnich latach życia, gdy nazwie dobrą żonę „koroną" głowy męża i ukaże w niéj anioła pocieszyciela dla znękanego trudami i troskami towarzysza.

Wesołość, cechująca młodsze lata poety, nie wzniosła się nad poziom żartu, często swawolnego, niekiedy rubasznego lub wymuszonego, rzadko oryginalnego. Niewątpliwie przeważna część pomysłów w żartobliwych fraszkach została zapożyczona bądź z obcych literatur, bądź z krążących między ówczesnymi ludźmi facecyi. Zasługą poety jest nadanie formy, niekiedy istotnie udatnéj, lekkiéj jak myśl wesoła, kryjąca się w wierszu, krótkiéj i żywéj jak wybuch śmiechu, który jéj musi towarzyszyć.

Najświetniejszym błyskiem artyzmu, do jakiego się wzniósł poeta podniecony przez wesołość, jest owe nieśmiertelne: „Nie każdy weźmie po Bekwarku lutni", którém ukoronował swawolną powiastkę „O gospodyni".

Że wesołość swą mógłby poeta uszlachetnić i podnieść na wyżyny humoru, o tém świadczy obraz sejmu w „Odprawie", a po części i „*Carmen macaronicum*".

Skala uczuć rozwiniętych w duszy poety i związanych z niemi odcieni artyzmu jest niezwykle bogata. Technika tylko jest mało udoskonalona, stąd nie umié on wyzyskać należycie swych bogactw umysłowych. Nie ma pojęcia o stopniowaniu czy to w układzie szczegółów, czy w wyrazîe uczuć, nie umié utrzymać się w tonie i obniża często nastrój opowieści czy pieśni, wstawia, idąc za modą, niepotrzebnie i niezawsze trafnie postaci i szczegóły z życia świata starożytnego do swych poematów i pieśni. Słabo rozwinięta wyobraźnia i brak zdolności spostrzegawczych nie pozwalają mu malować ludzi, przyrody, miejsc i przedmiotów. Opowiada za to wypad-

ki i wyraża uczucia żywo i wymownie. Brak plastyki i barwności zastępuje jasność, prostota, wytworność i muzykalność stylu.

W kompozycyi większych utworów opiéra się zwykle na gotowym już pomyśle cudzym, czy téż opowieści („Szachy“, „Satyr“, „Proporzec“, „Jezda“), tam zaś, gdzie rozwija swój pomysł („Sobótka“, „Treny“), nie umié w wynurzeniach uczuciowych zachować stopniowania i logicznego powiązania, wstęp i zakończenie mają tu służyć za ramy ujmujące w całość szereg pieśni, zostających, jak w „Sobótce“, w luźnym bardzo związku z głównym faktem. Trafnie, zręcznie i efektownie zaczyna poeta swe opowieści, czy liryczne utwory, zaciekawiając i zachęcając na wstępie czytelnika, nie umié jednak nietylko spotęgować tego zainteresowania, ale nawet utrzymać go w tym stopniu przez cały utwór. Zakończenia zwykle są słabe, blade, poeta nie stara się z opowieści swéj wydobyć jakiéjś donioślejszéj idei i użyć jéj za kres, do którego przez swe opowiadanie doprowadza czytelnika, nie potrafi téż przez stopniowe podnoszenie uczuć wznieść za sobą w krainę ideału. Zakończenie zwykle osłabia wrażenie, jaki na czytelniku wywarł świetny początek i piękne ustępy, zdobiące środek utworu.

Słowa Antenora, kończące „Odprawę“, są tylko okolicznościową przyczepką, w związku z ówczesnymi stosunkami politycznemi; zacierają one wrażenie, wywołane przez cały bieg akcyi i przez proroctwo Kassandry. Końcowy ustęp „Proporca“ poświęcony uwagom o unii krajów, nie połączony z osnową utworu, choć powiązanie nie przedstawiało trudności. Gdyby poeta zamknął utwór na słowach: „Nieogarnione lata przetrwa niestargana“, zostawiałby czytelnika pod wrażeniem wielkiéj idei, wypowiedzianéj z siłą i plastyką niezwykłą. Końcowy zwrot do króla osłabia podniosłość nastroju w utworze i w duszy czytelnika.

Rozwój umysłowy u Kochanowskiego pozostał w stosunku do uzdolnień artystycznych na niższym stopniu. Myśl u niego nie sięga tak głęboko i wysoko jak uczucie, a nadewszystko nie umié poeta donioślejszéj myśli rozwinąć szerzéj i wcielić w formy odpowiednie. Stąd w języku poety silniéj się odbiło umuzykalnienie, upodatnienie do wyrażania odcieni uczuciowych, niż uduchowienie przez nagięcie do wypowiadania subtelności pojęciowych. Bogactwo języka Kochanowskiego polega głównie na obfitości trafnie dobranych form przymiotnikowych, którym często on pierwszy zapewne podsuwa znaczenie przenośne, jak np. w licznéj grupie ulubionych mu przymiotników, utworzonych przez dodane na początku *nie*, a służących do określenia stosunków życia duchowego i sfer za-

światowych. Rzeczowników, wyrażających pojęcia oderwane, używa poeta stosunkowo mało. Ni władz duszy, ni stanów uczuciowych, ni stosunków duchowéj natury, nie potrafi on pojąć jasno i nazwać, choć je czuje i określa z pomocą przymiotników i czasowników.

Mimo tych wszystkich braków, bogactwem czynników duchowych, występujących w różnych stopniach rozwoju artyzmu, różnorodnością przedmiotów pociągających duszę poety, mnogością form, w jakich odtwarza treść téj duszy, szeroką skalą stanów duchowych i tonów uczuciowych, górować będzie Kochanowski nad całym zastępem współczesnych i następców, aż do wystąpienia Mickiewicza.

Nie wynika stąd, by ze śmiercią Kochanowskiego zatrzymał się rozwój artyzmu polskiego, by poezya nie doskonaliła się pod względem formalnym i nie rozwijała przez coraz szersze ogarnianie objawów życia narodowego i zagłębianie się w tajnikach serca ludzkiego.

Czynniki, jakie spotkaliśmy w duszy Kochanowskiego, osiągną pojedyńczo wzięte, niekiedy wyższy stopień siły u jego następców, niektóre z tonów uczuciowych zabrzmią z większą pełnością i potęgą, stosunek poetów do społeczeństwa stanie się poufniejszym, serdeczniejszym. Szymonowicz w „Kołaczach“, jako malarz dusz dziewczęcych i odbitego w nich życia szlacheckiego, zostawi za sobą daleko pod względem artyzmu „Pieśń świętojańską o sobótce“, Szarzyński, Szymon Zimorowicz, Twardowski, Morsztyn, jako śpiewacy uczuć miłosnych, wydobędą ze swych serc gorętsze tony i bogatsze odcienia, wyrażone z daleko większą rozmaitością, żywością i udatnością formy. Nieznaną Kochanowskiemu tęsknotę za sferami zaziemskiemi i subtelne odczucie piękna w przyrodzie spotkamy w lirykach Sarbiewskiego. Kontrast życia wiejskiego z dworskim wymowniéj odmaluje Gawiński. Sceny wojenne, życie towarzyskie, przyroda i zabawy wiejskie znajdą lepszych daleko malarzy w Twardowskim, Potockim, Kochowskim. Zespolenie uczuć religijnych z narodowemi nada „Psalmodyi“ Kochowskiego wzruszającą podniosłość, przenikającą głębiéj nasze serca, niż chóry „Odprawy“ lub „Proroctwo“ Kassandry.

Mimo to artyzm tych poetów nie pociąga nas tak ku sobie jak u Kochanowskiego. Najczęściéj w wyrazie uczuć, czy opowiadaniach, opisach, brak im téj miary, téj harmonii formy z treścią, cechującéj utwory śpiewaka czarnoleskiego.

W ich pieśniach razi nas często to przeciągnięcie, to niedociągnięcie tonu. W opowiadaniach zapał i podniosłość epicka przechodzą odrazu, jak u Potockiego, w ton gawędy żartobliwéj, suche recytowanie szczegółów lub napuszoną deklamacyjność panegiryczną. W żartobliwych nawet wierszykach brak najczęściéj tego wdzięku, na mierze i zwięzłości opartego, jaki cechuje wesołe fraszki mistrza Jana.

Poeci wieku XVIII jakże ubogo się przedstawiają w porównaniu z Kochanowskim pod względem bogactwa form artyzmu i szerokości skali uczuciowéj? Jakże monotonnym—w muzycznem znaczeniu wyrazu — jest Krasicki czy Naruszewicz, Kniaźnin czy Karpiński. Jeden Trembecki tylko zasobami swego artyzmu, zmarnowanego przez brak gruntu moralnego i związku bliższego z życiem ogółu, wyróżnia się wybitniéj śród grona poetów epoki stanisławowskiéj. Dopiéro jednakże słoneczny blask gieniuszu Mickiewicza zdoła przyćmić czyste i żywo drgające światło téj gwiazdy porannéj, jaką jaśniéć będzie na długie wieki, na horyzoncie naszéj poezyi, młody, a jednak tak bogaty i dojrzały zarazem artyzm Kochanowskiego.

Bronisław Chlebowski.



SONATA CIERPIENIA.

Leżał na ziemi wśród traw, z rękoma pod głową, wpatrując się w bezdeń nieba.

Dzień gasł i szarzał. Upał wraz ze słońcem uleciał gdzieś na zachód, pozostawiając za sobą łagodne oddechy, chłodzące i rzeźwiące rozpaloną ziemię. Cicho było i spokojnie, tak martwo spokojnie, jak to bywa nieraz w wieczór lipcowy, po dniu upalnym i znojnym, kiedy ani wiatr nie zaszeleści liściem, ani głos żaden nie zamąci ciszy. Drzewa spały, jakby zamarłe w swoim bezruchu, niby już stojące gdzieś na innym świecie, na którym życia nie ma. Gdzieniegdzie wśród traw strzelała w górę wyniosła dziewanna, zawsze ruchliwa i wiotka,—teraz spokojna i sztywna. Niżéj, przy saméj ziemi, słały się rumianki białe i żółte jaskry, niby drzemiąc na swoich łodyżkach i tonąc w spoczynku. Same tylko gwiazdy migotały gdzieś w dali, chwiejąc się trochę. Cisza przepoiła ziemię i, kojąc ją do snu, odjęła jéj ruch i życie. Czasem tylko smutna czajka zapiszczała żałośnie.

Orliczowi, leżącemu w trawach, wygodnie było jakoś, cicho i spokojnie. Wstrzymywał oddech niemal, żeby najmniejszym szmerem nie przerwać téj ciszy, nie zamącić bezruchu, w jakim wszystko tonęło. Rozkoszował się tą ciszą i wsłuchiwał w nią, a w niebo patrzał i gwiazd na niém szukał. Czuł się dziwnie tym gwiazdom bliski i zespolony z niemi. Po raz pierwszy w życiu nie wyodrębniał się od otaczającéj go przyrody, tylko był nią samą. Drzémały drzewa, po-

snęły kwiaty, powietrze nawet jakby stało w nieruchomości i martwocie,—on téż wegetował tylko, nie myślał, nie działał, istniał jedynie. Spowinęła go i ukołysała natura cała, a on czuł swą do niéj przynależność, jakby ją czuły drzewa i trawy, gwiazdy i niebo.

Roztaczał się przed nim wielki kawał świata, ale on w nim nie widział obrazu, bo sam należał do niego i był jego cząstką nierozdzielną. Zdawało mu się, że ktoś z poza gwiazd, z wysoka spogląda na ziemię, rozpatrując krajobraz, on zaś gra w nim tylko taką samą rolę, jak ten kamień, co go ma pod głową, jak te dziewanny nieruchome, jak ta czajka, co gdzieś krąży nad wodą. Nie było niczego przed nim, nie było niczego za nim, nie było żadnego środka, wszystko się zléwało w jakąś jedność współistniejącą, a on był w niéj małą cząsteczką, małą plamką, dopelniającą ogólnéj harmonii.

I była chwila, że nie mógł „ja" powiedziéć, bo albo go wcale nie było, alboby je musiał na całe tło rozciągnąć. Rozpłynęło mu się po całym wszechświecie i cały wszechświat współsenny, drzémiący, cichy i nieruchomy szeptał z nim razem: „my gwiazdy i drzewa! my rośliny i wody! my dziewanny i dusze!"

I tak czas mu ubiegał w tém drzémaniu z naturą i w tym szepcie z nią wspólnym, który olbrzymiał coraz więcéj, rozszerzał się i wznosił, nabierał mocy i siły, aż przeszedł w potężny hymn jakiś, śpiéwany przez wszechświat...

Ocknął się wreszcie z wrażeniem człowieka, co się ze snu budzi i sen swój przypomniéć się stara.

Zaczął pracować umysłem nad rozpoznaniem, co to było i gdzie on był wtedy? W chwili tego współbytowania z przyrodą był jakby w półśnie, bez czucia i myśli i bez żadnych wrażeń. Ogarnął go jakiś spokój bezmierny, jakieś znieczulenie i znieruchomienie. Nie było mu ani źle, ani dobrze, ani przyjemnie, ani nieprzyjemnie — bo nic nie czuł.

I nawet w całym ogromie wszechświata siebie odnaléźć nie mógł. Była natura cała—i on był w niéj także, ale jego oddzielnie, w przeciwstawieniu do niéj, nie było zupełnie.

Dotychczas wszechświat od zenitu aż do nadiru toczył się przed nim, wirował, istniał i żył, ale zawsze tak, że on nań patrzał tylko i widział go, ale z nim się nie toczył i nie wirował. On był zawsze pośrodku, a wszystko istniało dokoła niego. On — był on, a świat był sobie oddzielnie, jak obraz wielki, który oglądać można. Czuł się nie w nim, lecz przed nim.

A teraz z tych dwóch rzeczy, które istniały dla niego przedtém, pozostała jedna tylko: pozostał świat, obraz. On zaś, jego „ja" weszło

w ten obraz i rozpłynęło się w nim zupełnie. Po raz pierwszy poczuł się w saméj miazdze natury, w jéj wnętrzu samém i zrozumiał, że on i ona—to jedno tylko.

A drzewa ciągle spały, rozsiewając dokoła martwotę jakąś, obezwładniającą.

Nawet brzozy, takie wiotkie zawsze, ruchliwe i rozkołysane, opuściły teraz gałęzie ku ziemi w niemocy jakiéjś i uspokojeniu.

Żaden głos, żaden ruch, żadna oznaka życia nie mąciła tego skamienienia. Wszystko ogarnęła jakaś wielka bezwładność i wszystko zdawało się szeptać tylko w uśpieniu: śpimy, wypoczywamy, — nie ruszajcie nas!

Ale Orlicz już nie drzémał teraz. Myśl jego pracowała uparcie, uświadamiając sobie przebyte wrażenia.

Zdało mu się, że nagle został zepchnięty z jakiéjś wyżyny na samo dno wgłębienia, które miał przedtém pod sobą i że on z tego wgłębienia wydostać się już nie zdoła.

I było mu teraz zupełnie inaczéj. Tam, w górze siedział niby na tronie, czuł się panem wszystkiego, spoglądał z wysoka i miał swoje prawa, swego Boga i duszę, swoje przyczyny i cele. Był czémś zupełnie odrębném, wyniesioném nad wszystko, stworzoném inaczéj i rządzoném odmiennie, niż cała ta natura, istniejąca dla niego, jak masa szara, nad którąby panować można.

Tymczasem coś go zepchnęło z wyżyny i zmieszało z tą masą. Był teraz prochem, jak wszystko. Poczuł w kościach swoich te same drobiny, co skały złożyły, w żyłach ciecz taką samą, jaka płynie w milionach innych stworzeń, poczuł się duszą bratem dusz tych brzóz płaczliwych, co mu się smętnie zwieszone rysowały w dali na tle szafiru nieba.

Nad poczęciem jego, życiem i zniknieniem pracować miały też same siły i też same prawa, co z prochów chaosu lepiły roślinę, tworzyły wodę, opoki i gwiazdy, kazały im istnieć i rządziły niemi. Był drobiną pleśni, pokrywającéj ziemię, był wytworem fermentu, jaki na niéj sprawiały żywioły walczące. Zapłodniły go w prochu ruch, ciepło i światło, powołały z nicości i dały istnienie, jak tęczy kolorom, co są tylko grą świateł, ich drgania igraszką. Słońce zajdzie za chmurę—tęcza zniknie w przestrzeni; żywioły się rozstrzelą — i on zniknie, jak mara, ich tylko skupieniem przy życiu trzymana.

A z prochów, w które się rozsypie, ułoży się może dziewanna wysoka, co tak pnie się w górę, jakby do gwiazd dojść chciała. Albo może lotną falą gazów uleci gdzieś w górę, gdzieś w nadobłoczne krainy, żeby się błąkać tam wiecznie, to rozpraszać, to skupiać i tak

lecieć i lecieć na skrzydłach powiewów, ciągle w pustki i próżnie a spokoju nie zaznać...

Tymczasem noc już zapadła zupełna.

Skrawek nieba na zachodzie ciemniał coraz bardziéj, osuwał się na dół i gasnął, aż wreszcie przeszedł w granat ciemny i zlał się z ogólnym kolorytem nieba. Wtedy z ziemi zaczęły się unosić w górę jakieś białawe opary i przesłoniły sobą krawędzie horyzontu. Niebo na skrajach przybladło znów nieco i wyblakłym pasem ochwyciło dokoła ziemię.

Dalsze pola i lasy zamgliły się w oparach i znikały powoli, zapadając gdzieś w ciemność. W powietrzu czuć było chłód i wilgoć. Świat zdawał się otulać we mgły i tumany i chować pod niemi, żeby drzémać spokojnie. Cicho było ciągle, tylko powiéw lekki rozwłóczył zimno po ziemi.

Orlicz nie czuł go jednak. Leżał jak przedtém, zasłuchany w ciszę, z oczami błądzącemi po gwiazdach, spokojny i rozmarzony. Myśli mu się teraz wlokły powoli, leniwie i bez żadnego wysiłku, zwolna podążając za wrażeniami, jakie go opanowywały. Więcéj odczuwał, niż myślał, i bez słów nawet rozumiejąc swoje uczucia.

Ogarnęła go apatya jakaś, ani przyjemna, ani przykra i przy zupełnéj samowiedzy swego stanu poddawał się biernie napływającym wrażeniom.

„Więc prochem tylko jestem?” szeptał sobie z cicha — i dziwnie obojętnie zgadzał się na to zupełnie.

„Więc jestem, niby roślina, zlepek drobin, nic więcéj” — powtarzał znowu sobie, rozchylając zlekka kępy traw pod ręką.

Dziwnie inaczéj patrzał teraz na nie. Zdawało mu się, że te zdźbła trawy czują dotknięcie jego ręki i cieszą się z tego, że się stał ich bratem. Więc gładził je dłonią, rozgarniał, nachylał, lubując się ich miękkością i całując je wzrokiem.

A trawy mu odpowiadały. Lekki wiaterek, rozwłóczący po ziemi tumany, rozkołysał je teraz i rozfalował. Chwiały się zlekka, chybotały i gięły, nachylając się ku niemu, jakby w pozdrowieniu bratniém.

„Ty do nas należysz — szeptały mu z cicha, — jesteś bratem naszym i masz duszę nam krewną. Ty słońca pragniesz,—my się pniemy do niego; ty się zimna boisz, — my od niego giniemy; ty pragniesz i łakniesz i tchu ci potrzeba, — my się rosą poimy i ziemią karmimy, a z słońca promieni na skrzydłach powiewów czerpiemy dech i życie. Jedna nas matka zrodziła.”

— „A że wami jestem, więc jak i wy zniknę kiedyś, więdnąc i żółknąc i rozsypując się w prochu?”

„Znikniesz — mówiły trawy, bo i my znikamy.”

A zeschnięte źdźbła, co się pod niemi z lat poprzednich kryły, powtórzyły głucho:

„Znikniesz, jak myśmy zniknęły.”

Orlicz godził się i na to. Owładnięty niemocą jakąś i rozleniwieniem opuścił bezwładnie duszy ramiona i dał się unosić wrażeniom. Odczuwał wszystkie i nawet rozumiał, tylko nie miał ni woli ni mocy borykać się z niemi i otrząsać z ich wpływu. Coś się w nim burzyło, druzgotało, waliło, on czuł to i wiedział, a przecież nie byłby w stanie wyprężyć ani jednéj struny ducha, ażeby się bronić i wyrwać z bezwładu. Myśli mu płynęły, jak przytłumionéj muzyki melodya, w monotonném tempie, ze ściszoném brzmieniem.

Zdawało mu się chwilami, że mu się te myśli oderwały od niego, a toczyły gdzieś w górze, na gwiazdach, tam grając i szybując w przestrzeniach, a on się patrzy tylko na nie, wsłuchuje w ich szmery, rozumié je i czuje, ale sam nie pracuje nad niemi i nie jest ich panem. To gwiazdy myślały, to gwiazdy sunęły w szafirze, to one staczały walki i boje, one się układały w nowe wzory i skupienia, a on patrzał w nie tylko.

I z tych niezgłębionych oddaleń spływały na niego falą odbicia jakichś nowych prawd i uczuć, jakieś echa nowych celów i pragnień, jakieś przeczucia nowych walk, pojęć i wierzeń...

On leżał ciągle, zapatrzony i zasłuchany, niby w półśnie jakimś, w bierności zupełnéj i zdawał się mówić tym gwiazdom:

— „Oto poddaję się wam w niemocy, czyńcie ze mną, co chcecie, układajcie mi myśli, twórzcie mi duszę nową, bom ja sam słaby i rady sobie nie dam...”

I tak szła ta rozmowa poprzez nieskończone przestworza, gwiazdy toczyły się z wolna, migotały lub gasły, zapadając pod widnokręgiem, a Orliczowi zdawało się ciągle, że to myśli jego, porozpinane na tych światłach nieba, snują kanwę jakąś, to się splatając, to rozplątując znowu.

Noc wreszcie blednąć poczęła. Łagodne kołysanie powietrza przeszło teraz w silniejsze podmuchy wiatru i zasnuło całą ziemię gazą mgieł i oparów. Z nad łąk i stawów zaczęły się nasuwać na pola jakieś małe potargane kosmyki białych obłoków i rozwłócząc się tuż przy saméj ziemi, pokryły ją bielą, niby oblubienicę do ślubu.

Potém tumany uniosły się zlekka do góry, zaczęły rzednąć i płowieć, rozwieszać się w powietrzu i szarzeć, aż w końcu przesłoniły sobą i gwiazdy i niebo.

Jednocześnie bladawe jakieś mleczne światło zdawało się przenikać powietrze. Nie płynęło ani od zorzy zachodu, ani od brzasku wschodu, ani od gwiazd i nieba, tylko przeciskało się zewsząd, jakby rodząc się samo i nasycając sobą każdą kropelkę wilgoci, zawisłą nad ziemią.

Znikły pola i lasy, znikło niebo i ziemia, a została jedynie jakaś zamglona przestrzeń, któréj wzrok przejrzéć nie mógł. Zdawała się nieskończoną i głęboką, jak błękit, a przecież wisiała na oczach i, zda się, można ją było rękami wyczuwać. Skończoność i nieskończoność, blizkość i dalekość, próżnia i nasycenie zlały się w jakąś jedność mistyczną;—i było w niéj jasno, ale nie widno,—szaro, ale bezbarwnie,—dźwięcznie, lecz głucho. I czas nawet, zdawało się, ustał w swoim wiecznym biegu i przeszedł w jakieś trwanie, zawisłe na kroplach tumanów.

Wreszcie wiatr zaczął przewiewać nisko, nad samą ziemią i odparł ku górze siniejące mgły.

Ukazały się najpiérw niskie ściernie i trawy, potém osty i głogi, bliższe płoty i kopce, — aż w końcu i drzewa przeglądać zaczęły poprzez osłony bieli. Świt zdawał się jeszcze dalekim, tylko mdłe światło brzasku i mgły rozpraszało mrok nocy.

Jednocześnie i szmery jakieś zaczęły mącić ciszę.

To wiatr z lekka zaszeleścił liściem na drzewie, to zaszemrały trawy, muśnięte powiewem, to ptak jakiś zrzadka zatrzepotał skrzydłami, budząc się na chwilę i zasypiając znowu. Nie był to jeszcze nieustanny gwar poranku, zgiełkliwe budzenie się natury do życia; było to tylko niby przeczucie ocknienia, niby strojenie instrumentów przyrody przed wielkim hymnem na powitanie słońca.

Tylko trawy rozgwarzyły się zupełnie. Wysokie a mdłe, obciążone kroplami rosy, kołysane wiatrem, zaczęły się kłaniać na wszystkie strony, to kładąc się nizko, tuż na samą ziemię, to wyprostowując znowu, żeby z następnym podmuchem przypaść raz jeszcze do ziemi.

Wyginały się, jak fale, garbiły, piętrzyły, dając się szarpać i czochrać, to muskać i gładzić, posłuszne każdemu skinieniu i ślepo uległe.

A gdy się tak kładły pokotem, rozwiewały lub gięły w pokorze, zdawały się szemrzéć szumem, jaki wiatr z nich dobywał:

„Jesteśmy uległe i słabe, lada podmuchom posłuszne, ale dobrze nam jest tak być, bo nie myślimy o sobie.”

A że miękkie były, puszyste i pod nogi się słały, więc szeptały jeszcze:

„Pójdź tu, na łono nasze: spoczniesz cicho, bez marzeń, a my cię kołysać będziemy, z czoła twojego zwiejemy smutki i troski, odgonimy niepokój, a wszczepimy spokój i będzie ci dobrze, zacisznie i błogo.”

Szeptały ciągle i ciągle, gaworzyły, szemrały, układały się miękko, prosiły potulnie, aż uległ im Orlicz i zanurzył się w nie twarzą.

Rozłożył ręce szeroko, jakby chcąc ramionami objąć glob ziemi cały i zdało mu się, że tym ruchem wszystką naturę do piersi przyciska. Oto był z nią pierś w pierś teraz, poznawał w niéj matkę i powitać ją pragnął. Ona, w tych trawach, przyjęła go na łono swoje, tuliła, pieściła, szumem falowań kołysanki mu śpiéwała, a on, przylgniętemi do niéj wargami, powtarzał oszołomiony:

— „Oto jestem, twój syn zabłąkany,—przyjm-że mnie teraz.”

I nagle doznał dziwnego wrażenia.

Poczuł, że mu się w tym uścisku przerodziła dusza i że już nie powstanie takim, jakim był przed chwilą. Nowa jakaś fala wdarła mu się aż do głębin ducha, zmyła wszystko, czém żył i istniał dotychczas, a wydobyła na jaw jakieś nowe źródła, jakieś nowe pokłady, z których czerpać miał teraz.

Rozumiał, że wstanie innym już zupełnie i z duszą nową i na życie nowe.

Ani go chciał, ani pragnął, ani go znał jeszcze, a widział, że już iść niém musi, bo mu w tamtém zaciasno teraz było i pomieścić-by się w niém nie mógł. Nowa droga stała mu otworem, a on nie wiedział, czy cieszyć się z niéj, czy smucić, czy witać ją, czy przeklinać, bo jéj końca nie widział. Więc bojaźń jakaś zdjęła go wielka przed tą zagadką przyszłości i żałować zaczął swoich dni ubiegłych i tych urojeń, jakie mu świeciły wtedy.

Bo czuł to teraz, że mu było dobrze z niemi. Były dla niego niby dobre piastunki. Wypiastowały mu duszę i strzegły jéj przed rozpaczą, koiły jak balsam, gdy uczuwał cierpienie, osłaniały i tuliły, gdy pod ich skrzydła uciekał.

A oto teraz opuszczały go wszystkie i miał pozostać sam.

Czuł, że to niewinność jego ulatywała mu z duszy, że to ulatywały jego lata młode, lata anielskie spokoju, ufności i gołębiéj prostoty, a czekało go coś nieznanego, ciemnego, gdzie się zbłąkać mógł łatwo.

I wielkie łzy żalu napełniły mu oczy. Duszę miał łkań pełną i wydobywały się z niego coraz gwałtowniéj i silniéj. Płacz nim wstrząsał i targał, łzy go dusiły i piekły, a on, zanurzony w trawach,

raz jeszcze dał się unieść bezwiednemu wrażeniu, oddając mu się cały.

Bo nawet nie wiedział, czego tak płakał w téj chwili. Za mało znał to, co go czekać mogło, żeby całą siłą duszy żałować przeszłości; za mało téż wnikał w tę przeszłość, ażeby się aż lękać, że ją utracił. Ot łzy same napływały z jakichś głębi nieznanych, a on płakał jak dziecko, niby w przeczuciu dziwném przyszłych walk i zawodów, przyszłych zwątpień i niewiar i tych wszystkich cichych smutków i wielkich rozpaczy, co nim wstrząsać miały.

Łzy mu padały na trawy, mieszały się z rosą i wsiąkały w proch ziemi. — I tak życia zaranie i poranku brzask pierwszy to rosą, to łzami witały dzień nowy.

Jakoż i słońce niezadługo wejść miało.

. . . .

W taki sposób Paweł Orlicz rozpoczął życie nowe. Natura była to bujna, hojnie wyposażona, rozległa, chciwa wiedzy i wrażeń, tylko nadmiernie pubudliwa i czuła. Dzielność i porywczość mężczyzny łączyły się w nim z tkliwością kobiety i czułością dziecka. Zapalał się łatwo i szybko, z niepohamowaną gwałtownością przerzucając się od jednych skrajności do drugich i kipiąc zapałem, równie jednak szybko i łatwo cofał się i ostygał, zrażając się lada drobnostką. Umysł miał szeroki i jasny, podatny i do głębokich dociekań i do poetycznych marzeń. W nim się one mieszały i zespalały razem, tak, że filozofował marząc i marzył filozofując. Umiał myślą ogarniać rozległe widnokręgi: wyrabiała to w nim chorobliwa niemal wrażliwość, która byle błahostkę musiała powiększać zaraz, uogólniać i tworzyć z niéj jakieś zasady i prawa, przenikające w jego mniemaniu świat cały. Stąd płynęła u niego i niezwykła siła uczuć i zarazem ich chwiejność. Pogoda lub niepogoda, światło lub ciemność, dysonans lub harmonia, grały mu na nerwach, jak chciały, i równie łatwo potrafił śmiać się, jak płakać, nie za siebie jednak tylko, nie za ludzi nawet wszystkich, lecz za świat cały.

Od dziecka też wyrabiała się w nim ta nadmierna wrażliwość i czułość. Wychowany przez matkę wdowę, ubóstwiającą i pieszczącą swego jedynaka, a pozbawiony silnéj, energicznéj i surowszéj opieki ojca, musiał wyrosnąć takim, jakim był. Przyzwyczaił się do wyrafinowanéj miękkości uczuć, do delikatności form życia i do silnie rozwiniętéj czułości na wszelkie objawy uczuć w innych. Wszystkie te nabytki dzieciństwa z wiekiem potęgowały się tylko, rosły, rozwijały

i zrobiły go w końcu jednym zwitkiem nerwów, wrażliwym na lada ich tknięcie.

Od dziecka też kochał dwie rzeczy przedewszystkiem: poezyę i muzykę. Dla muzyki zachwyt swój, odpowiednio do wieku, wyrażał to jakimś fantastycznym, dla niego tylko istniejącym tańcem, to śpiewem, to łzami, póki z laty nie zaczął pod nią podkładać swoich myśli. Wrażliwość na poezyę i piękno słowa rozwinęła się w nim późniéj trochę i odczuwał ją dla jéj dźwięczności jedynie.

W ten sposób te dwie dziedziny piękna zaczęły mu się zléwać w jakąś jedną harmonijną całość i nie odróżniał już jednéj od drugiéj.

Kochał muzykę, o ile była poezyą, a poezyę, o ile zespalała się z muzyką. Słowa mu śpiewały i grały, muzyka mówiła i opowiadała. Dla niego każdy wyraz posiadał swoją właściwą mu harmonię i ton, a ich połączenia dawały jakieś symfonie i melodye zdań. Miewał czasem chwile, że mu myśli śpiewały i grały, płynąc w nim, jak muzyka, a on ją czuł, słyszał i rozumiał zarazem.

Grą jednak nie mógł wyrzucić z siebie tych rozśpiewanych myśli i myślących tonów, jakie mu przepełniały duszę, bo żaden instrument nie mógł mu ich wyrazić. To wiolonczella płacząca, to flet śpiewny a prosty, to *con sordino* skrzypiec skarżące się i łzawe, to cytra brzękliwa, to trąb potęga szeroka uwodziły go na chwilę i oddawał się im z zapałem. Wszystko to jednak rzucał po kolei, zniechęcony, rozdrażniony, nie mogąc w żaden z tych instrumentów wlać grania swéj duszy.

Ale że mu i słowa także grać umiały, więc pisał wtedy. Tworzyły się z tego jakieś fantastyczne poematy, gdzie rymy i rytmy były oddzielnemi tonami, wiersze taktami, a strofy częściami melodyi. Pisał szybko i dużo, choć z męką wielką, zapełniając całe stronice i nie poprawiając wcale. Myśli mu biegły i biegły, a on pisał i pisał, męcząc się jedynie nad wydobywaniem ich z siebie.

Na drugi dzień darł wszystko i palił. Posiadał w duszy jakiś ideał, jakiś pierwowzór tego, co wyrzucał z siebie i według niego to właśnie sądził to, co stworzył. Zawsze i myśl była mniéj jasna, niż w chwili, gdy pisał, i harmonia nie ta, i nie ta siła, jaka w nim kipiała.

Więc czekał ciągle, aż przyjdzie chwila taka, że stworzy pieśń, któraby jego przedewszystkiém zadowolić mogła. Bo zanadto kochał tę pieśń wymarzoną w duszy, żeby mógł w niéj dopuścić choćby jedną skazę.

A nie pisać nie mógł. Czuł nieraz jakieś opętanie, jakieś owładnięcie nim zupełnie jednéj myśli albo melodyi i musiał się choć sta-

rać o wydzielenie jéj z siebie. Był jak człowiek, który na barkach wielki ciężar niesie i nie może nie myśléć o uwolnieniu się od niego. On także niósł wtedy wielki ciężar w sobie, tém cięższy tylko, że wciąż rósł i olbrzymiał i ogromem swoim rozsadzać go się zdawał.

Siadał więc i pisał, — bo to robić musiał, jak musiał wydychać powietrze, które mu pierś rozpierało. I pisał sobie tylko samemu, tak jak myślał sobie.

Ale i pisanie nie przynosiło mu ulgi, nie uwalniało od tego nadmiaru uczuć i myśli, jakie mu się tłoczyły do rozpalonéj głowy. Te pozaczynane, a nigdy niekończone poematy, te ulotne urywki, sonety i strofy, darte i palone zawsze w zniechęceniu, nie mogły dać zupełnego ujścia temu, co czuł w sobie. Ogień niszczył zapisane i przedarte karty, a myśl z nich ulatywała i wracała do niego, dopominając się o nowe wyłonienie jéj z duszy, coraz bardziéj ciążąc i niepokojąc sobą. Dziesiątki razy rodził je i wyrywał z siebie, a one nigdy nie syte, nigdy nie zadowolone, wracały wciąż i wciąż, z wyrzutem i prośbą. Był więc ciągle w oczekiwaniu jakiémś, jak człowiek, którego czeka jakaś wielka i wzniosła praca, a on do jéj spełnienia nie czuje w sobie siły.

Ta myśl, że on powinien i musi choć kiedyś przebyć te chwile porodu duszy, pętała go i oplątywała coraz więcéj. W chwilach podnieceń i wiary w siebie pieścił się nią i pocieszał, jak nadzieją wytchnienia po spełnioném zadaniu życia,—w czasach zniechęceń i przygnębień ducha bał się jéj i lękał, jakby katastrofy jakiéjś.

A jeszcze więcéj lękał się tego, żeby taka chwila zupełnie nadejść nie miała. Był niby matka, która się rozwiązania boi, a przecież o tém tylko myśli, czy dziecię jéj pięknem będzie i czeka go z rozkoszą, zawczasu się pieszcząc przyczyną swych bólów. Więc się bał i lękał i pragnął zarazem, czekając z trwogą, jak mu ta przyszłość jego ducha rozwiąże.

Nie były to jeszcze cierpienia wielkie, ukłócia bolesne. Raniły go lekko i nieznacznie, od czasu tylko do czasu sącząc weń małą kropelkę bólu, która mu osiadała gdzieś aż na dnie serca.

Nie długo łudził się Orlicz myślą, że tylko z tego źródła gorycz będzie mu zatruwała duszę.

Młody, wrażliwy, zapalający się łatwo, zniechęcający jeszcze prędzéj, rzucił się w życie, poddając się wszystkiemu, co ono przynieść i wywołać może. Nie oszczędziło mu téż ono żadnego wrażenia, żadnego procesu umysłu, jaki jest właściwy takiemu wiekowi i takiemu usposobieniu.

Przedewszystkiém stracił wiarę.

Rzucił ją nagle, odrazu, przerzucając się krańcowo od bezwzględnéj wiary do bezwzględnéj niewiary. Uległ pierwszemu popędowi silniejszego wrażenia, nie mogąc się oprzéć jego parciu. Tam, w tych trawach, czuł tylko, że już jéj miéć nie może — późniéj i zrozumiał. Runęło mu odrazu wszystko i gruzy posypały mu się na głowę.

Po raz pierwszy wtedy przed Orliczem otworzyła się przepaść, któréj nie widział dna. Jéj to się właśnie przeląkł wtedy i dlatego płakał.

Wrażenie to jednak zatarło mu się trochę i przesłoniło mgłą.

Wiary już nie miał, ale i od beznadziejności wszelkiéj był jeszcze daleki. Życie roztaczało się przed nim, jak rozległe morze, nie tracił więc nadziei, że z głębin jego coś jeszcze wydobyć zdoła. I choć na razie nic nie miał do podstawienia w zamian, ufnie patrzył w przyszłość, pewny, że to coś, co w nim umiało burzyć, potrafi przecież i budować także. Więc czekał tylko, szukał i badał, rozglądając się po świecie, czy nie ma tam jakiéj prawdy, któréjby już nic zupełnie zarzucić nie mógł, a w którąby uwierzył.

Tymczasem obywał się. Czuł, że mu zabrakło jakiéjś wielkiéj podstawy, bez któréj życie zmieniało swoją treść i cel, ale sądził chwilami, że i tak od biédy żyć można. Dla niego treść zmieniła się tylko, nie zgasła, a na miejsce tamtego celu, mógł przecież znaléźć inny, może nie tak doniosły i wielki, ale zawsze cel, któryby go pchał przez życie. Nie miał go jeszcze, nie zdążył go stworzyć sobie, ale nie wątpił, że go w końcu znajdzie.

Wreszcie — w owéj epoce — życie, choć i bez téj podstawy, nie wydawało mu się tak bardzo złém i niedorzeczném, żeby aż było ciężkiém i beznadziejném. Więc nie czuł nawet zbyt wielkiéj potrzeby ulżenia go sobie jakąś wiarą.

Dla Orlicza wtedy pytanie „kto ja jestem” zamieniło się na inne, mniéj rozległe i ważne, ale za to niecierpliwsze i więcéj wymagające: „po co ja jestem?” Rozumiał, że życie nie może się składać z szeregu tylko niezwiązanych niczem chwil, że musi miéć ciąg jakiś, jakiś cement, któryby je spajał i coś z nich budował. Widział, że inni ludzie już mają cement taki, że mają swoje ideały, którym poświęcają wszystkie godziny życia i do nich dążą. Chciał więc i on miéć przed sobą cel taki, ale czuł, że musiałby on być już tak wielkim, żeby mu nie tylko czas swój, ale i siebie samego mógł złożyć w ofierze.

I kilka razy Orliczowi już się zdawało, że znalazł to, czego szukał. Porywała go jakaś idea, unosiła sobą, czas jakiś dążył do niéj i każdą rzucał zniechęcony. To go zrażała drobna na niéj skaza, to ci, którzy z nim wspólnie pracowali dla niéj, to znowu potrzeba nagię-

cia się do niéj i przerobienia siebie. Zniechęcał się szybko i łatwo z tą samą porywczością, z jaką się rzucał do pracy. Nie miał cierpliwości i wytrwania rozbierać z nich każdą, wchodzić w jéj treść najgłębszą, dopatrzéć się poza jéj nazwą ludzi i ich potrzeb, które ją wywołały.

Wrażliwy na wielkie słowa, pociągany tylko ich czarem i oszałamiającém brzmieniem, gonił za wytworami własnéj fantazyi, odrywając się od rzeczywistości. Życie, świat, ludzie, niby wielkie mrowisko, pozostawali gdzieś w dole, a ponad tém wszystkiém jak opar unosił się jakiś odrębny świat idei, świat wielkich dążeń i celów, który żył sobie oddzielnie, mając swoje prawa, a z tamtym światem tyle miał wspólnego, że był dla niego, a nie z niego przecież. Mrowisko miało słuchać, a te górne wyżyny oparu myślały za niego, stanowiły o niém, zbawiały je lub potępiały.

I Orlicz bujał w tych zamglonych sferach, gdzie wielkie słowa i hasła oderwały się już od swéj treści i były niby cienie, co walki staczają. Obalał je łatwo i lekko, dziwiąc się ich niemocy, z coraz bardziéj rosnącym niepokojem w duszy, czy znajdzie coś przecie, o coby się oprzéć zdołał.

A myśli mu ciągle śpiewały i grały.

Coraz więcéj usuwał się od świata i zagłębiał w siebie, słuchając tych myśli, jakie mu duszą płynęły. A one mu się składały w symfonie jakieś śpiewne, to płynąc wolno i cicho, jak spokojne *largo*, to śpiesząc i nagląc, jak prędkie *allegro*, to znów lekko igrając, jak niestałe *scherzo*. I różnie mu grały: to ciszéj, to głośniéj, to rzewnie i tkliwie, to huczno, ze zgiełkiem; i były, jak *piana*, co śpieszą i koją, to znowu jak *forta*, co grzmią i zsyłają pioruny.

Wsłuchiwał się wówczas sam w siebie, śledząc te myśli i tony, co w nim biegły razem, i duszą całą zespalał się z niemi.

A one go wiodły gdzieś w nieznane krainy, gdzie kwiaty śpiewały, siejąc łzy i zapachy, gdzie barwy dźwięczały, a dźwięki jaśniały, gdzie cisza nawet miała swoje tony i grała jak morze, co gdzieś szemrze w dali. One w nim płakały, jęcząc skargą i bólem, to znowu koiły, pieszcząc go i tuląc, to gaworzyły jak dziecię, zawodząc wciąż zcicha, to grzmiały jak gromy, podniecając do walki.

I sam nie wiedział, czy to myśli w nim grały, czy tony myślały. On tylko biegł i biegł razem z niemi, płynąc, jak one, i szemrząc, jak one. Miał nieraz wrażenie, że go skrzydła jakieś niosą gdzieś po falach przestrzeni, a on się w nich chwieje, to wznosi, to spada, kołysząc się ciągle gdzieś w podgwiezdnych sferach.

I Orlicz pisał znowu. Rodziły mu się pod ręką dziwne i powikłane poematy, gdzie panował chaos i pomieszanie tylko. Był w nich i zapał i rozpacz, i wiara i zwątpienie, były jakieś targania się i szamotania, były wszystkie uczucia, jakiemi żyje kiedykolwiek człowiek. Sprawiały wrażenie jakiéjś burzy żywiołów, jakiéjś walki zaciekłéj, zamętu i zgiełku, gdzie wszystko się plącze, wiruje i miesza z piekielnym chichotem i dziecka kwileniem.

Orlicz je niszczył i palił, a myśli swoje znowu wchłaniał w siebie. Były w nim, niby ptaki, rwące się do lotu i każdy w inną stronę, a on ich nie umiał sprzęgnąć i w jakąś jedność zespolić. Chwiały się wszystkie oddzielnie, niby kropelki rosy, odbijając kolory i świécąc, jak skierki, a on czuł, że mu brak czegoś, coby z nich jedną tęczę ułożyć mogło.

Więc z coraz większém pragnieniem oglądał się w koło, szukając dogmatów jakichś, któreby mu żyć kazały, zsyłały rozkazy i przedewszystkiém w ciąg jakiś jeden ułożyły zwichrzone myśli.

Zrażony do żywych idei i życia, rzucił się do nauki i książek w nadziei, że choć z tego źródła może wyłoni mu się jakieś światło, za którém mógłby podążyć. Usunął się od świata, zagłębił w dociekaniach i zgłębianiu wiedzy i znowu szukał i czekał. Czuł tylko, że mu wszelkie wierzenie przychodziło teraz trudniéj, bo coraz mniéj znajdował w sobie tych prostych strun duszy, któremi się ufa i wierzy w cośkolwiek.

Pracował przecież wytrwale, starając się pokonywać siebie.

Ludzie żywi i świat przesłaniali mu się mgłą jakąś, oddalali, zacierali, a on patrzył na nich niby z oddalenia wielkiego, nie dostrzegając szczegółów i uogólniając wszystko. Nie widział już jednostek, tylko grupy jakieś, kasty i stany i na nie rozpadł mu się świat cały. On z nich wyciągał esencye ich dążeń, potrzeb i myśli i każdy wyciąg taki nazywał odpowiedniém imieniem. Wkrótce rzeczywistość zamgliła mu się już zupełnie, a on miał tylko abstrakcye same, któremi szermował, ciągle w mniemaniu, że myśli o świecie. Dodawał je lub odejmował, mnożył lub dzielił, dziwiąc się, że się do wszystkiego ułożyć potrafią i że dają się wyciągać, jak guma, lub ściskać, jak puch.

Tworzył z nich najrozmaitsze kombinacye, układał je, jak chciał, — a każda była dobrą, każda dawała jakieś rozwiązanie. Za dużo jednak było tych kombinacyi przeróżnych, żeby Orlicz nie miał spostrzedz, że wszystkie muszą być czcze i bezcelowe i nie zdadzą się na nic. Więc porzucił i to.

Nauka rozczarowała go również. Widział w niéj dążności wprost przeciwne swoim i podcięło mu to skrzydła odrazu.

On dążył do skupiania i łączenia wszystkiego, — ona do podziałów i rozdrabniania ciągłego; on chciał syntezy—ona analizy; on chciał iść z góry — ona szła z dołu. Pragnął jedności i zharmonizowania z sobą rozproszonych szczegółów, a ona jeszcze bardziéj drobiła mu to wszystko, dzieląc się sama na tysiące gałęzi z jedyną dążnością wyodrębniania się z nich każdéj i dzielenia jeszcze.

I zrozumiał, że jest to jéj dążenie stałe i już niezmienne.

Od Pięcioksięgu Mojżesza, który jeden starał się zawrzéć w sobie wszystkie umiejętności świata, nauka rozpadała się ciągle, dzieliła, drobiła, specyalizowała, aż z jednéj ogólnéj prawiedzy utworzyło się ich tysiące. Karmiły go one mnóstwem faktów tylko, nie tłómacząc ich istoty i treści. Były niby jedno olbrzymie dowodzenie, w którém rzecz najważniejsza, bo wniosek, nigdy niedopowiadany, pozostawał w ukryciu.

Wtedy Orlicz pojął, że życie nie da mu już nic. Leżało przed nim, jak wyciśnięta cytryna, a on z przerażeniem widział, że ani on jéj, ani ona jemu soków już swoich udzielić nie może.

Pytanie: „po co ja jestem?" wymazywało się już samo przez się. Chciał dążyć do czegoś, chciał działać, chciał tworzyć, chciał wejść w grę świata, — a oto zobaczył, że był już wykluczony z niego i nie mógł nic. Świat biegł sobie gdzieś w dali, a on, odpryśnięty od niego, pozostał sam i nie miał o co rąk swoich zaczepić.

I znowu Orliczowi zaczęło się cisnąć pytanie: „czém więc ja jestem?" Ten wielki jakiś cel, który go miał wieść przez życie, rozpłynął mu się we mgle i okazał marą. Myślał, że nim zapełni tę przepaść, jaką ujrzał wtedy przed sobą, a ona tymczasem znów mu stanęła otworem i przeraziła próżnią...

Po długiéj wędrówce powrócił nad samą jéj krawędź, powrócił tam, skąd wyszedł, tylko już odarty ze złudzeń, zwątpiały w swe siły, goryczy pełen i zniechęcenia.

Wtedy Orlicz, nie odciągany już niczém nazewnątrz, skupił się tylko w sobie, słuchając szeptów swojéj własnéj duszy i poznając jéj potrzeby, trwogi i pragnienia. Rozejrzał się raz jeszcze wkoło i widział, że został się sam, bez podpory żadnéj, ani pomocy, oddany na pastwę własnéj bezsilności. Przed sobą miał ciemność tylko wielką, któréj się bał, bo zrozumiéć jéj nie mógł, a w sobie przeświadczenie o swojéj niemocy i pragnienie światła. Wówczas zrozumiał, co to jest wiara i do czego ona jest niezbędną.

Zaczął też jéj znowu pragnąć gorąco.

Nie była mu już potrzebna, jako sternik życia i motor czynów, ale jako nadzieja, że jest coś więcéj, czegoby po za życiem spodziéwać się można. Jeżeli nie tu, to choć już gdzieś tam niech będzie coś, czegoby czekać było wolno.

I Orlicz czuł, że potrzebuje koniecznie ratunku, nie wiedział jednak, skądby on mógł przyjść.

Od świata nie spodziéwał się niczego, bo był po za nim, a w sobie miał rozterkę tylko, jedno wielkie pragnienie jakiéjśkolwiek wiary i jedno wielkie zwątpienie o sobie i wszystkiém.

Czuł się jak roślina, wyrwana z korzeniem, którą wiatry miotają, dokąd chcą i nie dają się nigdzie zaczepić. Życie wydało mu się ustawiczną wędrówką do jakiéjś krainy, która nie istnieje, albo wielkiém spróchniałém drzewem, w któróm pod liśćmi i korą nie ma wcale miazgi, tylko czarna pustka. A bał się téj pustki: i nie dlatego, żeby rzewiście pustą być miała, ale że on w niéj nic dojrzéć nie mógł.

W końcu myśl o tém stała mu się męką. Coraz częściéj miéwał takie chwile, że widział wkoło siebie czarność tylko, w którą nie było po co rąk wyciągać ani w zwątpieniu, ani w błaganiu. Choć się wzdrygał przed tą czarnością, byłby się chętnie zgodził i na nią, gdyby tylko miał tę pewność, że w niéj rzeczywiście nic nie ma. Zapełniłby ją jedną wielką, wszystko obejmującą pustką i jeżeli już nie szczęśliwym, byłby przynajmniéj spokojnym.

A właśnie ani téj pewności, ani tego spokoju nie miał, bo nie mógł się obronić myśli, że tam w téj czarności może być coś, co jest tą miazgą drzewa życia, co jest wytłómaczeniem, źródłem i ujściem wszystkiego,—a czego on dostrzedz tylko nie może. Więc szarpał się jeszcze i czekał, choć nie miał nadziei.

Majaczyło mu nieraz, że im większe obszary rozterka ta obejmować w nim będzie, im bardziéj ta ustawiczna walka obezwładni mu umysł i przytłumi swoją beznadziejnością, tém możliwość ratunku będzie bliższa, bo niezbędniejsza.

Odczuwał bowiem chwilami, że dochodzi do jakiéjś granicy rozkładu ducha, po za którą przejść już niepodobna wprost dlatego, że i wszelkie rozsprzężenie kres swój mieć musi. Mogło więc nadejść takie przesilenie, kiedy samą siłą ścierających się żywiołów zapanowałaby między niemi harmonia jakaś, choćby wskutek zupełnego wyczerpania. A wyczerpany był bardzo i spoczynku nie pragnął już, ale potrzebował.

Doświadczał nieraz dziwnego wrażenia. Oto zdawało mu się, że on w całéj téj pogoni za tą niezbitą prawdą obrał mylną drogę i zamiast się zbliżać do niéj, oddalał się od niéj ciągle, idąc precz w jedną

stronę, nie zmieniając kierunku. Dostał się na jakąś wyżynę z błędnemi ścieżkami, z któréj wyjścia odnaléść nie mógł, a tęsknił za ziemią, którą opuścił niebacznie. Próżno z coraz większą rozpaczą rozglądał się wkoło, szukając dróżek i ścieżyn, którędyby na dół zejść można, próżno pragnął spoczynku i ręce wyciągał ku ziemi. Wszędzie była stroma tylko krawędź, a ziemia gdzieś w głębi, jak spokojna przystań, nęciła go ku sobie, obiecując wytchnienie.

I coraz częściéj przychodziło mu na myśl,—czyby już nie lepiéj było, zamiast tak wciąż błądzić po ścieżkach, zrobić skok szalony, rzucić się odrazu na dół, choćby z narażeniem życia, byle tylko raz wreszcie dosięgnąć téj upragnionéj ziemi i choćby skonać zaraz, byle nie w tém straszliwém błądzeniu.

W majaczeniach swoich Orlicz przeczuwał już, że tylko skok taki wywieść go z chaosu potrafi. Czekał jednak jeszcze, póki mu się głowa do ostatka tą przepaścią nie upoi, żeby nie czuć bojaźni przy tym szalonym skoku przez rozum do nieznanych głębin.

Jakoż nie czekał na to długo.

W życiu Orlicza w tym czasie zaszedł wypadek, którego wrażenie pozostało mu na całe życie, bo było mu ciężkiém i ogromnie smutném: umarła mu matka. A kochał ją tak, jak się tylko matki kochać może, te dobre matki, które w swoich synach i córkach widzą świat cały i do późnéj starości za małe dzieci je uważają. Ona go téż uważała za dziecko tylko małe, nie szczędziła mu pieszczot, lubiła przegarniać mu włosy nad czołem i w głowę całować.

On się poddawał wszystkiemu,—bo kochał jéj ręce drobne i białe i lubił, kiedy mu na głowie spoczęły, — bo potrzebował nieraz czuć się kochanym i drogim komuś, — bo jednego go tylko miała, a on ją jedną na świecie.

Umiérała spokojna o siebie, z jedną tylko troską o niego, że tak sam zostanie, bez jéj opieki i oka. Miała go znów odzyskać gdzieś na tamtych światach,—bała się jednak myśléć o tém, żeby zbytniém pragnieniem tego spotkania nie skrócić mu życia.

Wobec jéj zwłok Orlicz po raz pierwszy uczuł już nie pragnienie, ale gwałtowną potrzebę wierzenia w coś, coby mu zapewniało byt dalszy, pozagrobowy i obcowanie dusz na tych innych światach. Dotychczas wzdrygał się tylko wobec tych ciemności, w jakie zapadała mu wyobraźnia, gdy myślał o tém i dlatego pragnął światła; teraz widział, że musi odnaléść to światło, że musi je miéć za jakąkolwiek cenę, — bo stało mu się potrzebą.

Czekał przedtém na to zupełne upicie się głowy przed widzianą

przepaścią—i oto teraz upoił się. Zaczął tylko myśléć o śmierci duszy—i stanął nagle nad samą krawędzią.

Jedna tylko myśl oszołomiła go odrazu: wyobraźnią swoją chciał podążyć za duchem téj zmarłéj i zadał sobie pytanie, gdzie go szukać teraz?

A jeżeli nigdzie?

Świat taki wielki, ogromny, tyle w nim gwiazd i planet, i słońc, i przestrzeni,—a oto nie ma w nim miejsca dla téj jednéj malutkiéj duszy, tak drogiéj jemu, tém droższéj, że zgasłéj i on napróżno przebiega myślą tę nieskończone zaświaty, napróżno tęskném okiem szuka téj swojéj duszyczki, bo nie znajdzie jéj nigdzie i nigdy...

Bo i nigdy także.

Światy się będą rodziły i gasły i przeradzały znowu, miliony wieków, jak tony jednéj nieskończonéj gamy, zwolna i miarowo następować będą po sobie, a on, choćby i szukał jéj tak gdzieś aż do bezkońców świata i czasu, nie znajdzie jéj nigdy...

I Orlicz teraz zrozumiał dopiéro, co to jest *nigdy* i czém grozi nicość.

Nieraz już przecie zastanawiał się nad tém, nie po raz pierwszy wyobraźnia jego starała się sięgnąć po za kresy bytu, a przecie teraz dopiéro wzrok jego dotarł aż do głębi samych, aż tak gdzieś głęboko, iż zrozumiał i pojął, że końca nie mają. Dotychczas myśl jego, trafiwszy na głębię, ześlizgiwała się po niéj w zwątpieniu o swych siłach. Widział ciemność tylko wielką i cofał się przed nią, nie mając odwagi, ni mocy zejść tam aż do niéj.

A teraz zeszedł za tą duszą jedną, rozglądał się wkoło, szukał z utęsknieniem—i nie mógł jéj znaléść.

Próżnia, jak morze, płynęła wciąż przed nim, a on nią leciał i leciał, zapadał i tonął, wciąż daléj i daléj, w nieustannéj pogoni, — i końca nie widział. Otchłań ciągnęła go w siebie, wchłaniała, wsysała, aż mu tchu brakować zaczęło,—a nigdzie nie znalazł oparcia, nigdzie granicy, gdzieby przystanąć można...

Wtedy Orlicz pojął, że stanął u kresu i że, jeżeli nie ma oszaléć, musi w cośkolwiek uwierzyć.

Pozostawał mu tylko ów skok, przeczuwany oddawna...

Przyszedł mu łatwo i bez żadnéj walki, bo już zmęczony był bardzo i w rozprzężeniu zupełném. Rzucił się tylko na kolana u zwłok zmarłéj i wyszeptał zcicha:

— Musisz być, Boże, boś nam jest potrzebny.

. . . .

Nie była to jednak owa wiara, która przenika duszę nawskroś, a przez to koi i uszczęśliwia. Zrodzona z niemocy w cierpieniu i wyczerpaniu, płynąca z potrzeby, a nie z przekonania, nie mogła całkowicie zapanować nad nim. Czuł w sobie jakieś rozdwojenie, jakieś dwa źródła światła, wykluczające się wzajem, a on jeszcze nie umiał kierować niemi, nie wiedział, co każde z nich oświetlać powinno. Pełno w nim jeszcze było zwątpień i wahań, pełno pytań i zastrzeżeń, dużo myśli urwanych i niedokończonych dociekań. Rozumiał jednak, że jeżeli już istnieje ta Przedwieczna Istota, która rządzi i kieruje światem, to musi Ona być i dobra i wyrozumiała, i przebaczająca, a zarazem tak wielka wszechpotęgą swoją, że już Jéj niczém urazić nie można.

Żył więc w takiéj półwierze i w ciągłém rozdwojeniu, a tyle przynajmniéj zyskał na tém, że w chwilach lęku i niemocy miał się na czém oprzéć.

Doznał przytém niezmiernéj jakiéjś ulgi. Ten miażdżący ciężar rozpaczy i przygnębienia, który go ugniatał, usunął mu się teraz z du szy i pozwalał choćby cierpiéć swobodnie. Przedtém nie miał nawet do kogo rąk wyciągnąć w bólu, skarżyć się lub błagać, modlić się lub pytać; — teraz czuł jeszcze kogoś nad sobą i głos nie ginął mu, jak przedtém, w straszliwéj próżni. Doznał więc takiéj ulgi, jakiéj doznaje człowiek w bezgranicznéj rozpaczy, kiedy zapłakać może. On się we łzach duszy rozpłynął cały i teraz dopiéro ból, co się w nim latami walki gromadził, zaczął mu przepełniać serce.

I Orlicz pytał wtedy: „czémże więc jest życie, jeśli nie cierpieniem?”

Oto żył już lat sporo i prócz rozczarowań nie doświadczył niczego. Chciał działać —i nie wiedział jak; chciał wierzyć — i nie wiedział w co; rzucał się w poszukiwaniach — i nie znalazł nic. Wszystko mu się rozpryskiwało w rękach, wszystko niosło tylko zawód, aż został wreszcie jak samotne na bezdrożu drzewo, z którego wichry wszystkie liście zwiały.

Prawda, iż rzucił się w końcu w jakąś półwiarę, — ale więcéj w niéj było rozpaczy i wycieńczenia, niż ukojenia i otuchy. Nie spływała na niego, tylko on ją wydobywał z siebie, moc więc jéj tylko od niego samego zależała. U ludzi, których wiara przenika duszę tak, jak dusza przenika ich ciała, siła wierzenia słabnie przy każdém zwątpieniu, przy każdém zachwianiu się ich dogmatów,—u Orlicza zaś natężenie jéj szło odwrotną drogą. Im bardziéj wątpił o wszystkiém, im bardziéj lękał się i bał, tém większą wzbudzał w sobie wiarę i z tym większym uporem powtarzał sobie: „tak być musi.” A że chwile tego

lęku i bezgranicznego znużenia przychodziły mu w cierpieniu wielkiém, więc tylko w ogromném cierpieniu mógł czerpać ziarna otuchy z siebie.

Orliczowi téż dusza, niby wilgocią, nasiąkła bólem i na ból tylko zrobił się wrażliwym. Uogólniając, jak zawsze, każde uczucie swoje i każde wrażenie, uogólniał teraz swoje cierpienie i rozłożył na wszechświat cały.

Z jakąś chciwością nienasyconą i gorączką palącą zaczął się wszędzie doszukiwać i dopatrywać cierpień i bólów — i znajdował je wszędzie. Kryły się one i pod maską śmiéchów i zadowolonych twarzy, kryły po głębinach serc ludzkich i kryjówkach mózgów, tkwiły niby kolce cierni i w duszach i w ciałach, a siały się same, niby ziarna kąkolu, zachwaszczając wszystko i przytłumiając sobą. Były jak gorycz, co wszelkie istnienie zatruwa sobą i niczém się wytępić nie da.

A Orlicz je wydobywał z tych mamiących obsłonek, wyłuskiwał niby ziarna z łupiny, śledził i badał — i widział je wszędzie. Przebolały i przeczulony wchłaniał w siebie to tylko, co dźwiękiem swoim drganiom strun jego własnéj duszy odpowiadać mogło,—i tém się karmił jedynie.

Nie zadawalał się nawet znajdowaniem cierpień i bólów, rozsianych po świecie: on je odszukiwał jeszcze, wyśledzał i tropił, z uprzedzeniem już z góry dopatrując się ich we wszystkiém. Zrodziła się w nim i wzrastała z coraz większą szybkością jakaś zaciętość chorobliwa i żądza gorączkowa doszukiwania się wszędzie niedoli i nędz rozmaitych i nie miał spokoju, póki ich nie odnalazł. Napełniały go one jakąś piekielną rozkoszą i upojeniem. Przeczuwał z nich każdą, przetrawiał i odbolał sercem, a jednocześnie upajał się sobą, że mu się tak dusza we łzach i bólach całego świata nurza i że je wszystkie w piersi swojéj zawarł. Miotał nim ból wszechświata.

I po raz drugi zdawało się Orliczowi, że się zléwa z wszechświatem, z naturą całą — i stanowi z nią jedność. Tylko że tam w tych trawach, w ową noc letnią, drzémał, jak i wszystko, a teraz—cierpiał, jak wszystko.

Dopatrzył się bólu nawet w kamienia martwocie, nawet w wodach, co stoją i wiecznie stać muszą, nawet w rzekach, co płyną i wytchnienia nie mają, nawet w kwiecie maleńkim, że go robak toczy, nawet w robaku samym, że szkodą żyć musi. Cierpiało wszystko i on cierpiał za wszystko.

I teraz jedność była, ale już nie ta, co wtedy. Wówczas on się rozpłynął we wszechświecie całym,—teraz wszechświat cały w nim się mieścić zdawał. Cierpieniem było wszystko, rozczarowaniem i nędzą,

a on te nędze, cierpienia i bóle wchłonął w siebie, zrozumiał i odczuł, więc zawarł wszystko w sobie. Zdawało mu się, że stoi gdzieś w środku wszelkiego istnienia i jest dla niego jakiémś wspólném zlewiskiem. Wszystko szło ku niemu, toczyło się, dążyło, jak do ujścia swego, a on to wszystko przyjmował w siebie, wciągał i wdychał i był niby sercem i płucami wszechświata.

I płynęły do niego strumienie i rzeki i morza całe.

Krew się w nich mieszała ze łzami i potem, a każda ich kropla miała historyę swoją i była jak perła, co z wrzodu powstała.

Krew z ran się sączyła ludzi milionów, którzy za masy walczyli i ginęli za masy. Płynęła żywa jeszcze i gorączką spalona, a każdą drobiną swoją zdawała się pytać:

— Za coście mnie przelali?

Orlicz przyjmował ją w siebie, mieszał z własną krwią swoją i, słuchając jéj szeptów, pytał napróżno:

— Czemu przeléwać ją trzeba?

Pot dymił jak ukrop, bo gorący był jeszcze i płynął falą szeroką. Powstał ze znojów wielkich i trudów wszelakich, a wyciśnięty był męką i mozołem wiecznym. Płynął ciągle i ciągle, nieprzebraném korytem, coraz bardziéj się wznosząc, a bez chwili wytchnienia.

I pytał wciąż szeptem:

— Gdzież są dzieła moje?

Orlicz przyjmował go w siebie, mieszał z potem własnym i słuchając szeptów jego, pytał napróżno:

— Czemuż wyciskać go trzeba?

To znowu łzy płynęły. Tych niewiele było, ale szła od nich gorycz i żar jakiś palący. Wylały je niedole wszelakie, ciche smutki i skargi, krzywdy i boleści. Toczyły się kroplami, niby różne kamyki, tylko ciężkie bardzo i gorące bardzo. A były tak małe, jak łzy dziecka, gdy kwili, to znowu tak wielkie, jak łzy starca, gdy płacze.

Płynęły powoli i zawodziły zcicha:

— Czegośmy płakały?

A Orlicz i te także zwolna wsączał w siebie, mieszał ze łzami swojemi i, słuchając ich żalów, pytał znowu napróżno:

— Czemuż płynąć muszą?

Górą jeszcze nad tém, niby wiatru powiewy, leciały skargi i jęki, westchnienia i zgrzyty, krzyki przekleństwa i rozpaczy. Wydzierały się z milionów piersi, wyrwane z nich cierpieniem, a choć cicho jęczały, nic oprócz siebie nie dawały słyszéć. Zdawało się, że to wiatry płaczą. Były niby łkanie świata, który gdzieś w dole pod niemi szamotał się i szarpał, i wił wśród boleści.

Orlicz te rozełkane wichry wciągał w siebie jak oddech, a one mu jeszcze w piersiach szemrały wciąż bólem i tłukły się, jak ptaki, strwożone ciemnością.

Zbiérał obfite żniwo. Rozsiał smutki swoje, rozłożył na barki świata, wyrywając je z siebie, rozpostarł na wszelkie istnienie na ziemi, a oto one znowu powracały do niego, tylko większe jeszcze i bardziéj bolesne, bo nabrzmiałe tém wszystkiém, co spotkały po drodze. Skupiał je w siebie, gromadził i wciskał, a one mu się wszystkie, jak warstwy naboju układały w piersi i czekały wybuchu.

I zdało się Orliczowi, że znalazł wreszcie to, czego szukał tak dawno.

Owa miazga istnienia, ów pień wspólny dla wszystkich objawów życia, owo podścielisko i przeznaczenie wszystkiego, co tylko istnieje— to było cierpienie.

Dokoła niego, niby nitka na kłębku, wiło się życie i jego zadania i nic w nich nie było na dnie, tylko ono samo. Dla niego żyło wszystko, dla niego pracowało; ono było wytłómaczeniem, ono źródłem i ujściem wszelkiego istnienia.

Rodziło się z poczęciem, zespalając się z życiem, towarzyszyło mu jak cień i zawsze i wszędzie, a konało ze śmiercią.

Ani chwili wytchnienia, ani chwili wyzwolenia, ani chwili spoczynku—tylko jedno cierpienie, ono zawsze i wszędzie...

. . . .

Myśli mu i teraz grały. Nie tłoczyły się już jednak bezładnie i chaotycznie jak przedtém do rozpalonéj głowy, tylko się układały w kompozycye całe, niby symfonie lub sonaty wielkie, w które on duszę swoją całą wléwał. Coraz częściéj miał chwile i zasłuchania jakiegoś, zatapiania się w tych pieśniach swoich myśli.

I dziwną różnicę widział w nich teraz. Przedtém rozpraszały mu się one, rwały i dzieliły na jakieś ułamki i drobiazgi, nie zespolone w żadną ciągłość jedną, — teraz ich melodya płynęła nieprzerwanie, wywiązywała się jedna z drugiéj, biegła jedném wspólném łożyskiem, skupiając do siebie rozstrzelone pierwéj tony.

I w duszy jego składała się z nich jedna wielka sonata — sonata cierpienia.

Niby w orkiestrze jakiéj, w duszy mu grały wszystkie instrumenty, z których ton dobyć można. Napinał ich struny, wyprężał je i skręcał, a one za lada ich tknięciem odzywały się same, śpiéwały i grały w takt harmonii niebiańskiéj, któréj wzór czerpał skądś zgóry, na skrzydłach natchnienia.

I były tam wszystkie tony. Biegły prędko, z wściekłością, jakby zawzięte na siebie, to znagła strzelając, jak pioruny wśród burzy, to warcząc tylko głucho, jak odgłosy gromu, gdy zdaleka dolata.

To znowu rozléwały się zwolna, jakby leniwie, niechętnie, niby w siebie wsłuchane i dla siebie płynące. Zdawały się upojone zachwytem nad tą muzyką własną, albo zbolałe i smutne, ledwo się skarżyć mogące. I raz dźwięczały tak cicho, że niemal milknęły, jak szelest skrzydeł komara, zlekka wiatrem niesiony, to znowu huczały, jakby łoskot grzmotu, gdy się w chmurach przewala.

I iść się zdawały czasem z oddaleń tak wielkich, jak niebios muzyka, co ją słyszy poeta, a czasem znienacka skakały do uszu, rozdzierając je zgrzytem lub pieszcząc, jak dłonią. A wtedy raz duszę nękały przeczuciem piekła katuszy, to ją miękko spowijały w cudne harmonii osłony i tak nieść się ją zdały z melodyi powiewem gdzieś w raju krainy.

Tak w nim płynęła melodya nieprzerwanym strumieniem, a on ją dobywał wciąż z ducha swojego i z tego morza łez wszystkich, zgryzot, cierpień i bólów, co je z całego świata zgromadził przedtém w siebie. Dźwięczała w niéj historya wszelkiego bytu na ziemi, cała epopea skarg, jęków i rozpaczy, jakiemi od poczęcia wszechświata był on udręczonym. Więc się w niéj plątały wszystkie istnienia tony. I skoczne, taneczne, a smętkiem podszyte, jak radości i uciechy, co szybko przechodzą, a złe nasiona mają, — to smutne i rzewne, jak niedole i trudy, co ludzi zjadają,—to wielkie, szerokie, w niebiosa bijące, jak ogromne nieszczęścia, co dusze druzgocą. Ufność i zwątpienie, rozczarowania i nadzieje, podniety i przygnębienia zmieniały się kolejno jak gra świateł w zorzach polarnych i tworzył się z nich jakiś korowód jeden to ducha stanów, to wydarzeń życia, co wiecznie pędzą człowieka ku jakiéjś mecie nieznanéj i nigdy mu „dosyć" powiedziéć nie dadzą.

A poprzez to wszystko, niby wstęga przez otwory koronki przeciągnięta, wiła się jedna nuta, jakaś wysoka, napięta, która ciągle dźwięczała, mącąc wszystkie melodye. Była monotonna, bo jedna, i płaczliwa, bo cicha, a dręczyła ucho swoim jękiem miarowym. Zdawała się skarżyć ciągle, zawodzić i piszczéć, jak arfa eolska, co wciąż skrzypi na wietrze, i wracała uparcie, narzucając się raz po raz, jak zgrzyt zawias zardzewiałych lub przeciągłe jęczenie, dochodzące zdaleka. Szła melodya za melodyą, przechodziły całe ustępy sonaty, a ta nuta płakała i płakała, jęczała, zgrzytała, zawsze jedna i jedna, dręcząca, nużąca, zawsze jękliwa i smutna.

I Orlicz rozumiał tę nutę wciąż jedną, co mu się w myślach wiła, jak nić czarna w wzorzystéj tkaninie. Ten jęk jéj przewlekły to był ton bólów wszystkich, to były łzy i smutki, jedną nutą drgające.

Toczyło się życie w sonatę zaklęte, przewijały się chwile to wielkie, to małe, z których się istnienie niby mozajka z kamyków układa, padały krzyki ogromne, z płuc olbrzymów wyrwane, to westchnienia maleńkie, cichym szeptem jąkane, — a poprzez to wszystko, jak nić przez korale, snuły się łzy i nędze, znikomość i marność. To niedola świata, niby nitka paciorek, nizała na siebie wszystkie chwile istnienia i była osnową, na któréj się snuły. To ona, to ta niedola, ta nędza, ta znikomość i marność mąciła harmonię wszelakiego bytu; to ona, ta niedola i marność była osnową i zmorą, podkładem wszystkiego i udręczeniem wieczném. Dlatego téż jękliwą była i upartą, dlatego téż męczyła i łzy wyciskała, a była smutną, tak smutną ogromnie, jak dusza tułacza, co się kołata po świecie.

Miał więc teraz Orlicz to, czego tak pragnął oddawna. Dusza mu się rozśpiewała jedną pieśnią olbrzymią i brzmiała szeroko, cały świat obejmując. Rozstrzelone dawniéj tony zléwały się teraz w jedną potężną harmonię, w jedną sonatę ogromną, a którą on w myślach ochrzcił Sonatą Cierpienia.

I już nie było w niéj rozdźwięków żadnych. Układała się sama w jeden ciąg nieprzerwany, wiązała się i snuła z wszystkich nici ducha w jeden wzór harmonijny. Była tą pieśnią wielką, o któréj on marzył zawsze i któréj czekał z utęsknieniem i obawą, jako pienia, co jego ducha w sobie zawrze i będzie mu jedynym wynikiem życia. I oto nadeszła ta chwila. Pienie przepełniało go po brzegi i trzeba je tylko było wyrzucić z siebie.

I czuł, że choćby płuca miał zerwać w têm pieniu, śpiewać już musi. Sonata Cierpienia splątała mu umysł, pożerała wszystkie jego myśli i była niby wrzód ogromny, co mu na duszy nabiérał.

Kiedy w chwilach niemocy i zmniejszonego napięcia energii natchnienia przychodziła mu myśl do głowy, że mu zbraknie siły w momencie tworzenia i poroni swe dzieło, czuł, żeby się to sprzęgło z jakąś potworną katastrofą i dla niego samego. Bo już nie chciał, nie pragnął tworzyć, ale musiał. Jeżeli Sonata miała być dziełem wielkiém i jednym z pomników myśli człowieka, — nie poczuwał się do żadnéj zasługi, że ją tworzył. Musiał ją wylać z siebie nie dla stworzenia dzieła, tylko dla uwolnienia siebie od tego opętania, jakie go dręczyło.

Nie było mu bodźcem pragnienie sławy lub kochanie sonaty jako dziecka swego: widział, że tyle męki, jaką mu nieraz sprawiała, nie

opłaci żadna sława, żadne hołdy uznania, a sonaty, choć to było jego serce własne, jego mózg i dusza, nienawidził nieraz, jako zmory straszliwéj, jako upiora, co mu wszystką krew z niego wypijała.

Dlatego téż bał się i lękał, czy ją tak potrafi odrazu wyrwać z siebie, żeby mu nie wróciła znowu, jako wyrzut sumienia lub nowe opętanie rodzenia jéj raz drugi. Bo wtedy mogłoby mu i sił zabraknąć i wiary, że wreszcie znajdzie spokój.

Więc czuł, że się zbliża do katastrofy wielkiéj. Mogła go porwać w zamęcie, jak huragan źdźbło słomy, miotać nim i targać, i rzucić wreszcie z połamaną duszą, odartego z ostatnich zapałów, jakie w nim jeszcze tlały.

O życie nie szło mu wcale. Gdyby mógł za cenę jego zdobyć wielkość swego dzieła rzuciłby je bez wahania, nie żałując ofiary. Bo miał nieraz dziwne pragnienie. Zdawało mu się chwilami, że on tę Sonatę Cierpienia wygrywa na skrzypcach jakichś, trącając zlekka struny. One dźwięczą cicho, a melodya płynie. Płynie i płynie, rozléwa mu się po duszy, aż gdzieś ginie na gwiazdach, w nieskończoność rozbrzmiéwa. Wszystko słucha w zdumieniu i tonie w zachwycie, a on na skrzypkach swoich dobywa takie tony, jakich nieba dotąd nie stworzyły wzoru. Nietylko już skrzypce grają. Od zenitów do zenitów jego dłoń twórcza poprzeciągała olbrzymie struny i cały ogrom wszechświata, pijany melodyą jego cudnéj pieśni, gra z nim razem, śpiéwa, kołysze się, chwieje i omdlewa w rozkoszy...

A wtedy z niego wyrywa się jedno nieprzeparte pragnienie. Oto chce, żeby mu się dusza zerwała w ostatniém struny drgnięciu i z dźwiękiem ostatnim rozlała w przestrzeniach, ginąc tak pięknie i cicho, jak melodyi skonanie.

Czekał więc tylko chwili, kiedy mu ta sonata sama z piersi wybuchnie. Nie była sztuką żadną lub grą słów wielkich i silnych, lecz miała w sobie coś z mocy żywiołu, który sam się wydzierał z ukrycia w przestworza. Nie Orlicz był jego panem, lecz żywioł nim władał. Więc mu służył w pokorze.

I tak dni mu schodziły w jakiémś nieokreśloném uczuciu to nadziei, to zwątpień. Tylko konieczność tworzenia tłoczyła go coraz mocniéj, tak że go dusiła niemal.

. . . .

Aż wreszcie zaczął pisać. Owładnęła nim gorączka jakaś i dziwny stan ducha, w którym świadomość uśpienia i halucynacyi łączyła się z jaskrawą wrażliwością na urojenia wyobraźni. Czuł, że pisze ni-

by we śnie jakimś, oderwany od rzeczywistości, a zatopiony cały w tym idealnym świecie iluzyi i marzeń, które wysnuwał z siebie. Oplatał się niemi, niby owad swą przędzą, i tak szybował w tym ułud obszarze, gdzie już świat żywy zniknął mu z przed oczu, a powstał nowy, jego wyobraźnią stworzony. Był mu rzeczywistszym jeszcze niźli rzeczywistość sama. Czuł go i widział, i dotykał niemal, a czego w nim brakło, to z siebie dotwarzał.

I pisał ciągle, gorączką spalony, w obawie wielkiéj i w ekstazie upojeń. Bóg wié, ile wrażeń, ile uczuć przechodził w tych chwilach pisania. I radość i smutek, i rozkosz i boleść, i łzy i uśmiéchy targały mu duszę i miéwał nieraz chwile, że nienawidził dzieła swego, to znowu je kochał i życie-by oddał za nie. Rzucał słowa i myśli, niby serca kawały, a każde słowo takie było cząstką własnéj duszy jego, i chociaż oderwaną już od niéj, a przecież żyjącą z nim wspólnie. Miał nieraz wrażenie, że ten poemat cały — to jego dusza druga. Oddawał jéj wszystko, co tylko miał w sobie. Odzierał się z uczuć, ogałacał z myśli, wysilał z sił swoich i porywów zapału, a jéj dawał wszystko, jéj, téj duszy drugiéj, żeby piękną była, a silną i wielką.

Całe życie jego złożyło mu się na tę jedną chwilę. Co lata długie gromadził i zbiérał, co mu się kropla po kropli wsączało powoli — teraz oddawał z siebie, wyrzucał w wybuchu.

I tak powstała „Sonata cierpienia".

Wsłuchany w siebie, wsłuchany w te śpiewy duszy, co mu się w melodye różne składały, bezwiednie pisał w takt muzyki jakiéjś, zachowując jéj rytmy i tempa wciąż zmienne.

. . . .

Więc w prędkiém *allegro* ścigała się żywo mozolność prac ludzi z ich pragnień mijaniem. Tłoczyły się tony, goniły, spychały, jedne w drugie zachodząc, jedne drugie spędzając, coraz prędzéj i prędzéj, coraz śmieléj i nagléj. Latały passaże, kłóciły się tryle, a muzyka biegła w rosnącém wciąż tempie. Pędziły więc tony niby zawzięte na siebie, to się goniąc zaciekle, to krzyżując po drodze, a żaden z nich nie mógł pełnią dźwięków rozebrzmiéć. Ginęły w tym pędzie przez nadbiegłe zduszone, zanim echo ich mogło po przestrzeni się rozbiedz.

I tak biegła muzyka.

Z urywanych wciąż tonów, zewsząd w jedno zganianych, złożyła się w końcu wielka dźwięków kaskada, z wielu tonów powstała, a jednym szmerem hucząca.

I była to wieczna wszystkich ludzi praca nad gmachem ich szczęścia. Już od poczęcia swego na pragnienia skazani, chcieli choćby przez mozoły i trudy pragnienia te spełnić. Więc pracowali uparcie od zarania lat swoich, żyjąc tylko przyszłością, kiedy rozkoszy zaznają. Nadchodziły jednak ciągle pokolenia wciąż nowe, niosąc swoje potrzeby, swoje pragnienia i cele, i gmach, choć nieskończony, już był dla nich za starym. Więc przerabiano, burzono, przestawiano, wznoszono, zawsze z planem odmiennym, bo starzały się dawne, a budynek stał pusty i zaledwie zaczęty, bo go nikt wznieść nie zdążył przed końcem dni swoich.

I tak w trudach, mozołach i przyszłości czekaniu schodziły dni ludziom bez pożytku żadnego. Nadchodziły, jak fale, pragnienia wciąż nowe, jedne drugie spychały, jedne drugie zwalczały i nim ziścić się mogły, bywały stłumiane. Walczyła zabiegliwość skrzętna z coraz rosnącém pożądaniem i tak migały wciąż pragnienia, ledwo zrodzone już zgrzybiałe.

Aż utworzył się z tego jeden wyścig olbrzymi pożądań wciąż nowych, wciąż nowych zabiegów, który w czasów przestrzeni zbiegł szybko i chyżo, jak tony *allegra*, co się gonią zawzięcie.

Mijały ustępy całe téj dziwnéj muzyki, doganiały się takty, wyścigały tony, a żadna nuta nie mogła swego echa się dobić. Ledwie tylko zrodzoną zabijały wnet inne, przecinały, gasiły, głuszyły, tłumiły i wciąż pędem leciały coraz daléj i daléj, coraz prędzéj i prędzéj ku własnéj zagładzie. I tak biegły, pędziły, między sobą skłócone, każda z życia pragnieniem, każga ginąc po drodze.

Wreszcie zwalniać poczęły.

Przycichłe, osłabłe, łagodniały w znużeniu i coraz wolniéj się tocząc, przeszły w spokojne *andante*.

Zdawały się nie biegnąć, lecz płynąć. Rozmarzone i senne, poprzednią żywością zmęczone, pragnęły teraz wytchnienia i dążyły do niego. Układły się téż cicho jakby na powierzchni wód toni i spokojnie, miarowo razem z nią żeglowały. Toń się marszczyła po wierzchu, one drżały téż zlekka, toń płynęła w dal ciągle, one z nią wspólnie sunęły, a zawsze miarowo i sennie, zawsze spokojnie i wolno, zawsze łagodnie i lekko. A wietrzyk powiewny, co wody falował, a fale całował, leciutko, wolniutko zwiewał razem tony i mieszał je, łączył, zadzierzgał i wiązał.

I z tych powiązanych tonów uprzędła się pieśń jedna.

To łzy i smutki ciche wśród łagodnych pasaży zawodziły nad sobą i skarżyły się losom. Jakieś tłumione łkania, jakieś głębokie szlochania podrywały wciąż tony, pękały serca jakieś, zanosiły się płaczem

piersi, a wszystko to się zlewało w jedną skargę ogromną i płynęło powoli, udręczone, zbolałe, cierpieniem przybite. Uskarżali się niemi, kalecy i ślepcy, że byli niewinni, a w przekleństwie powstali; — zawodziły sieroty, że im matki pobrali, a matki jęczały, że dziatki im marły; — płakały starce młodości, że zbiegła im szybko; złorzeczyły młodzieńce, że wcześnie pogasły.

I tak pieśń ciągle płynęła. Łkały strasznie wioliny, uskarżały się basy, tony płakały, szlochały, wzdychały, kwiliły, a coś ponad niemi zdawało się ręce łamać w bólu i jęczéć straszliwie.

W końcu tchu już nie stało.

Jakiś przeraźliwy ucisk, jakieś bezmierne znużenie ogarnęło rozłzawione tony, zaczęły się tłumić, zadławiać i dusić, a tylko ich echo, co sobie ręce łamało z bólu i włosy rwało z głowy, załkało teraz okropnie. I choć pieśń się urwała, to przerażone echo przedłużyło jéj trwanie, bo łkało... łkało... i łkało...

. . . .

Zamilkłe na chwilę tony odezwały się znowu.

Gdzieś z krańca niebios odbite łkań drżenie przypłynęło nad struny i musnęło je w powiewie. Struny zabrzęczały cicho i rozśpiewały się znowu.

Rozskarżone, zbolałe i ledwie już szemrzéć mogące, rozlały się teraz w śpiewne i łzawe *adagio*. Coraz czystsze, wolniejsze, coraz słabsze i cichsze nadpływały powoli, lekko drżały chwil kilka i odpływały daléj, niby senne widziadła. A melodya, co jest muzyki poezyą, poczęła zbiérać te gasnące szmery, poczęła je wiązać i skupiać, rozkładać i składać i usnuła z nich w końcu modlitwę błagalną.

Więc rozmodliły się tony, przestały jęczéć i płakać i już błagały tylko. W jakimś nadziemskim zachwycie, w jakiémś upojeniu ekstazy, rozbłagane i rozgorzałe słały do niebios swe prośby. Modliły się o pokój wieczny, o wytchnienie i litość, błagały o ciszę dla świata i ukojenie dla siebie; prosiły, by łzy biedz przestały, a smutki zniknęły, by ludy w szczęściu żyły, a miłości i zgodzie.

A śpiewne *adagio*, co się w melodyę rozlało, podchwytywało ciągle tony i, wiążąc je społem, kołysało niemi. Więc się chwiała melodya w téj rozmodlenia ekstazie, to się wznosząc ku górze, to na dół spadając. Gdzieś ku niebiosom się pięła wśród łagodnych falowań po łaskę i światło i litościwe wejrzenie, a w dół się zsuwała, rozlewając się wolno, niby zmęczona, osłabła, żeby siły zaczerpnąć. I tak bujała się ciągle, piętrzyła, zniżała, niby morza powierzchnia, gdy ją wiatr rozkołysze.

Aż w końcu apoteozy hymnem zaczęła iść wciąż ku górze, coraz wyżéj i wyżéj, coraz prościéj i chyżéj, gdzieś pod same niebiosy, gdzieś pod same błękity, — aż i znikła tam wreszcie... A echa, jakie się stamtąd rozbiegły, poczęły cichnąć i daléć, rozpraszać się, rozwiewać, wycieńczać i słabiéć. I tak niknęły i cichły, cieniały... gasnęły... aż i zmilkły zupełnie.

. . . .

„Ruszajcie precz! Pocoście tu? By spokój mój wasz zmącił pisk? — zawołał głos zza niebios wrót. — Ni waszych skarg, ni waszych łez, ni waszych mąk, ni cierpień łkań nie widzi nikt, nie słucha nikt. Tu pustka jest i jam jest nic i byłem nic i będę nic. Nie pnijcie się — daremny trud: tu tylko trwa — okrągłe nic! Jak wszystko jest, tak dobrze jest i będzie tak po wieków wiek. Daremny trud—ruszajcie precz: tu nie ma nic, zupełnie nic..."

Taki-to figiel *scherza* był.

. . . .

. . . .

I poszły precz rozskarżone tony i jako bywa w nieszczęściu a krzywdzie — skłóciły się z sobą.

. . . .

I huknęły odrazu. Zaczęły coraz gwałtowniéj naciérać na siebie, jakby się ścigając i goniąc we wściekłym zamęcie i przeszły w huczący finał. Tu już szalał świat cały.

Po-przez bezmiary nieskończonych przestrzeni, po odwiecznych torach swoich latały koliska światów w rozpędzeniu szaloném. Z piekielnym rozmachem wirowały wśród bezdni przepaści, pędząc ciągle i ciągle, niby garść wielka śrutowin, wystrzelona z olbrzymiego działa. A każda kula taka jęczała w przebiegu: „wytchnienia choć na chwilę! czemuż tak lecieć musimy?!"

I z tych krzyków jęczenia powstał jeden wrzask straszny, który sobą zapełnił wszystkie przestrzenie i sfery tak, że nic w nich nie było, tylko ten wrzask straszliwy. I tak kule latały nie w eterach, lecz w jękach.

Obracały się koło planet księżyce, latały po orbitach planety, przewalały się wielkie mgławice, pędziły słońca i gwiazdy, aż w tym piekielnym zamęcie rozwirował się wszechświat wszystek. Tylko komety błędne z roztarganym warkoczem, jakby przerażone i blade, szukały próżno drogi, błąkając się wiecznie.

Po-przez bezkrańce światów, po-przez bezkrańce przestrzeni, poprzez bezmiary bezmiarów przelatywały systematy całe, to raz u szczytów zenitu, to w głębinach nadirów. Rozpędzone, rozmachane, rozhukane i rozszalałe waliły, jak wściekłe, po-przez ciągłe przepaści, staczając się w bezdnie, to strzelając do góry. I wyły wyciem straszliwém: „ukojenia! wytchnienia! litości! spokoju!” A zamęt piekielny porywał je znowu, przewalał, popychał i rozrzucał w bezmiary, niby iskry rakiety, wystrzelone w błękity.

Tylko wicher przestworny, tylko huragan wszechświatowy, jaki się z tych kołowań między kulami wytwarzał, szalejąc w rozpasaniu, poganiał jeszcze światy, podbijając je w biegu. A że nie z eterów powstawał, lecz jęki pędził sobą, więc wył przeraźliwie i na jęczenie światów piskiem tylko odpowiadał i zgrzytem.

W końcu dopełniło się.

Niewidzialna ręka olbrzymiém siły napięciem zmąciła tory światów i skotłowała je z sobą. W szalonym tym rozmachu jedno z kulisk pędzących potrąciło o drugie, to o trzecie i czwarte, tamte jeszcze o inne i tak się rozpoczęło konanie wszechświata.

Runęły w przepaść światy, waliły się słońca i gwiazdy, przewracały się w bezdnie systematy całe, a chaos piekielny ogarnął przestrzenie. Kule się spotykały, zderzały, pękały, pryskały, to na proch się zbryzgując, to w kawały lecąc, a rumowiska światów, ich szczątki i gruzy waliły się gdzieś ciągle, w jakieś ciemnie straszliwe.

Pogasły słońca wszystkie, zmroczyły się planety, księżyce, a ciemność bezdenna pokryła agonię ostatnią. I tylko łoskot okropny walenia się światów, tylko huk, zgiełk i łoskot tłukących się globów, tylko chrobotanie piekielne zmiażdżających się kulisk przepełniały sobą próżniejące przestrzenie.

Bezładna gruzów gromada, niby cmentarzysko świata, zawisła wśród próżni i dogorywała powoli. Coś się w niéj burzyło, kipiało, warczało i kotłowało okropnie, przewracając się ciężko i jęcząc chrapliwie.

Było to rzężenie ostatnie, agonia wszechświata.

Wtém huk piekielny, straszliwy, huk pierwszy i ostatni w całym ciągu istnienia, huk, jakiego przedtém i potém ani było, ani być już nie miało, raz jeszcze rozdarł próżnie i obiegł przestwory. To istnienie skonało wśród spazmu konwulsyi.

Zagrzmiały wszystkie pioruny, rozwyły się huragany, rozpękły wszystkie grzmoty i w rozpasaniu wściekłém huknęły odrazu.

Rozprysły się czasy, zawaliły przestrzenie, rozproszyły byty — i nastała nicość i cisza . . . .

. . . .

. . . .

Sonata Cierpienia była skończona.

. . . .

W pół roku późniéj wielka sława opromieniła imię Orlicza. „Sonata Cierpienia" poruszyła umysły, podniecała uczucia, stała się powodem walk zaciętych i sporów gorączkowych, wywołała ruch serc i mózgów. Witano w autorze nowy i oryginalny talent, rokując mu wielkie nadzieje.

Ogól został podbity odrazu, olśniony siłą i ogniem talentu. Dzieło rozchwytywano gorączkowo, czytano, przejmowano się niém lub oburzano,—czytali je przecież wszyscy i mówili o niém dużo, przyznając, bez względu na punkta zapatrywań, wielki talent twórcy.

Autor, jak przyznawali nawet niechętni, umiał grać na nerwach i mózgach ludzkich i wygrywał na nich, co tylko chciał.

Byli i tacy, którzy rokowali, że poezya znowu stanie się mistrzynią i kierowniczką czynów ludzkich, jak nią była dawniéj, w czasach wielkich czarodziejów słowa. Ludzkość, utrzymywano, jest już znużoną bardzo, ogołoconą z wiary i zwątpiałą w swe siły; wyniszczyła się zupełnie bezowocnemi walkami i wieczną pogonią za światłem przewodniém. Stąd więc wnioskowano, że poezya mogłaby jeszcze odegrać jaką rolę, porywając entuzyazmem rozkładające się umysły — tylko musiałaby być wielką i krzepiącą ducha.

„Sonata Cierpienia" już samą siłą wywołanego wrażenia zdawała się świadczyć, że to zadanie poezyi grać na duszach ludzkich potęgą i czarem nie jest niemożliwém. Bo choćby już porwać i rozkazywać nie miała siły i mocy, mogła przecież koić i uciszać bóle.

I na Orlicza wtedy zwrócono spojrzenia. Sonata dała mu nietylko rozgłos i sławę, nietylko uznanie talentu i potęgi słowa. Dała mu ona jeszcze dziwne jakieś zaufanie wszystkich w szczerość tego, co mówił i wiarę, że to, co jeszcze powie, będzie tak samo przeczute i przemyślane, z głębi duszy wyrwane, jak ta spowiedź bólów. W „Sonacie", niby w zwierciedle, ujrzeli wszyscy swoje nędze i smutki i czuli, że ten, co je tak opisał krwawo, musiał mieć, jak i oni, tylko bardziéj jeszcze, duszę rdzą zwątpienia stoczoną. Więc gdyby ta właśnie dusza, tu przepojona bólem i już doświadczona cierpieniem, uwierzyła w coś przecie i promyk światła ujrzała, — możnaby łatwiéj w jéj szcze-

rość wierzyć, a w promyk taki — może i uwierzyć. Bo często ludzie, gdy chorzy są bardzo, przejmują leki od wyleczonych niemi z tych samych chorób. Więc i na Orlicza spoglądali chorzy, czekając, co go uleczyć potrafi.

A Orliczowi tłumem cisnęły się teraz wrażenia i myśli. Rozgłos i sława spadły na niego znienacka, niespodziewane i nieoczekiwane. Dzień niemal każdy przynosił mu jakieś echo wywoływanego przezeń rozgwaru i każdy dzień taki zdawał się ten rozgwar powiększać jeszcze i rozszerzać. Leciały do niego wieści sławy, jak jaskółek gromada, a każda z nich znaczyła swą drogę, jakby szlakiem świetlistym. I z tych nici promiennych tworzyła się koło głowy jego aureoli korona, w któréj chodził, jak w słońcu.

Wśród téj wichury uczuć, jaka nim teraz owładła, dwa górowały nad innemi: poczucie swéj sławy i wrażenie jakiéjś szerszéj przestrzeni, na jaką się wydobył teraz. Dusza jego niby przejrzała jakimś zmysłem nowym i to, co nim poznawał teraz, zdawało się ją aż oślepiać swoją niespodziewaną nowością.

Z początku jednak sława tylko pochłaniała go zupełnie. Po dniach pierwszych upojeń i oszołomienia, jakie ona sprawia, zaczął pracować umysłem, ażeby ją nie czuć już tylko, ale i rozumiéć.

Bo nie na długo mu starczyło samo poczucie się do niéj. Kiedy po raz pierwszy rzekł sam do siebie: „więc jestem sławnym”, zdawało mu się, że są to dopiéro pierwsze wyrazy jakiegoś wielkiego łańcucha myśli i uświadamiających wrażeń i że tuż za niemi popłynie cały ich szereg, niekończący się prawie. Tymczasem odrazu spotkał go zawód. Cały wybuch uczuć mieścił się tylko w tych kilku wyrazach i daléj nie wiedział, co ma dodać jeszcze.

O sławie marzył kiedyś wiele i tak ją stawiał wysoko, że aż nie przypuszczał, by go kiedykolwiek opromienić mogła. Było to coś tak wielkiego, tak wzniosłego i odurzającego czarem, że w żadnym razie dosięgnąć-by jéj nie mógł. A przecież dosięgnął. Zeszła do niego, osypała go sobą hojnie, rozgłosiła mu imię, otoczyła go odrazu. Orlicz czuł ją na sobie, widział, że ma do niéj prawa i wmawiał ją w siebie — a przecież zdawało mu się, że to nie jest ta sama sława, o jakiéj on marzył kiedyś i jaką sobie wystawiał. Dziwił się, że całą jéj rozkosz w dwóch wyrazach tylko zamieścić potrafił i że przy całéj jéj hojności—w duchu pozostał ubogim, jakim był i przedtém.

Więc zaczął się pytać sam siebie: „czy mi co dała sława i co mi ona dała?”

Mogła mu dać pewność siebie i wiarę w swój talent; téj nie miał jednak i teraz, a przynajmniéj nie zawsze. Właśnie w chwilach zwąt-

pień i obawy niemocy, właśnie w chwilach takich, kiedyby go wesprzéć powinna — była, jak on sam, bezsilną i nie mogła mu wmówić odwagi.

Zrozumiał, że wiara w siebie i ufność w swe siły i bez uznania sławy istniéć w sercu mogą. Płyną one nie zzewnątrz, ale zwewnątrz ducha i wmówić ich w siebie nawet uznaniem milionów nie można.

Orlicz téż, jak i przedtém, pozostał dowolną igraszką przypływów i odpływów ducha i albo się bratał z gwiazdami, albo unicestwiał w prochu.

Mogła mu także sława dać jakąś dumę z siebie, jakieś przeświadczenie uznane, że jest jednym z wybranych, że jest dostojnikiem ducha. Zawsze w takiém przeświadczeniu tkwi wiele rozkoszy i ono to właśnie pozwala jéj szukać nawet na dnie katuszy.

Za wielkim jednak sceptykiem był Orlicz zawsze, ażeby choćby miliony mogły weń wmówić cośkolwiek. Więc i tu, jak przedtém, pozostał w kole wirowém i co zyskał na sławie, potrafił wypalić swoim jadem zwątpienia.

Ale jedno przecież zdawał się zyskać niewątpliwie: wielki rozgłos i innych uznanie. Przeświadczało go o tém wszystko. Mówiono o nim, pisano i rozprawiano i mógł być pewnym tego, że jego imię stało się znaném wszystkim i wraz z „Sonatą" weszło w bieg życia. Spadł niby kamień w wygładzoną toń społeczeństwa i widział, jak koła falowań, szerząc się i wydłużając, ogarniały coraz większe obszary, dążąc gdzieś do jakichś brzegów nieznanych. A wszystkie, jak światła promienie, od niego biegły i w nim się skupiały.

To też najdłużéj Orlicz pieścił się myślą o swoim rozgłosie. Uważał go za jedyny dar sławy, który uzyskał w istocie i którego pewność niewzruszoną być miała. Cieszył się zatém i z tego, rad, że coś ma przecie, co zdobył sobie i czém swój dobytek wzbogacił.

Wkrótce jednak zobaczył, że i w tém było złudzenie, — może silniejsze od innych, ale złudzenie tylko. Oto z całego tego rozgłosu on, on sam, nie zyskał nic. Wsławiało się imię jego, wsławiał się układ głosek, będący tylko prostém wyobrażeniem autora Sonaty, ale on sam się nie wsławiał. Gdyby mu się spodobało na miejscu swego imienia zamieścić jaką inną nazwę, — wsławiałaby się ta nazwa, ale znowu nie on. Nazwisko jego oderwało się od niego i, krążąc wśród ludzi, zbierało hołdy i uznanie, było jednak ciągle tak bezcielesném, jak imiona bogów Hellady, którzy nie istnieli wcale, a mimo to cześć odbierali i nieśmiertelność posiedli.

Sam dla siebie oznak sławy nie pragnął, bo nawet nie wiedział, coby robił z niemi — i dlatego, jak przedtém, żył w ciszy i zdala od

zgiełku świata, zadawalając się jedynie echami, jakie go dochodziły stamtąd. Témbardziéj więc jeszcze osoba jego stawała się zamglonym mitem, w którym po-za nazwą żadnéj rzeczy nie ma.

I zrozumiał Orlicz, że nawet i ten nabytek, jaki, myślał, że zdobył, chimerą był tylko, bo nie dał mu nic. Nie przysporzył mu żadnéj idei, nie wzbogacił go żadném uczuciem, nie dał mu nawet niższych przyjemnostek zadowolonéj ambicyi, bo nie dbał o nie, — a odarł go tylko z ostatniego złudzenia.

Znowu więc w duszy Orlicza zaczęła się szerzyć pustka. Przerażała go teraz bardzo, bo widział, że już jéj niczem zapełnić nie zdoła. Rzucał w nią, jak w beczkę Danaid, wszystko, co tylko mógł i miał do rzucenia, a przecież ciągle tylko próżnią wiała. Rzucił w nią nawet to, czém nie każdy rozporządzać może—rzucił sławę swoją— a i ta jéj zapełnić nie mogła.

I widział teraz, że ta sława, niby fala morza, obléwała go tylko, do dna jego serca nie dosięgając wcale. Czuł, że mu w niéj brakło promienia jakiegoś, któryby mu się wedrzéć potrafił aż gdzieś w duszy zanadrze i był tylko dla niego, dla niego jednego.

Nie wiedział jeszcze, coby to za promień mógł być, ale instynktem odczuwał, że ten, ten właśnie, którego mu brakło, byłby go ogrzał może, pocieszył i dodał otuchy.

A w dodatku poczuł, że zaczyna tracić i tę odrobinę pewności siebie, na mocy któréj rozgrzeszał się za to życie, jakie prowadził dotychczas. Usunięty od świata, oddzielony od niego mgłą swoich urojeń, sądził, że miał prawo żyć w odosobnieniu, wyrzekając się roli działacza na nim. Dotąd rozumował tak: wszystko, co nie jest mną, nazywa się światem, życiem; świat jestto ciągłe ziszczanie się jakichś praw, których ja nie rozumiem; ażeby ów świat żył i biegł równo i dobrze, trzeba te prawa znać i według nich działać, a że ja ich nie znam, więc muszę się wycofać ze szranek i wyrzec swéj roli; w ten sposób, nie robiąc nic, postąpię moralnie i dobrze, bo przynajmniéj niczego psuć i mącić nie będę; mam zatém prawo żyć w ciszy i samotności. — Tak téż i żył, a swego prawa rezygnacyi tak dalece był pewien, że się nawet nie zastanawiał nad niém.

Tymczasem teraz i ta jedyna pewność zaczęła mu się z pod nóg usuwać. Bo nieprawdą było, ażeby nie działał. Działał, — a bezwiednie wybrał sobie rolę, która była jedną z większych, bo mogła wpływać na innych. „Sonatą Cierpienia” nie przysporzył kęsa chleba, nie odział nikogo, ani napoił, ale zabrał głos i, jeśli nie słuchanym, był przecież przez wszystkich słyszanym.

I znowu nawał myśli zaczął się cisnąć Orliczowi do głowy. Zrozumiał teraz, że w ciszy czterech ścian pokoju swego, że w odosobnieniu urojeń swoich on stworzył huczące dzieło, którego nabój z łoskotem wpadł między ludzi i rozsiał wśród nich jego myśli i słowa. Cichy szept marzeń, które wysnuwał z siebie i tylko dla siebie, rozrósł się w potężny okrzyk i, brzmiąc coraz donośniéj, przetaczał się po świecie, wszczepiał w obce mózgi i zostawiał tam ślady. Nie kęs chleba stworzył, ani sukmanę, ale stworzył te myśli wszystkie, te serca bicia, pragnienia i wstręty, jakie Sonatą wywołał.

Pozostawał mu jeszcze jeden rachunek, tém cięższy i przykrzejszy, że spadł nań niespodzianie i przedtém nie zastanawiał się nad nim nigdy. Był to rachunek ze światem za Sonatę i za to, co ona w nim wywołała.

Bo przedewszystkiém ów świat przedstawiał mu się teraz inaczéj. Nie był to abstrakcyjny wytwór oderwanych praw i zasad, zbiór mgieł i cieni, co walki staczają; nie był to jedynie stek kółek maszyny, ujęty w karby żelazne i tylko wśród tych karbów żyjący; nie była to jedynie ściśle spojona gromada, niby kolonia mrówek, co kopiec tworzyła. Po za oderwanemi wyciągami ze spraw, pragnień i wstrętów téj gromady byli jeszcze oddzielni ludzie, którzy się nieskończenie różnili między sobą, mając każdy z osobna, swoje własne cele, swoje własne zadania, swoje myśli i dusze. Spełniały się wielkie prawa, tą gromadą rządzące, spełniały się przewroty i zmiany, z tych praw wypływające, ale po za tém ludzie kochali się i nienawidzili, pracowali i dążyli, opierali się lub chcieli i tak każdy dla siebie, tak oddzielnie i różnie, jakby o tych prawach nie wiedzieli zupełnie. A z tych dążeń maleńkich, z tych prac odosobnionych składała się jedna wielka mozajka, z drobnych kamyczków złożona, która dopiéro z oddalenia wielkiego dawała linie i wzory, jedną całość tworzące.

I teraz dopiéro Orlicz dostrzegł, jaki był błąd w jego dawném mniemaniu o życiu i świecie. Oto był niby zawieszony na gwiazdach, w zawrotnéj atmosferze abstrakcyi i górnych uniesień, bujał się gdzieś tak wysoko, w takich mgłach i obłokach, że tylko z ogromnych oddaleń na świat mógł spoglądać. Bratał się z wszechświatem, z gwiazdami, żył życiem komet, księżyców, oddychał duszną i męczącą atmosferą międzyplanetarnych przestrzeni, a z życiem i ludźmi, którzy go otaczali tak miał mało wspólnego, że aż ich nie znał wcale. Szukał celów na niebie, prawd i wiary w abstrakcyach i logicznych formułkach, a przeoczył po drodze jedyną księgę żywota, księgę dobrego i złego — ludzi i ten świat prawdziwy i żywy, który oni składali.

Znalazłszy tę jedną najważniejszą omyłkę życia swego, odgadł Orlicz, że ona to właśnie była przyczyną i źródłem jego zawodów wszystkich i smutków i tego, że sobie zepsuł życie. Bo oto żył niby dobrowolny ślepiec, zapatrzony tylko w siebie i tylko swoim marom uległy, a dokoła niego wrzał ogromny świat, pełen to pragnień, to celów, to trwóg, to niepokojów, który tętnił ruchem i tak był zbliska wielkim rozmaitością swoją, że aż się objąć nie dawał.

Jak więc kiedyś w noc letnią zaślubił przyrodę całą, tak teraz postanowił zaślubić świat, żeby go poznać najpiérw, a potém i żyć z nim razem. Teraz przeczuwał tylko i odgadywał, że w tém olbrzymiém zbiorowisku to potrzeb i dążeń, to prac i mozołów, które się światem zowie, musi być pożądaném i niezbędném, a przez to rozkazodawczém jakieś prawo wzajemności usług, prawo harmonii trudów i nagrody, prawo sprawiedliwości wymiany skutków za przyczyny, jeżeli nie ma się ludziom odjąć ochoty do pracy lub do jéj owoców spożywania.

On dotychczas zrobił jedno tylko: stworzył „Sonatę Cierpienia” i dał ją ludziom. Spełnił więc czyn. Ludzie wzamian dali mu myśli swoje, łez trochę i współczucia i nadewszystko dali mu sławę. Była zatém wzajemność usług, była zasługa i nagroda, bo zapracował na swoją sławę. Nim stworzył, cierpiał i, tworząc, cierpiał, a świat wypłacił mu się za to i laurem wielkiéj sławy uwieńczył skroń jego. Mógł więc teraz powiedzieć sobie: „świat płakał nademną, głosząc imię moje, bom cierpiał za niego i znosił katusze: jestem więc zasłużonym i powinienem mieć spokój.”

A przecież nie miał go i teraz jeszcze. Skądś z głębi odzywał się w nim jakiś głos buntu i niezadowolenia, który mu nie dawał wyzbyć się nieskończonych wątpliwości i nasycić spokojem. Wiedział tylko teraz, że nie nazewnątrz niego, nie po za nim leżała przyczyna tego niepokoju, lecz w nim samym. Świat względem niego spełnił swoje i wynagrodził go hojnie, jeżeli więc nie mógł z całą ufnością przyznać się do téj nagrody, to tylko dlatego, że jemu samemu musiało braknąć jakiegoś składnika ducha i przez to czuł w sobie ciągły ferment.

Wtedy w duszy jego zawrzała ostatnia walka. Raz jeszcze położył na szale swoje życie całe, wszystkie czyny i myśli, swoją Sonatę i sławę i począł je badać, pytając sam siebie: „czegom jeszcze poniechał, przez co mi się teraz każda radość psuje?” Badał się bezstronnie i jasno, odrzuciwszy wszelką próżność i zastarzałe nawyki, sądził siebie i oceniał, jakby kogoś obcego, to wreszcie porównywał to z wielkimi, to z małymi, dopatrując się podobieństw i różnic, to przyczyn

znowu, które je wywołały; a ciągle szukał tego promienia, co się duszom uśmiechać daje i jest dla nich źródłem niezmąconéj pogody.

Bo widział teraz, czego brakowało sławie jego, że się nią cieszyć nie mógł: oto mu w niéj zbrakło promienia uciechy. Mógł nią sobie przyozdobić czoło, mógł się nią szczycić lub chwalić, ale uśmiechać się do niéj i cieszyć—nie mógł. Cała jego sława była tylko dla świata. On z niéj ani cząsteczki nie schował sobie w zanadrze, nie ukrył od świata między odzieżą a ciałem ani jéj promyka, żeby mu tam pierś ogrzał i dawał otuchę. Nie mógł w radości, skulony, drżącemi dłońmi przyciskać go sobie do serca, uśmiechać się do niego i cieszyć, a pieścić, a gładzić. Nie mógł do tego promyka zagadać w zdziecinnieniu uciechy, nie mógł do niego powiedziéć: „tyś mój, mój jedyny, a niczyj inny i nikt mi cię nie odbierze, bom cię schował głęboko pod własną koszulę."

A czuł, że taką uciechę dałoby mu tylko przeświadczenie, że spełnił dobre i poczciwe dzieło, ludziom i sobie na pożytek i pociechę; że je począł i stworzył dla téj pociechy saméj, w dobréj woli ducha i wielkości celów. I nie Sonaty saméj żałował teraz. Wiedział, że jedyném zadaniem poety jest dać wyrazy myślom i uczuciom milionów, które czują potrzebę, żeby im nazwali czy ich łzy, czy uśmiechy, czy rozkosze, czy bóle: bo ulgą jest dla nich, gdy mają czém płakać, błogosławić i kochać. W Sonacie swojéj dał właśnie wyrazy tym dręczącym każdego, a nienazwanym jeszcze, uczuciom skarg i bólów, co się zdawały z żył i kości podnosić, dopraszając się słowa; — spełnił zatém zadanie i nie truciznę, ale ulgę dał ludziom. Jeżeli więc teraz ze smutkiem i żalem patrzał na dzieło swoje, nie w niém samém błąd upatrywał, lecz w tych pobudkach, które go do tworzenia popchnęły.

Bo w końcu—przejrzał. Lata mu zbiegły gdzieś w nadobłocznych krainach, wśród ciągłych uniesień i marzeń, a w téj wędrówce życia zapomniał się zaopatrzéć w jedno uczucie, najsilniejsze, najlepsze i jak ogień czyszczące—uczucie miłości. To cierpiał, to marzył, to złorzeczył i znosił katusze niby za wszechświat cały, niby za wszelkie istoty, co życie wlec muszą, a przecież ludzie byli mu obcy zupełnie i nie miłość dla nich dyktowała mu myśli. Wyniósł się nad nich wysoko, aż ich stracił z przed oczu i, stojąc na téj wyżynie, zdawał się im mówić: „oto ja tu myślę sobie i cierpię sobie; a żem, jako człowiek, podobny jest do was, więc skarg mych słuchajcie, bo w nich i swoje bóle odnajdziecie może; jeżeli znajdziecie—cierpiéć będę i za was; jeżeli się odwrócicie odemnie—ja tu sam zostanę." Nie miłość więc, nie chęć oddania usługi światu wyrwała mu jęki z duszy. Świat się przyznał do nich i poczytał mu je za zasługę, — a on téj zasługi nie widział wcale

i cieszyć się nią nie mógł. Stworzył swoją Sonatę, bo mu się sama wyrwać z niego musiała, jako płód dostały,—a któż za zasługę poczyta drzewu, że owoc rodzić musi? Byłby ją stworzył, choćby zło i zgorszenie siać miała,—więc jakże miał się w laur ubrać i hymny wdzięczności przyjmować?

I raz jeszcze wyobraźnią swoją zatopił się Orlicz w ekstazie. Zdawało mu się, że jakaś wielka i przedwieczna Istota, która ma sądzić i oceniać ludzkie żywoty i dusze, powołuje go na sąd swój przed Siebie i pyta, jak sędzia:

— Cóżeś zrobił z iskrą twórczą, jaką ci dałem, i czegoś dokonał wśród ludzi?

— Cierpiałem za miliony—odpowiada Jéj Orlicz.

— A czyś je ukochał i czyś kochał za nie?

— Nie — odpowiada — alem przyniósł im ulgę.

— Więc się wróć tam raz jeszcze i ukochaj gorąco. Nauczyłeś ich skargi, ucz ich teraz miłości, bo miłość zawsze rodzi dobre owoce i nic nigdy złego z niéj wypłynąć nie może.

I poszedł Orlicz w świat na życie nowe. Wiedział, że go czeka praca, bo zmarnował wiele, ale poszedł ufnie, bo z wielką wiarą w siebie. Poniósł ze sobą swoje lata młode, swoje zdolności i iskry natchnienia, a w sercu wielki zapał i chęć gorącą miłości.

„Kochajmy!” — dźwięczało mu coś w duszy; i ten wyraz jeden miał mu być dogmatem i źródłem przyszłéj wiary.

„Kochajmy!” — powtarzał sobie; i ten wyraz jeden miał mu drogi wskazywać i prostować ścieżki.

„Kochajmy!” — śpiéwało mu serce; a od tego śpiewu rozrastały mu się ramiona i promieniał cały.

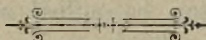
A gdy tak szedł i śpiewał, zdawało mu się znowu, że ziemia cała, radosna, wesoła i kąpiąca się w słońcu, podchwytuje śpiew jego i swojém pieniem mu wtórzy. Szemrały potoki w górach, szumiały drzewa w borach, śpiewało ptastwo w błękicie, a trawy i zboża, dziewanny i jaskry kołysały się, gięły i witały go znowu. A w tych szmerach i szumach, w tych szelestach i śpiewach brzmiało jedno tylko: „Kochajmy!”

I ten śpiew olbrzymi, na skrzydłach wichrów niesiony, przebiegał pola i lasy, przebywał góry i morza, wciskał się w opoki i skały, aż chórem wielkim o niebo uderzył i echem stamtąd na cały wszechświat rozgłosił:

„Kochajmy.”

Ignacy Dąbrowski.

LONDYN ROBOTNICZY.



„Life and Labour of the people of London", edited by Charles Booth. Tom I—IX. London, Macmillan, 1889—1897.

Najdonioślejsze przedsięwzięcie w dziedzinie statystyki socyalnéj doszlo szczęśliwie końca. Karol Booth wydał dziewiąty i ostatni tom swego pomnikowego dzieła: „Życie i praca ludu w Londynie". Rozpoczął je ogłaszać przed dziewięciu laty i, jak wiemy z przedmowy do pierwszéj edycyi, zamierzał pierwiastkowo zamknąć swój obraz w czterech tomach. Praca rosła pod jego ręką i ręką współpracowników, których do współudziału powołał. Nikt, co się z jego metodą poszukiwań i ogólnym planem zapoznał, nie będzie się na to przekroczenie zakréślonych zgóry rozmiarów skarżył: jest to w całém słowa tego znaczeniu *opus magnum*, któremu równego żadna inna społeczność, żadne inne piśmiennictwo nie posiada. Nie zapominamy bynajmniéj o nieśmiertelnym inicyatorze statystyki socyalnéj, Piotrze Wilhelmie Le Play. On to pierwszy w swoich *Ouvriers européens* nakréślił wzór i wskazał metodę obserwacyi faktów społecznych, nieodzownéj przesłanki wszelkich reform w téj sferze. Ale metoda była zbyt mozolna, pole obserwacyi zbyt rozległe, ażeby można się było spodziéwać wielu prac gruntownych podług takiéj modły. Karol Booth stworzył dzieło wielkie dlatego właśnie, że się ograniczył do jednego miasta, chociaż miastem tém jest blisko 5-cio milionowy Londyn, kosmos sam w sobie. Można już obecnie wyobrazić sobie taką samą pracę podjętą i dokonaną

we wszystkich innych miastach Wielkiéj Brytanii, w jéj rolniczych okręgach. Jaką niespożytą podstawę otrzymałaby w ten sposób prawodawcza i administracyjna działalność reformatorska! Nic nie przeszkadza przypuszczać, że takie samo badanie dokonane zostanie w innych krajach: dla normalnego rozwiązania zagadnień społecznych byłoby to nieocenione. Ale dotąd dzieło Karola Booth stoi jako unikat. Tém uważniéj wypada mu się przyjrzéć, idąc krok w krok za jego nicią przewodnią aż do kresu, u którego się zatrzymał. Sam autor-wydawca nie uważa jeszcze swego przedsięwzięcia za dokonane. W przedmowie do 9-go i ostatniego tomu oznajmia, że dotąd zajmował się opisaniem ludności zarobkującéj londyńskiéj, takiéj jaką jest, i opisaniem sposobów i warunków, w jakich się praca jéj dokonywa. Nie miał potrzeby wykraczać z czysto-obiektywnego opisu i danych statystycznych. Obecnie pozostawałoby mu przejść do syntezy krytycznéj, ocenić dodatnie i ujemne wpływy, oddziaływające na byt ludności robotniczéj Londynu i nakréślić plan reform praktycznych. Jest to jednak dzieło zupełnie inne, niezależne od dotychczasowego, samodzielne. Autor przewiduje, że będzie wymagało, co najmniéj, trzechletniéj pracy przygotowawczéj. Można tylko wyrazić życzenie, ażeby mu do téj drugiéj części pracy sił i życia starczyło. Nim ten nowy utwór powitać będziemy mogli, poznajmy zasobne materyały, które już mamy mu do zawdzięczenia.

Nic trudniejszego do streszczenia jak prace statystyczne, nawet gdy one są, jak właśnie powyższe, statystyką malowniczą. Dusza ulatuje z dyagramów i długich kolumn cyfr, gdy się, zamiast iść za niemi rok po roku, jednym zamachem chce stanąć przed najświeższemi. Ale dzieło p. Karola Booth nigdzie nas nie zasypuje gradem suchych cyfr: wszędzie towarzyszy im komentarz jasny, przejrzysty. Uzbrojeni w podane tutaj informacye, możemy z pożytkiem przeniknąć do tego odmętu, jakim jest robotniczy Londyn. Przypominamy sobie okrzyk podziwu, który powitał pojawienie się przed dziewięciu laty pierwszych tomów téj pracy. Nieraz już romansopisarze wprowadzali czytelników do czeluści stołecznego proletaryatu, nieraz reporterzy dziennikarscy odsłaniali te lub owe strony jego życia; ale brakowało systematycznego, bezstronnego, wykluczającego porywy imaginacyi badania. Tutaj znaléźć było można po raz pierwszy wierny, ścisły wizerunek wschodniéj dzielnicy londyńskiéj, a jeżeli straciła ona nieco na téj tragicznéj grozie, w któréj przywykliśmy ją byli widziéć wskutek jednostronności pisarzy dawniejszych, to natomiast porwani zostaliśmy prądem życiowéj prawdy, i przejęła nas sympatya do tego olbrzymiego mrowiska ludzkiego, w którém, na szarém tle masy, spostrzegaliśmy

indywidua. Scharakteryzowawszy całą tę dzielnicę i poszczególne jéj cyrkuły o miejscowych wyłącznościach, autor dał nam ją poznać w swych zbiorowych instytucyach, klubach robotniczych, towarzystwach wzajemnéj pomocy, szynkach, teatrach, szkółkach, szpitalach, kościołach, zeszedł do rozróżniania i klasyfikowania różnych warstw proletaryatu, istniejących między niemi stosunków wzajemnych. Rzecz uwagi godna, że w początkowych rozdziałach widoczne były u autora pewne dezyderaty reform społecznych, zabarwione socyalizmem. Powoli jednak im głębiéj wnikał w istotę i naturę tych warstw ludowych, im lepiéj rozumiał organizacyę ich pracy, tém ostrożniejszy się stawał, tém obiektywniéjszy. Jesteśmy przeświadczeni, że gdy przedstawi nam w przyszłości całość swego planu, szeroki jego humanitaryzm żadną stronniczą fanatycznością skażony nie będzie. Druga część pierwszego tomu poświęcona została nie wschodniéj już tylko dzielnicy Londynu, ale jéj środkowi. Tam to między innemi znajduje się nadzwyczaj ciekawy opis Covent Garden, wielkiego rynku żywnościowego stolicy, jéj żołądka. Nie znajdzie tam czytelnik „symfonii serów" Emila Zoli, opisującego halle paryskie, ale za to szczegóły pozwalające zrozumiéć, jak się zaopatruje w żywność olbrzymi gród nad Tamizą. Południowy Londyn i północny dopełniają tego obrazu, a pozostawiają za jego obrębem tylko zachodnie, części miasta bogate i arystokratyczne. Drugi tom traktował ten sam przedmiot, ale z innego stanowiska. Autor brał jedną ulicę po drugiéj, nieledwie jeden dom po drugim, i przy pomocy szeregu map, kolorowanych odpowiednio do stopnia mniejszego lub większego ubóstwa zamieszkującéj je ludności, podaje graficzny środek oryentowania się wśród rozmaitych gatunków specyalności wytwórczych, którym się ta ludność oddaje, pozwalając zdać sobie sprawę ze skali posiadanego przez nią dobrobytu.

Następne tomy nie wywarły tego natychmiastowego, potężnego wrażenia co dwa pierwsze, a zrozumiéć to łatwo. Autor przeszedł do różnych specyalnych kwestyi i traktował je z drobiazgowością mikroskopijną. Taka analiza, nieoceniona dla umysłów poważniejszych, nie posiada dla ogółu téj ponęty, co syntetyczne uogólnianie. Te sześć środkowych tomów są właśnie najdoskonalszą częścią dzieła. Podziwiać tu należy trafny wybór współpracowników, których p. Booth około siebie ugrupował. Każdy z nich trzymał się w powierzonych sobie monografiach, ściśle zgóry zakreślonéj linii wytycznéj. Wzorowe mieszkania dla proletaryatu opisał statystycznie Jerzy Arkell, a obrazowo owa Oktawia Hile, która życie swe poświęciła oczyszczeniu, upiększeniu i upoetyzowaniu domostw, co przedtém o takiéj okrasie marzyć nie mogły. Llewellyn Smith, dobrze znany specyalista w kwestyach ro-

botniczych, obrobił sprawę napływu robotników do wschodniéj dzielnicy i znaczenie tych fluktuacyi; malownicze pióro panny Beatrix Potter, obecnie żony p. Sydneya Webb i współ-autorki dzieł ekonomicznych, których przypominać nie potrzeba (pierwsze miejsce pomiędzy niemi zajmuje „*Historya Trades-Unions*”, dzieło klasyczne) dała wizerunek osady żydowskiéj, uderzający plastycznością. Kwestya szkolnictwa elementarnego, średniego i technicznego traktowana jest *ex professo* przez kilku zasłużonych pedagogów.

Interes nie ustaje ani na chwilę, przeciwnie wzmaga się, gdy spostrzegamy plan autora objęcia wszystkich gałęzi pracy, uprawianéj w East End'zie londyńskim. Tom czwarty poświęcony jest dokom i magazynom nadbrzeżnym, krawiectwu, szewctwu, stolarstwu, wyrobom kobiécym, jedwabnictwu, tytoniowi—oraz monografii tego żywotnego zagadnienia, jakiém jest wyzyskiwanie robotnika przez przedsiębiorcę, a znanego pod dosadną nazwą „*sweating*” (wypocania robotników). Tomy piąty i szósty prowadzą daléj badanie wytwórczości londyńskiéj i zajmują się z kolei budowlą domów, wyrobami z drzewa, jak kołodziejstwem, powoźnictwem, całym szerokim działem pracy metalurgicznéj aż do zegarmistrzowstwa i złotnictwa, wyrobami porcelany, szkła, mydlarstwa, garbarstwa, siodlarstwa, drukarstwa, papiernictwa, przędzalni, tkactwa, farbiarni. Siódmy i ósmy tom nakoniec rozpocząwszy monografie od działów, poświęconych wyrobowi odzieży w całéj swéj rozmaitości, przechodzi do obszerniejszego jeszcze rozdziału, zajmującego się przygotowaniem i zbytem żywności i trunków; następnie zajmuje się handlarzami, kupcami, przekupniami i ich pomocnikami, subiektami i służbą; z kolei przechodzi do klas społecznych zatrudnionych przy komunikacyach, drogach żelaznych, statkach parowych, dorożkarzy, woźniców omnibusów i wozów frachtowych, — do ogrodników, do węglarzy i do różnych drobniejszych, a dzielących się do nieskończoności, zajęć i zatrudnień ręcznych. W ostatnim z wymienionych tomów, oprócz niezmiernie ciekawéj monografii o służących i obrazu instytucyi, zmierzających do zniesienia pauperyzmu, obrazu, obfitującego w rysy wprost z życia wyrwane, znajduje się rozdział, który, zdaje się, jakoby przekracza ramy pierwotne, bo nie zajmuje się już ludnością robotniczą, ale klasą wyzwoloną. Ale gdy weźmiemy na uwagę, że są tam wzięte pod rozbiór różne wydziały służby rządowéj i municypalnéj, zacząwszy od zamiataczy i polewaczy ulic, od dozorców więziennych, policyantów i strażników aż do prawników, chirurgów, lekarzy, nauczycieli, dziennikarzy, duchownych zatrudnianych przez władze miejskie dla potrzeb jego mieszkańców, to zrozumiemy,

że zawodowo ma się i tu także do czynienia z klasą, jeżeli nie ściśle robotniczą, to przynajmniéj zarobkującą.

Już z tego katalogowego wymienienia tytułów traktowanych przedmiotów, można sobie utworzyć wyobrażenie o ogromie zadania, jakie przed sobą p. Booth postawił. Aby się przekonać o sposobie, w jaki się z niego wywiązał, trzeba by brać każdą z kolei monografię, i wyciągać z niéj tę esencyę etyczną, do któréj doszli autorowie ich, opiérając się na wykazach statystycznych i osobistém zbadaniu skrupulatném. Byłaby to praca mozolna a nie przedstawiałaby dla czytelników interesu bezpośredniego. Wystarczy im, jak sądzimy, zatrzymać się szczegółowiéj nad ostatnim, dziewiątym tomem, gdzie, jak powiedzieliśmy wyżéj, autor zatrzymuje się u kresu, obejmuje ogólnym poglądem wszystkie przebieżone czynniki działające i wskazuje zagadnienia do rozwiązania niezbędne, jeżeli się pragnie postawić życie warstw robotniczych w lepszych warunkach. I tutaj nakoniec, przyjdzie nam podnieść tylko wydatniejsze rysy wśród tego ogromu robotniczego świata, chaotycznego na pierwszy rzut oka a jednakowoż działającego solidarnie i pracującego bezwiednie ale nieustannie dla zaspokajania stałych albo wyjątkowych potrzeb społeczeństwa.

Chociaż, wzięty jako całość, Londyn robotniczy posiada pewne wyłączności, pewne jemu tylko właściwe cechy, to musi wszelako ulegać ogólnym prawom, rządzącym we współczesnym świecie ekonomicznym. Słusznie tedy czyni autor stawiając przed czytelnikiem na wstępie do końcowego przeglądu główne rysy charakterystyczne gospodarstwa przemysłowego. Wymienia jako takie coraz większy rozdział pracy, coraz większe zastosowanie maszyn i coraz bardziéj skomplikowaną organizacyę wytwórczą. Jako naturalny wynik tych warunków produkcyi, podawane jest powszechnie wytrzebienie drobnych przedsiębiorstw na rzecz olbrzymich zakładów. Przeciwko temu aksyomatowi zastrzega się p. Booth a Londyn służy mu za doskonały przykład produkcyi rozstrzelonéj pomiędzy jednostkami i drobnemi gromadkami robotników a bynajmniéj nie skoncentrowanéj wyłącznie w fabrykach i warsztatach na wielką skalę. W téj niezaprzeczonéj rozmaitości form produkcyi leży dowód jéj żywotności a zarazem trudność zastąpienia ich przez jakąkolwiek jednolitą a sztywną, o jakiéj marzą ideologowie socyalni. Inną wybitną cechą przemysłowego gospodarstwa współczesnego, jest gromadne dostarczanie na rynek handlowy artykułów wytworzonych. W dawniejszych czasach trudność leżała w zaopatrywaniu istniejących potrzeb, teraz stanowi ją pytanie jak znaléść zbyt na tę masę czekających na kupca towarów. Z góry można zrozumiéć, że taki natłok wyrobów musi oddziaływać na niską płacę robotnika, na

zajadłość konkurencyi i na peryodyczne przesilenia ekonomiczne. Obniżanie się cen może wpływać czas jakiś na zniżenie stopy zarobku robotnika, ale ponieważ jednocześnie jako spożywca korzysta i on z téj obniżki cen, skarga na nią nie wytrzymuje krytyki, a elastyczność handlu wymiennego jest istotném dobrodziejstwem, z którego korzystają wszyscy. Dominującym rysem organizacyi gospodarczéj jest, według autora, takie zsolidaryzowanie świata, iż drobne nieraz wypadki w oddalonych krajach wywołują przewroty na wielką skalę i dotkliwe przesilenia. Nie można już dzisiaj lekceważyć ani zaniedbywać najmniejszego drobiazgu, a przezorność, kombinacye, dalekonośne operacye, jedném słowem, coraz większe zapotrzebowanie intelektualnych czynników nie tylko w samćj wytwórczości ale w ogólnéj organizacyi pracy musi być poczytane za pierwszy warunek dalszego rozwoju ekonomicznego.

Przechodząc do charakterystyki Londynu robotniczego, na tém ogólném tle ekonomiczném, autor podnosi naprzód ten rys, że nie ma tam jednéj specyalności wyłącznéj, jak to się dzieje nie tylko w pewnych hrabstwach angielskich, wyrabiających jeden produkt wyłącznie, ale nawet w niektórych wielkich miastach: za ich przykład podaje Lugdun we Francyi i amerykańskie Chicago. Jak w kalejdoskopie znaléść można w Londynie wszystkie formy i wszystkie barwy produkcyi; po wyparciu jednych przez konkurencyę obcą, jak np. w rafineryi cukru: natychmiast powstają inne. Żywotność ekonomiczna olbrzymiego grodu nie wyczerpuje się, lecz przeciwnie istnieje niebezpieczeństwo, aby się w nim zbytecznie nieześrodkowała.

Tę nieprzerwaną, pełną rozmaitości i coraz wzmagającą się żywotność zawdzięcza Londyn wielu okolicznościom. Na pierwszém miejscu postawić naturalnie wypada jego ludność. Ta masa cztero do pięciu milionowa, zaspakajając swoje bezpośrednie natychmiastowe potrzeby, już sama przez się wywołuje wytwórczość potężną. Daléj wymienić należy udoskonalenie komunikacyi wewnętrznéj i odśrodkowéj, koncentracyę władz państwowych i administracyjnych, nie mówiąc już nawet o tém, że Londyn jest siedliskiem mnóstwa towarzystw przemysłowych, handlowych i finansowych, oraz że tam się reguluje cyrkulacya pieniężna kraju. Londyn jest także, pomimo decentralizacyi przemysłu i handlu, główném ogniskiem handlu, targowiskiem, na którém nabywać można wszystkie artykuły możliwe tak samo jak pracę we wszelkich jéj kształtach. Co do tego ostatniego punktu, Londyn przewyższa wszystkie bez wyjątku miejscowości angielskie i najlepsi robotnicy każdéj gałęzi znajdują się zawsze tam na zawołanie. Nakoniec wyjątkowe położenie geograficzne, u ujścia wielkiéj rzeki spła-

wnéj, w blizkości morza, zrobiło z Londynu emporyum jedyne, i Mekkę rasy anglo-saskiéj. Bogactwo, które się tu nagromadziło, jest samo w sobie ułatwieniem i pobudką do nieustającéj działalności wytwórczéj.

Przywileje Londynu muszą być olbrzymie, skoro pozwoliły mu zająć tak wybitne stanowisko—i nie tylko zająć ale i utrzymać—pomimo braków i niedostatków uderzających. I tak nie posiada on ani węgla ani żelaza i musi je sprowadzać z daleka, nie posiada dostatecznéj ilości czystéj wody bieżącéj, brakuje mu światła, brakuje przestrzeni. Robotnika także przeciętnie płacić musi drożéj. Wynikaz tego, że nigdy nie będzie mógł stać się ogniskiem przemysłu metalurgicznego, tkackiego oraz kilku innych gałęzi. Ale pozostaje mu tyle innych działów, a w tych nawet, w których hurtownie produkować nie jest w stanie, wyrobił sobie pewne udoskonalenia specyalne, że nie zanosi się bynajmniéj, aby kiedykolwiek przewagę swoją postradał. I tak istnieje w całym olbrzymim Londynie tylko jedna papiernia, a pomimo tego 15,000 robotników stale pracuje nad wyrobami papierowemi. Są także artykuły wyrabiane pojedynczo w innych miejscowościach, ale składane bywają w całość i otrzymują swoją ostateczną formę dopiéro tam. Londyn tedy nie ma najmniejszego powodu na rolę swoją się użalać. Jest i pozostanie ona w sferze wytwórczości — najwydatniejszą.

W olbrzymim świecie londyńskim wiele działów wytwórczości skupiło się w pewnych zakątkach, ulicach i dzielnicach miejskich i raz na zawsze tam pozostają. Ta lokalizacya gałęzi wytwórczych odnosi się tylko do warsztatów i zakładów, nie zaś do pracującéj w nich ludności robotniczéj; ta, jak wiadomo, zamieszkuje przeważnie po za środkiem miasta, na przedmieściach, gdzie życie i zdrowsze i tańsze, a przy łatwości komunikacyi i ich taniości, co rano odbywa się milionowy napływ do środka, co wieczór taki sam odpływ. Najdrastyczniéj pokazuje się to w *City*, gdzie zamieszkuje zaledwie 37,694 osób a gdzie znajduje się zatrudnionych w ciągu dnia aż 301,384. Różne powody skłoniły te lub owe gałęzi wytwórcze do gromadnego osiedlenia się w bezpośredniem sąsiedztwie, jedne obok drugich, i do zmonopolizowania dla siebie pewnych części miasta. Jest to zrozumiałe często, jak np. co do drukarni, wydawnictwa pism i gazet i księgarni, osiedlonych od wieków na Fleet Street i na skwerze Paternoster pod skrzydłem katedry Ś-go Pawła, albo co do adwokatów i prawników, cisnących się około Pałacu Sprawiedliwości i Temple; mniéj zrozumiałe jest natomiast u doktorów i chirurgów, którzy mieszkają jeden obok drugiego na kilku ulicach a trudno ich znaléść na całéj przestrzeni pozostałéj.

To samo dzieje się w wielu gałęziach rzemieślniczych. Stolarstwo, powroźnictwo, szczotkarstwo, papiernictwo i t. d. osiedliły się w cyrkułach pewnych z dawien dawna i nie widzą powodu zmieniać rezydencyi. Nie wiąże ich żadna wspólność cechowa, a pomimo tego solidarność interesów widocznie na tém zyskiwać musi. Takie ugrupowanie specyalności wytwórczych londyńskich, porównano poetycznie do archipelagów rozsianych na bezbrzeżnéj toni oceanów. Etnograficznie, nie trzeba zapominać, Londyn powstał z aglomeracyi wiosek i miasteczek sąsiadujących z sobą: tak samo rzecz się ma z jego rozmaitemi osadami rzemieślniczemi. Nie zatraciły swéj odrębności, lubo stopiły się w olbrzymim organizmie londyńskim.

System, podług ktorego odbywa się praca wytwórcza, jest, jak się samo przez się rozumié, rozmaity, stosownie do charakteru gałęzi przemysłowéj. Nie ma ani jednéj formy pracy, któréjby w Londynie znaléść nie było łatwo. Są zakłady na wielką skalę, zatrudniające tysiące rąk i produkujące za pomocą machin, metod postępowych, przy podziale pracy; robotnicy, zatrudniani tam, pracują w warunkach sanitarnych i mogą liczyć na przeciętny, stały zarobek. Nie potrzeba wymieniać, jako zbyt dobrze znanych, niedostatków którėmi te korzyści okupują. Są zakłady średnie i drobne, o mniejszéj liczbie robotników, dające widok, że robotnicy sami stać się mogą zczasem przedsiębiorcami i dozwalające na pewną niezależność. Ilość takich drobnych przedsiębiorstw i warsztatów, opiérająca się w znacznéj części na pracy wykonywanéj po domach robotników, jest daleko znaczniejsza, aniżeli by to się z góry przypuszczać mogło. Panuje tu taka różnorodność, że klasyfikacya jest niemożliwa. Nie można powiedziéć, ażeby istniała walka systemów: jest miejsce dla każdego z nich a jedynie warunki najkorzystniejszéj produkcyi wpływają na wprowadzenie najwłaściwszych i na ich wybór.

Innym wybitnym rysem robotniczéj masy londyńskiéj jest brak technicznego przygotowania i wykształcenia. Wogóle dzielą wprawdzie teoretycy robotników na *skilled* i *unskilled* t. j. fachowych i niefachowych, ale granice pomiędzy nimi są luźne. Jest wiele zajęć i zawodów, do których żadnego specyalnego wykształcenia robotnik nie przynosi, a że i łatwo znajduje zajęcie i łatwo je traci, zatém spotkać można wielu, którzy przerzucają się z jednego do drugiego, nieraz nie mających z sobą najmniejszego związku. Nie widać śladu pomiędzy masą zarobkującą owéj fachowéj organizacyi, owych korporacyi, które stanowiły rys charakterystyczny wieków średnich a w niejednym kraju do dziś przetrwały. Falująca, chaotyczna masa zastąpiła ową hierarchicznie ukształtowaną drabinę rzemieślniczą dawniejszą. Robotnik wy-

twarza się w znacznéj części empirycznie, i jeżeli zdobywa sobie doświadczenie i zdolności w swym fachu, to zarobek jego wzrasta; w przeciwnym razie pozostaje na stanowisku wyrobnika. Coraz rzadszém zjawiskiem są czeladnicy; p. Booth pomiędzy szczupłą ilością zajęć znajduje zaledwie kilkanaście, w których majstrowie wykształcają i przygotowują uczniów i czeladników. Na zapytanie, jak znajdują się robotnicy w rzemiosłach delikatnych, wymagających koniecznie fachowego wykształcenia, odpowiedź dają istniejące szkoły techniczne. Jest ich w Londynie kilkadziesiąt, i do nich znajduje łatwy wstęp młodzież, opuszczająca szkółki elementarne. W tych szkołach, noszących nazwy rozmaite, ale przeważnie szkół politechnicznych, kształcą się różnego rodzaju robotnicy delikatniejsi, jak snycerze, rzeźbiarze, złotnicy, jubilerowie, optycy, chemicy, elektrycy, farbiarze i t. d. Przebywszy w takim zakładzie lat kilka i po otrzymaniu patentu, a nieraz nawet bez onego, młodzieniec odrazu znajduje wyższy zarobek i stałą posadę. Niezmiernie wiele na tym punkcie jest jednak do zrobienia, aby podnieść techniczne wykształcenie robotnika londyńskiego, stosunkowo znacznie niższe od francuskiego.

Brak organizacyi cechowo-korporacyjnéj zastąpiony został, podług przemagającéj pod tym względem opinii, przez związki rzemieślnicze, czyli *Trade-Unions.* Nie ma wątpienia, że wpływ i potęga tych stowarzyszeń robotniczych tak oślepiła ogół, iż wzięto część za całość, rozpoczynający się ruch za już dokonaną ewolucyę i ogłoszono zagadnienie za rozwiązane całkowicie, lubo istotnie stoimy daleko jeszcze od takiego rezultatu. Jeżeli pod jakim względem—to pod tym, badanie p. Booth, oparte na niepodejrzanych danych statystycznych, rozwiéwa nie jedno złudzenie i stawia kwestyę związków robotniczych pod dość niespodzianym kątem widzenia. Pierwszém ciekawém spostrzeżeniem jest to, że nie ma ani jednego fachu, któregoby wszyscy pracownicy należeli do stowarzyszenia. W 36 grupach robotniczych, szczegółowo rozpatrywanych przez naszego autora, stosunek uczestników stowarzyszeń wynosi od $4^1/_2$ do 67%; cyfra ostatnia nigdy przekroczoną nie została, z czego się pokazuje, że nawet w najlepszym razie jedna trzecia część robotników pozostaje po za sferą związku. Z pomiędzy 489,500 robotników mężczyzn, pełnoletnich, zatrudnianych w wyżéj wzmiankowanych 36 grupach, było uczestnikami związków tylko 147,300. Dodając nawet do nich 30,000 innych, nie figurujących z różnych przyczyn w wykazach, otrzymamy cyfrę 180,000, to jest 14% całéj roboczéj ludności a $3^1/_2$% całéj ludności Londynu! Instytucya, która tak głośno przemawiać zwykła w imieniu całéj klasy robotniczéj, pokazuje się nam, nie powiemy w roli samozwańczéj, ale przynajmniéj niedosta-

tecznie upełnomocnionéj. Drugim punktem w organizacyi związków, który podniesiony być winien, jest to, że są zbyt rozdrobnione. W każdéj gałęzi istnieje kilka, kilkanaście nieraz stowarzyszeń, działających odrębnie i tracących wskutek tego na sile. Jest w Londynie zaledwie 35 związków, liczących wyżéj tysiąca członków. Chociaż zlanie się w jednolite grupy i sfederowanie się pokrewnych leży widocznie w interesie robotników, ruch w tym kierunku jest bardzo powolny. Nie ma powodów, ażeby pomiędzy malarzami było 14 związków, pomiędzy stolarzami 23, pomiędzy drukarzami 16, i t. d. Dopóki takie rozdrobienie się przeciągnie, daleko będzie robotnikom do tego przeważnego stanowiska, o którém marzą.

Istnieją także wielkie różnice w ustroju wewnętrznym związków robotniczych, zacząwszy od wysokości składki tygodniowéj uczestników: podnosi się ona od 2 pensów do 2 szylingów i 3 pensów. Celem ich jest dostarczanie roboty w razie jéj braku, walka z majstrami i pracodawcami o podniesienie stopy zarobku, zmniejszenie godzin pracy i t. d. jedném słowem, polepszenie warunków pracy i nakoniec utrzymywanie robotników podczas gromadnego bezrobocia, gdy je zarządzi komitet kierujący związkiem. Utrzymywanie chorych, opędzanie kosztów pogrzebu i inne tego rodzaju ubezpieczające potrzeby nie wchodzą zazwyczaj do programatu związków a zajmują się niemi stowarzyszenia osobne, *Friendly societies* czyli Towarzystwa wzajemnéj pomocy. Jeżeli nie da się zaprzeczyć związkom demokratycznego ich nastroju, gdyż idzie im przedewszystkiém o równość w godzinach pracy, o równość co do wysokości zarobku, to nie można utrzymywać, ażeby te dążenia wpłynęły na podniesienie dyapazonu pracy. Następstwem tego jest, że wyborowi robotnicy, niezadowoleni z następstw takiéj niwelacyi, usuwają się ze związku, a ponieważ okazują one z drugiéj strony mały pohop do przyjmowania na członków robotników niezdolnych i widocznie upośledzonych, zatém gromadzą one w sobie przeciętną mierność.

Z kolei przechodzi autor do godzin pracy robotników londyńskich. Jeżeli pierwszym warunkiem, do którego zdążają oni, jest otrzymanie zarobku takiego, ażeby wystarczył na ich utrzymanie, to gdy to raz nastąpiło, natychmiast rodzi się pragnienie zmniejszenia godzin pracy. Ideał robotnika angielskiego wyraża się w potrójnéj ósemce, jak to opiewa znany wiersz:

. . , . eight hours play,
Eight hours sleep, and eight shillings a day.

Pomiędzy tym ideałem a rzeczywistością jest obecnie jeszcze odstęp znaczny. W 206 gałęziach odrębnych pracy w Londynie, p. Booth wymienia następujące kategorye:

w 13	pracują	48 godzin (albo mniéj) tygodniowo
51	„	48 albo mniéj niż 54 godzin
84	„	54 do 60 godzin
29	„	60 do 72 „
29	„	72 i dłużéj.

Różnice te, tak znaczne, zależą od wielu okoliczności, jako to: pory roku, przedmiotu pracy, ograniczeń prawnych, rutyny, zwyczaju, sposobu płacenia zarobku i t. d. Przy pracy łatwéj, jak np. konduktorów omnibusów albo asystentów sklepowych godziny są dłuższe; w niektórych gałęziach, gdzie praca jest uciążliwa, jak np. w piekarniach, są one także dłuższe ze względu, że jéj przerywać nie podobna; są działy, jak ogrodnictwo, gdzie godziny pracy zmniejszają się lub powiększają stosownie do pory roku i długości dnia. Jest materyalném niepodobieństwem, ażeby jednolita i niezmienna ilość godzin mogła kiedykolwiek być zaprowadzona do wszystkich gałęzi i rodzajów pracy. Jeżeli *Trade-Unions* walczą uporczywie za legalném ograniczeniem godzin pracy, czynią to w zamiarze dostarczenia zatrudnienia i zarobku większéj liczbie robotników. W ich przekonaniu tedy skrócenie godzin jest jednoznacznikiem mniejszéj ilości dokonanéj roboty. Oczywiście, że przedsiębiorca zapatrując się na tę kwestyę w tenże sam sposób, dochodzi do wręcz przeciwnych dezyderatów. Ale gdy się bierze każdego robotnika odrębnie, spostrzegamy, że nie wzdraga się on pracować dłużéj nad ośm godzin, jeżeli otrzymuje za dodatkowe godziny dodatkową płacę. Pod tym względem jest w Londynie tysiące przykładów. Woźnice omnibusowi pracują chętnie po piętnaście godzin dziennie, ażeby pobierać wysoki zarobek i odpoczywać potém swobodnie. W wielu warsztatach, gdzie godziny są sprowadzone do ośmiu, jak np. w drukarniach, spotyka się dzień w dzień drukarzy opuszczających swoje zakłady a udających się do innych na dodatkową, prywatną robotę. Tam gdzie robotnik płacony jest od sztuki, nie ma sposobu zmusić go do pracowania mniejszéj ilości godzin aniżeli mu się to podoba. Robotnicy londyńscy, mieszkający zwykle daleko od fabryk i warsztatów, w których są zatrudniani, zwracają uwagę, że chociaż pracują tylko oznaczoną ilość godzin, istotnie dodać ich muszą codziennie dwie albo więcéj bezpłatnie, gdyż spędzają je w drodze z domu do warsztatu. Te i inne okoliczności wpływają na rozstrzygnienie zagadnienia, któremu nadano, zdaniem naszego autora, bardziéj drama-

tyczne znaczenie, aniżeli je ma w humanitarno-filantropijnéj epoce naszéj.

Metoda, szacująca pracę robotnika i ustanawiająca za nią zarobek, jest naturalnie dwojaką: robotnik płacony bywa albo od sztuki albo za czas strawiony przy robocie. W wielu gałęziach nie ma wyboru a metoda wskazana jest przez samą naturę pracy. I tak we wszystkich działach, gdzie robotnik pracuje bez dozoru, u siebie, jak np. szwaczki, krawcy, praczki etc. nie można obrać innéj drogi, jak płacić od sztuki, a natomiast są zawody, gdzie nie ma sposobu ocenić wartości roboty inaczéj jak przez czas jéj poświęcony, np. przy pracy konduktorów, woźnic, subiektów handlowych, sług. Przemaga także ta ostatnia metoda w całéj gałęzi budowniczéj, chociaż nie ma w niéj konieczności do tego. Płaca od sztuki przemaga w Londynie, i panuje prawie wyłącznie w pracy kobiet. Nie ma zresztą pomiędzy obu metodami oceny pracy żadnego zasadniczego przeciwieństwa, a przeciwnie jedna służy za kryteryum do drugiéj. Z rozpowszechnieniem maszyn, oszacowanie zarobku na godziny staje się powszechniejszém. Zauważyć także należy, że ogół robotniczy przekłada ten sposób zarobkowania, jako lżejszy, wymagający mniéj wysiłku. Robota płacona od sztuki musi być staranniéj wykonywana i już przez to samo nie nęci do siebie pierwszego lepszego przeciętnego robotnika.

Czynnikiem niezmiernéj wagi w warunkach życiowych Londynu robotniczego jest regularność i ciągłość zarobkowania. Nie ulega wątpliwości najmniejszéj, że daleko lepsze jest położenie materyalne tego robotnika, który zarabia przez cały rok, bez przerwy, 25 szylingów tygodniowo, aniżeli tego, który zarabia 50 przez połowę roku, a przez drugą nie ma pracy; odrazu tedy można ocenić niebezpieczeństwa i niedogodności, z jakiemi robotnik londyński ma do walczenia, gdy się stwierdzi, że ciągła i nieustanna nieregularność w otrzymywaniu pracy stanowi znamienną cechę Londynu. Zmienny stosunek pomiędzy zapotrzebowaniem a podażą, i mnóstwo innych okoliczności oddziaływa na wytwórczość rynku londyńskiego, a wskutek tego na regularność zarobku masy robotniczéj. Nawet w epokach łatwego zarobkowania wisi nad robotnikiem, jak zmora, owa niestłumiona nigdy obawa, że dziś lub jutro, bez żadnéj z jego strony winy, straci swój zarobek i rzucony będzie na bruk. Peryodyczność tego przypływu i odpływu zarobku nie łagodzi cierpień materyalnych i moralnych, ale przeciwnie zaostrza je jeszcze.

Ale nieregularność zarobkowania bywa rozmaitego rodzaju. W znacznéj części jest ona następstwem własnéj woli robotników. Są

całe gałęzie wytwórczości, gdzie dobrze płaceni, spędzają dni na hulance, pijatyce i próżniactwie trzy dni tygodniowo, i ten rodzaj życia zdaje się, że odpowiada ich upodobaniu. Nie może tu być mowy o przeciążeniu pracą, o wyzyskiwaniu sił żywotnych robotnika. Uderza tu brak wszelkiéj przezorności, wszelkiéj myśli o jutrze, a oszczędzanie części zarobku, odkładanie onéj dla rodziny, albo na starość i wypadek dolegliwości, tak często spotykane w sąsiedniéj Francyi, są w Anglii prawie całkiem nieznane. Nie przeszkadza taka metoda nieracyonalnéj pracy tym, co wskutek niéj tracą źródła zarobkowania, skarżyć się na organizacyę wadliwą przemysłu. Jest rzeczą naturalną, że gdy zapotrzebowanie jakiegokolwiek artykułu się zmniejsza i przedsiębiorca potrzebuje mniéj rąk, oddala on naprzód pośledniejszych i niepunktualnych, a zatrzymuje tylko wyborowych robotników. Wzorowi mogą zawsze prawie na zatrudnienie produkcyjne liczyć.

Wiele jest powodów, wywołujących nieregularność zarobkowania. Są pomiędzy niemi do uniknienia niepodobne, jak np. te, które zależą od pory roku, i mniejszego zapotrzebowania tych lub owych artykułów życiowych, albo te, które po prostu są skutkiem pogody. Gdy się wié, że w słotę kilkuset rozlepiaczy afiszów i ogłoszeń nie znajduje pracy, że w mróz traci zarobek do 3,000 robotników w dokach londyńskich, że w dni gęstéj mgły zimowéj na dziesiątki tysięcy liczy się uniezdolnionych do pracy, to nie trudno zrozumiéć, iż są pewne nieregularności, z któremi warstwy robotnicze zawsze liczyć się będą musiały.

Przechodząc do arcy-ważnéj kwestyi wysokości zarobku, nie potrzeba zapewne uprzedzać czytelnika, że panuje pod tym względem rozmaitość najwyższa i że się spotyka różne skale zarobkowe, nietylko między tą lub ową gałęzią wytwórczą, ale że panuje ona nawet pomiędzy robotnikami jednéj i téj saméj gałęzi. Nie można wskazać żadnego ogólnego istniejącego prawa, nawet owych osławionych *living wages*, czyli *minimum* zarobku zabezpieczającego życie robotnika. Autor nasz ogranicza się do empirycznych spostrzeżeń. Z tablic statystycznych, w które zaopatrzone były poprzednie tomy jego pracy, pokazało się, że *minimum* zarobku tygodniowego robotnika w Londynie da się oznaczyć na 20 szylingów, a *maximum* na 45 szylingów. Ale zdarzają się ceny niższe od pierwszéj, a jest mnóstwo przekraczających drugą. Przyglądając się bliżéj tym wykazom, stajemy co chwilę wobec zagadki: dlaczego jedni robotnicy w tym samym zawodzie zarabiają więcéj, a drudzy mniéj. Tam, gdzie istnieje jednostaj-

ność, jest ona następstwem akcyi stowarzyszenia, albo w jéj braku — miejscowego zwyczaju, stanu tradycyonalnego. Tam, gdzie spotykamy różnice, nie można ich przypisać niczemu innemu, jak tym indywidualnym czynnikom, których żadna wspólna organizacya całkowicie wyrugować nie potrafi.

Za najniższą przeciętnie ilość zarobku w Londynie p. Booth bierze 21 szylingów tygodniowo, t. j. 3 szyl. 6 pensów dziennie. Mniejszy zarobek przynosi jako kompensatę całoroczne zabezpieczenie roboty i jéj dostępność dla podrostków i ludzi pozbawionych wszelkiego wykształcenia specyalnego. Siła fizyczna jest, rzec można, jedynym wymagalnym przez pracodawcę od takiego nisko płaconego robotnika warunkiem. Woźnice wozów frachtowych, tragarze na stacyach dróg żelaznych, młynarczycy, powroźnicy, ogrodnicy i t. d. wogóle młodzi ludzie najprostsi zarabiają tygodniowo od 18—20 szylingów; każdy, co się ponad ten poziom choć cokolwiek podnosi, zaczyna od *minimum* 21 szylingów i idzie w górę. Ale i tu są zaraz wyjątki. I tak robotnicy rozwożący węgiel, chociaż nie posiadają żadnego innego uzdolnienia wyższego, oprócz bark silnych, zarabiają często więcéj niż po szylingu za godzinę pracy: zatrudniający ich skład węgla uwzględnia ich uczciwość, regularność i trzeźwość.

Zarobek robotnika *skilled*, t. j. biegłego, fachowo uzdolnionego, wynosi od 8 pensów do 1 szylinga za godzinę roboty. Pracując po téj ostatniéj cenie 60 godzin tygodniowo, robotnik zarabia 3 funty szt. i należy do uprzywilejowanéj mniejszości. Ogólnie robotnicy téj kategoryi zarabiają od 2 funtów do 2 f. 5 szylingów. Kobiéty-robotnice zarabiają od 10 do 20 szylingów tygodniowo, a dziewczynki od 5 do 15 szylingów.

Nie ma powodu wchodzić w rozmaite niezliczone szczegóły téj strony kwestyi robotniczéj, któréj p. Booth poświęcił całe cztery tomy. Dla zoryentowania czytelnika wystarczy następująca klasyfikacya 75,000 dorosłych mężczyzn robotników:

Zarobek	mniejszy od 20	szylingów	pobiéra	3,866	robotników	tygodniowo,
„	od 20 do 25	„	„	13,108	„	„
„	od 25 do 30	„	„	17,078	„	„
„	od 30 do 35	„	„	16,818	„	„
„	od 35 do 40	„	„	11,594	„	„
„	od 40 do 45	„	„	6,568	„	„
„	większy niż 45	„	„	6,044	„	„
			razem	75,076.		

Wykaz ten jest zadawalniający, gdyż daje poznać, że więcéj niż połowa robotników zarabia tygodniowo po 30 szylingów. Uczynimy tu wzmiankę dodatkowo, że z tablicy statystycznéj, obejmującéj zarobek 17,000 kobiét, dziewcząt i chłopców w różnych gałęziach pracy, pokazuje się on w cyfrze 9 szylingów i 6 pensów tygodniowo. Gdy się mówi o zarobku tygodniowym rodziny, należy brać tę dodatkową sumę różnych jéj zarobkujących członków pod uwagę.

Im bardziéj z ogólnych poglądów autor przechodzi do indywiduów i ukazuje nam ich w swém robotniczém środowisku, tém interes staje się żywszy. Ostatni rozdział, gdzie wchodzi w drobiazgi ich materyalnego bytu, jest nieoszacowany. Zaczyna od wskazania łatwości, z jaką chłopak po opuszczeniu obowiązkowéj szkółki elementarnéj znajduje zarobek od 3 do 6 szylingów tygodniowo. Liczy on wtedy przeciętnie lat 13 i rodzina chętnie widzi, że jéj pomagać zaczyna. W zwykłych warunkach chłopak oddaje cały swój zarobek tygodniowy matce, która go żywi, opiéra, odziéwa i codziennie daje piéniądze na koszta jazdy do warsztatu. Ponieważ w najuboższych rodzinach jest możność utrzymania takiego chłopaka za 6 pensów dziennie, budżet rodzinny zyskuje na tym tygodniowym dochodzie. Gdy podrasta i znajduje się w epoce między 15 a 20 rokiem życia, zarobek jego wzrasta do 10, 15 i dochodzi do 20. Wtedy płaci matce stałą pensyę za swe utrzymanie od 5 do 10 szylingów, na czém widocznie zyskuje, gdyż po za rodzinnym domem te same wydatki kosztują go co najmniéj od 10 do 14 szylingów. Gdy liczy około 22 lat, posiada już zazwyczaj *maximum* swego dochodu od 20 do 30 szylingów tygodniowo i zaczyna myśléć o małżeństwie, chociaż nie posiada ani oszczędności, ani żadnego kapitału zakładowego na zagospodarowanie się. Gdy się żeni z dziewczyną, zarabiającą ze swéj strony jakich 10 szylingów tygodniowo, byt młodéj pary, osiedlającéj się w jednéj umeblowanéj izbie, jest dobry. Trudności zaczynają się ukazywać z nadejściem dziecka, a potém dzieci, gdyż pierwszém tego następstwem jest utrata przez żonę jéj zarobku, a powiększenie wydatków. Gdy dzieci przybywają jedno po drugiém, jeżeli kobiéta nie jest oszczędna i zaradna, jeżeli nie znaidzie dodatkowych sposobów pomnożenia dochodów rodziny przez podejmowanie się prania, szycia, utrzymania mieszkań kawalerskich, odnajmowanie pokojów lokatorom i t. p., albo jeżeli mąż lub żona zasmakują w butelce, wtedy biéda, a następnie nędza wkrada się do tego domostwa i proletaryat nowe werbuje ofiary.

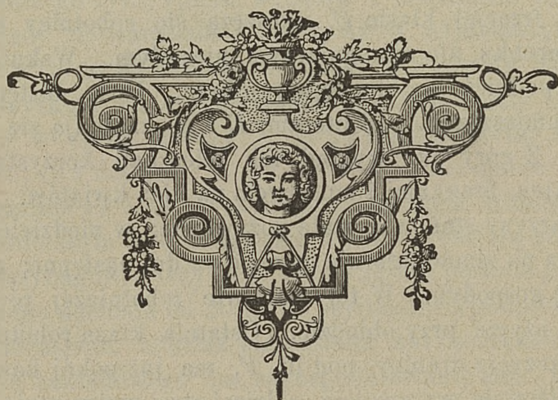
Ten obraz sam jeden pokazuje, na jak wązkiéj krawędzi stoi byt rodziny robotniczéj londyńskiéj i jak dosyć drobnéj okoliczności, aby

zepchnąć ją o jeden, o kilka szczebli niżéj. Są bowiem rozmaite szczeble w materyalnym bycie rodzin robotniczych i wielką zasługą poszukiwań p. Booth jest to, że opisał życie na każdym z nich szczegółowo. Jak wiadomo, podzielił je na sześć klas. Do pierwszéj, najniższéj, klasy *A* należy ostatnia nędza, robotnicy bez dachu, bez żadnego regularnego zajęcia, w łachmanach. Do drugiéj klasy *B* już stateczni robotnicy, ale żyjący w biédzie, nieledwie w nędzy. Mąż, żona i dzieci mieszczą się w dwóch, a często w jednéj izbie; głównym artykułem pożywienia jest chléb, kartofle, herbata. Margaryna zastępuje masło, a dzieci żyją chlebem posmarowanym konfiturami, nadzwyczaj taniemi w Londynie z powodu niskiéj ceny cukru. Wędzona słonina (*bacon*) i smażona ryba, zakupiona w sąsiednim kramiku, stanowią tam już zbytek. Sprzęty domowe takiego domostwa są nędzne i zaniedbane, a odzienie kupione na tandecie jest tém potworniejsze, że nosi ślady wytworności, którą się odznaczało kiedyś u różnych dawniejszych posiadaczy. Ilość robotników téj klasy podaje nam autor na 300,000. W następnéj trzeciéj klasie *C*, mieszczą się robotnicy o większym wprawdzie zarobku, ale nieregularnym, niestałym. Wskutek tego nie są w stanie podniéść się do lepszego bytu. Dwie następne warstwy robotnicze, umieszczone pod literami *D* i *E*, znajdują się w lepszych stosunkach. Z góry już wygląd ich mieszkań korzystnie uprzedza czystością okien, firankami i mnóstwem na nich kwiatów. Jaja, szynka, ryby, jarzyny stanowią stałe pożywienie; w niedzielę jest gorąca pieczeń, która na zimno figuruje przez dwa dni następne; pudyngi stanowią chlubę gospodyń. W téj warstwie robotniczéj piwo wchodzi regularnie w użycie przy obiedzie. Ostatnia klasa robotnicza, umieszczona na szczycie drabiny pod lit. *F*, ma już pokój bawialny, żyje dostatnio, ubiéra się przyzwoicie, a dzieci stroi wykwintnie, spędza latem parę tygodni nad morzem i t. d. Pomiędzy tą sferą a mieszczaństwem nie ma już istotnych różnic.

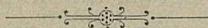
Jest mnóstwo szczegółów w tym obrazie, któreby zasługiwały na uwzględnienie. Pomijamy je, nie chcąc nadużywać cierpliwości czytelników. Dopiéro gdy się w nie wejrzy, można pojąć niedorzeczność wszelkich zachcianek jednolitego, jednorazowego załtwienia wymagań świata robotniczego. Nie ma wątpienia, że potrzebaby wychować, podniéść, oświecić, umoralnić każdego osobnika, wskazać mu niebezpieczeństwa, jakie mu grożą nie z winy ustroju społecznego, ale z jego własnéj. Nieregularność pracy, pijaństwo, brak oszczędności, nieprzezorność, zawczesny ożenek i t. d. wkładają na niego kajdany. Ale nie można zaprzeczyć, że są klęski, które nań spadają bez osobistéj jego

winy i że społeczeństwo nie wypełniło względem warstwy robotniczéj wszystkich swych obowiązków. Pierwszym jest szkolnictwo i techniczne przygotowanie do pracy produkcyjnéj. O całym szeregu innych nie tutaj miejsce mówić. Znajdzie się do tego sposobność, gdy p. Booth ogłosi ostatnią część swéj pracy i wskaże, co dla robotników londyńskich może zrobić obok już czynnego kościoła i filantropii — municypalność i państwo. Będzie to wielce pożądany epilog wielkiego dzieła.

M. E. Trepka.



ZMĘCZENIE.



Gdy wykonywamy ruchy przez pewien przeciąg czasu, spostrzegamy niebawem, iż siła nasza słabnąć zaczyna, mięśnie drżą pomimowoli, są siedliskiem przykrego bólu, aż wreszcie odmawiają całkiem posłuszeństwa. A nawet nie tylko mięśnie, które odbyły pracę, są znużone; wiemy wszyscy, iż np. po długiém chodzeniu odczuwamy zmęczenie nie tylko nóg, lecz ból w łopatkach, w ramieniu, a nawet ból głowy. Podobnie i przy umysłowéj, długo natężonéj pracy, oprócz zmęczenia głowy odczuwamy ból całego ciała. To nam dowodzi, że zmęczenie bywa początkowo zjawiskiem lokalném (zaczyna się zawsze od organu, który odbył pracę), następnie jednak staje się zjawiskiem ogólném, choć stan lokalny zawsze mieć będzie przewagę.

Uczucie zawne zmęczeniem zbyt dobrze jest przez wszystkich znane, aby należało zagłębiać się w dalsze jego określenie. Daleko więcéj zainteresowania wzbudza naukowe objaśnienie zmęczenia. Istotnie, czém jest zmęczenie? Jakie przybiéra postaci? Jak wytłomaczyć ten dziwny stan niemocy i wyczerpania, jaki nami owłada? Czyżby siła mięśniowa i nerwowa miała się chwilowo wyczerpywać? Chwilowo, gdyż każdy wié z własnego doświadczenia, iż po pewnym wypoczynku powracamy do dawnych sił i wykonywać jesteśmy w stanie szereg nowych ruchów, bez śladu dawnego znużenia. Kwestya wypoczynku ściśle związana jest z kwestyą zmęczenia.

Kwestya zmęczenia zajmowała umysły od najdawniejszych czasów, na tory ściśle naukowe weszła jednak bardzo niedawno, gdyż zaledwo od paru dziesiątków lat. Gdy zaczęto badać zmęczenie, spostrzeżono niebawem, iż zjawisko to nader jest złożone i trudne do rozwiązania, i że daje się rozpatrywać z kilku punktów widzenia. Możnaby np. opisać fizyologię, psychologię i chemię zmęczenia. Podział ten uwzględnimy w niniejszéj pracy, choć oczywiście granice te są do pewnego stopnia sztuczne i konwencyonalne.

O zmęczeniu badaném fizyologicznie powiedziéć można przedewszystkiém, iż jest ono zmniejszeniem lub zaniknięciem drażliwości mięśniowéj i nerwowéj. Jedynie w systemie mięśniowym i nerwowym szukać należy przyczyn zmęczenia, gdyż one tylko posiadają zdolność do wykonywania i wywoływania ruchów; nerwy i mięśnie znajdujemy we wszystkich organach obdarzonych ruchem, nawet w organach wewnętrznych, jak żołądek, kiszki, pęchérz, a obieg krwi wywołany jest kurczeniem się serca, organu mięsistego.

Drażliwość jestto ogólna własność materyi żywéj, którą obdarzone są nawet najniższe istoty, zgoła pozbawione systemu mięśniowo-nerwowego, u zwierząt zaś ewolucyjnie wyżéj stojących, zarówno jak i u człowieka, drażliwość umiejscowiła się w specyalnych organach ruchu i czucia.

Wszystko co żyje jest drażliwem—czyli posiada zdolność reagowania na liczne podniety. Jeśli ukłuć włókno mięśniowe, wykona ono ruch, skurczy się i zawsze w ten sposób zachowywać się będzie przy podrażnieniu, dopóki znajdować się będzie przy życiu. Drażliwość jest zatém ogólną własnością materyi żywéj, lecz reakcya zmienia się stosownie do podrażnionéj komórki lub włókna; dla włókna mięśniowego objawi się skurczeniem, dla komórki gruczołu — zwiększonem wydzielaniem, dla nerwu—przebiegiem prądu, dla komórki nerwowéj — wrażeniem, percepcyą, i t. d.

Ruchy ameboidalne spotykamy wszędzie tam, gdzie znajduje się naga pierwoszcza, nie zamknięta powłoką. Jako przykład typowy rozpatrywać możemy amebę, istotę jednokomórkową, która w kropli wody pod mikroskopem ukaże się naszym oczom jako mała, szara, napwół przezroczysta kulka protoplazmy. Przyglądając się jéj baczniéj, ujrzymy niebawem, iż kulka powoli kształt swój zmienia; pierwoszcza wydyma się na jednym z punktów powierzchni i wypuszcza tak zwane nibynóżki (pseudopody), dzięki którym ameba przenosić się może z miejsca na miejsce. Wkrótce na innym punkcie protoplazmy ukazują się nowe pseudopody, lecz poprzednie chowają się, protoplazma z powierzchni powraca do środka. Chowanie się pseudopodów stano-

wi fazę kurczenia się. Gdy wszystkie pseudopody się schowają, wówczas ameba przybiera znowu kształt kulisty. Jeśli do wody, w któréj znajdują się ameby, dodamy cokolwiek soli kuchennéj lub kroplę kwasu solnego, albo jeśli przepuścimy prąd elektryczny, to przez chwilkę ameby poruszać się będą przyśpieszonym ruchem, lecz wkrótce chowają nibynóżki i przybierają kształt kulisty. Podnieta zewnętrzna podziałała zatém drażniąco na te drobnoustroje i wywołała kurczenie się protoplazmy.

Podobne objawy spostrzegamy przy drażnieniu mięśnia. Drażliwość mięśnia również objawia się kurczeniem, dlatego własności téj nadano nazwę kurczliwości. Kurczliwość polega na skróceniu się włókien mięśniowych, które jednocześnie grubieją, a dzięki owemu skróceniu, rozmaite części szkieletu mogą być do siebie zbliżone i wykonywają ruchy. Mięśnie prążkowane odznaczają się nadzwyczaj szybkim przebiegiem kurczliwości; jeśli np. podnieta jest silna i krótkotrwała, (np. prąd elektryczny), wówczas mięsień podlega nadzwyczaj szybkiemu „wstrząśnieniu", trwającemu ułamek sekundy. Tak zw. mięśnie gładkie, znajdujące się w organach wewnętrznych, posiadają znacznie powolniejszy przebieg kurczliwości, co jest w związku z ich funkcyą, gdyż tu ruchy powinny być powolne i umiarkowane. Przeciwnie, „życie na zewnątrz" wymaga szybkich i energicznych ruchów. Zadziwiającą szybkością ruchów obdarzone są mięśnie skrzydeł niektórych owadów, np. mięśnie komara (według Mareya) zdolne są wykonać 300 do 400 ruchów na sekundę. Niektóre małe mięśnie odznaczają się niezwykłą siłą, np. mięsień nożny (*gastro-enemius*) żaby, mający zaledwo centymetr średnicy, może podnieść ciężar kilograma. Praca zaś odbywana przez mięsień sercowy jest wprost zdumiewająca! Züntz obliczył, iż serce człowieka odbywa codziennie pracę 20,000 kilogrametrów, czyli pracę niezbędną do podniesienia 20,000 kilogramów na wysokość metrową. Mięsień jest najdoskonalszą dynamo-machiną, jaką znamy.

W zwyczajnych warunkach życia, mięsień kurczy się pod wpływem podniety nerwowéj, wyszłéj z ośrodków. Lecz niezależnie od téj podniety, posiada on kurczliwość samoistną czyli zdolność oddziaływania na zewnętrzne podniety. Jest dziś faktem w zupełności dowiedzionym, iż kurczliwość jest własnością tkanki mięśniowéj i po wycięciu, zniszczeniu lub otruciu nerwów dochodzących do mięśni, można mięśnie pobudzić do ruchu.

Przechodzimy obecnie do drażliwości tkanki nerwowéj. Drażliwość nerwu objawia się przebiegiem prądu nerwowego. Nerwy dośrodkowe czyli nerwy czucia prowadzą do ośrodków prądy wrażenio-

we; nerwy odśrodkowe czyli nerwy ruchu prowadzą od ośrodków do mięśni prądy ruchowe. Nerw jest zatém przewodnikiem prądu nerwowego. Nerw podrażniony nie kurczy się podobnie jak mięsień, lecz stopień jego podrażnienia mierzyć można kurczliwością mięśnia, do którego dochodzi nerw ruchowy. Dopóki funkcyonowanie nerwu nie objawi się ruchem mięśnia, dopóty rzec można pozostaje nieuchwytném; ze wszystkich objawów działalności nerwowéj, kurczenie się mięśnia jest najłatwiejsze do spostrzeżenia, do wymierzenia i do zapisania na odpowiednich przyrządach; do niéj się zatém zwykle zwracamy, gdy chcemy ocenić drażliwość nerwu, bądź bezpośrednio, drażniąc nerw ruchu, bądź w sposób odruchowy, drażniąc nerw czucia. A zatém mięsień i nerw w odmienny oddziaływają sposób na działanie podniety: mięsień—kurczeniem się, nerw—przebiegiem prądu.

Kilka słów poświęćmy opisowi podniet. Podniety dzielimy na naturalne i sztuczne. Podnietą naturalną, fizyologiczną, jest prąd nerwowy wyszły z ośrodków, pobudzający nerwy a za ich pośrednictwem mięśnie do ruchu. Odróżnić jednak możemy dwa wypadki: przy ruchu dowolnym rozkaz wychodzi z ośródków, które samoistnie wysłały prąd ruchowy wzdłuż nerwów odśrodkowych; podrażnienie jest zatém odśrodkowem. Przy odruchu, ośrodki wchodzą również w grę, lecz nie działają one wówczas samodzielnie, służą tylko jako przewodniki dla podrażnień, które pozostały na wrażliwéj powierzchni ciała, obdarzonéj licznemi organami zmysłów. Rozpatrując jednak naturalne podniety ruchów, obojętném jest, jaki jest punkt wyjścia dla ruchu i nie ma potrzeby brać pod uwagę całego łuku nerwowego. Pragniemy przez to zaznaczyć, że podrażnienie ośrodkowe staje się fizyologicznym bodźcem dla ruchów.

Podniety sztuczne podzielono na mechaniczne, fizyczne i chemiczne. W sztuczny sposób pobudzić można do ruchu system nerwowo-mięśniowy, używając jednego z wyżéj wymienionych bodźców. Wszelkie mechaniczne podrażnienie nerwu lub mięśnia (uderzenie, ukłucie, przecięcie) wywołuje kurczenie się mięśnia. Do najenergiczniejszych i najczęściéj używanych podniet fizycznych zalicza się elektryczność. Natężenie elektryczności daje się ściśle wymierzyć, dzięki nowym ulepszonym przyrządom, siłę jéj możemy dowolnie stopniować, z tych względów prawie wyłącznie zwracają się w laboratoryach do elektryczności, gdy chodzi o wywołanie podrażnienia. Z pomiędzy innych podniet fizycznych wymienimy jeszcze działanie temperatury; mięsień pogrążony w zimnéj lub gorącéj wodzie, zaczyna się gwałtownie kurczyć. Podobnie światło posiada zdolność drażnienia tkanki mięśniowéj nawet bezpośrednio, choć u wyższych zwierząt

zdolność oddziaływania na światło umiejscowiła się w specyalnym organie. Liczba ciał chemicznych, które w zetknięciu z mięśniami lub nerwami wywierają wpływ drażniący, jest nieskończenie wielka, zaliczają się do nich głównie kwasy i zasady. W doświadczalny sposób skurcz mięśnia może być otrzymany przez podrażnienie któréjkolwiek bądź części łuku odruchowego; możemy otrzymać kurczenie się mięśnia bądź przez podrażnienie mięśnia bezpośrednio, bądź przez podrażnienie nerwu ruchowego, przez podrażnienie ośrodków lub przez podrażnienie nerwu czucia (skurcz odruchowy).

Jednakże mięsień nie daje się drażnić bez końca. Po pewnym przeciągu czasu następuje zmęczenie. Prąd elektryczny przebiega po dawnemu z tą samą siłą, a mięsień zaczyna coraz słabiéj oddziaływać, a gdybyśmy chcieli otrzymać tę samą siłę skurczów, musielibyśmy powiększyć natężenie podniety. Jeśli jednak podnieta pozostaje bez zmiany, jesteśmy świadkami powolnego zaniknięcia drażliwości mięśniowéj; skurcze wciąż słabną, aż wreszcie całkiem ustają, mięsień pozostaje nieruchomym przy przebiegu prądu elektrycznego. Nie jestto jednak śmierć. Pozwólmy odpocząć mięśniowi przez kilka minut; po tym przeciągu czasu zacznijmy go znów drażnić tym samym prądem: mięsień będzie się kurczył ponownie. Takie jest dzieło zmęczenia. Jest to zanik drażliwości mięśniowéj. Nasuwa się pytanie, w jaki sposób nerw zachowuje się wobec zmęczenia? Jeśli drażnić będziemy mięsień za pośrednictwem nerwu, otrzymamy identyczne objawy. Nie dowodzi to wszakże, aby nerw miał być zmęczony. Istotnie, wspominaliśmy wyżéj, iż o czynności nerwu sądzić możemy z drażliwości mięśnia; gdy mięsień jest zmęczony i niezdolny do wykonywania ruchów, nic na oko nie może nas objaśnić, czy nerw jest zmęczony. Liczne doświadczenia, czynione głównie przez Bernsteina i Wwedeńskiego, wykazały z całą ścisłością, iż nerw nie podlega zmęczeniu, nerw jest niezmęczonym (oczywiście w pewnych granicach, ale doświadczalnie, nazwać można nerw niezmęczonym). Prawdopodobnie zmęczeniu podlegają zakończenia nerwów w mięśniach, tak zwane krążki końcowe, organy nadzwyczaj delikatne; lecz włókno nerwowe, będące przewodnikiem prądu nerwowego, nie podlega zmęczeniu.

Rzecz godna uwagi i posiadająca wysokie znaczenie w fizyologii ogólnéj. Podrażnienia mają zdolność wywoływania ruchów w tkance mięśniowéj. Te same przyczyny działając przez dłuższy czas wywołują zanik ruchu, zmęczenie, porażenie.

Pierwszych doświadczeń nad zmęczeniem u zwierząt dokonał uczony szwajcarski Kronecker w r. 1872. Widzimy, jak stosunkowo

świeże są te badania. Profesor z Bernu posługiwał się głównie w doświadczeniach żabami; stworzenia te bowiem przedstawiają znakomite warunki badania dla fizyologa; po zniszczeniu im systemu nerwowego ośrodkowego (mózgu i rdzenia) zachowują przez całą dobę, a nieraz znacznie dłużéj wszelkie pozory życia: serce uderza regularnie, krążenie odbywa się w dalszym ciągu (choć oddychanie jest wstrzymane), mięśnie i nerwy posiadają zupełną wrażliwość na działanie prądu elektrycznego. Żaba pozbawiona mózgu i rdzenia nie jest w stanie poruszać się dowolnie ani odruchowo, gdyż brak jéj naturalnéj, fizyologicznéj podniety do wykonywania ruchów. Lecz mięśnie i nerwy posiadają zdolność oddziaływania na wszelkie bodźce zewnętrzne. Podobnie spreparowanéj żabie obnaża się główny nerw tylnéj nogi, oraz jeden z mięśni (*gastroenemius*); do nerwu dotykają elektrody indukcyjnéj machiny elektrycznéj; przy każdém otwarciu lub zamknięciu prądu elektrycznego (np. co dwie lub co trzy sekundy) nerw zostaje podrażniony, podrażnienie to udziela się mięśniowi, który kurczy się i skraca; do mięśnia przyczepiona jest strzałka ze słomy, która przy każdém wstrząśnieniu mięśnia pozostawia ślad na walcu zaczernionym sadzą; jeśli dodamy do tego opisu, że walec obraca się nader powolnym, miarowym ruchem, to łatwo pojąć, iż każde skrócenie się mięśnia zapisane zostanie na cylindrze w postaci pionowéj linii, któréj wysokość proporcyonalna jest do stopnia skrócenia się mięśnia. Przyrząd ten zwany m y o g r a f e m, w którego szczegółowy opis wchodzić nie będziemy, gdyż znajduje się we wszystkich podręcznikach fizyologii, oddaje niecenione usługi w laboratoryach fizyologicznych, dając możność zapoznania się ze wszystkiemi właściwościami kurczliwości mięśniowéj. Sposób badania, polegający na zmuszeniu zjawisk, aby pozostawiały same ślad swego przebiegu, nazwany został m e t o d ą g r a f i c z n ą i cieszy się dziś niesłychaném powodzeniem w nauce. Dopóki mięsień nie jest zmęczony, za każdym przebiegiem prądu elektrycznego o jednakowéj sile, kurczyć się on będzie w jednakowy sposób i pionowe linie, zarysowane na walcu, posiadać będą tę samą wysokość. Nadchodzi jednak wkrótce chwila, gdy mięsień zaczyna się męczyć, wówczas kurczy się z mniejszą energią, linie na walcu stają się coraz niższe; mięsień słabnie coraz bardziéj, linie obniżają się, aż nakoniec następuje zupełne znużenie, mięsień przestaje oddziaływać, prąd przechodzi po dawnemu, lecz mięsień pozostaje nieruchomym, a linie pionowe na cylindrze znikają. Dzięki téj metodzie, Kronecker odkrył kilka ważnych praw zmęczenia, z których najważniejsze da się streścić w następujących słowach: linie pionowe, zarysowane na cylindrze obniżają się w sposób wielce prawidłowy, różnica wysokości dwóch

linii przyległych jest ilością stałą; innemi słowy, jeśli połączymy wierzchołki tych linii pionowych otrzymamy jedną linię prostą. Linia zmęczenia jest prostą.

W badaniach swych posługiwał się Kronecker nader silnemi prądami elektrycznemi. Otóż prądy takie posiadają wielką niedogodność: działają rozkładająco na substancyę nerwową, co może wpływać ujemnie na zjawisko zmęczenia i zaciemniać otrzymane rezultaty. Przytém zbyt silne prądy nie mogą być obrazem tego, co się dzieje w organizmie, który najczęściéj poruszany jest prądami fizyologicznemi o słabém lub mierném natężeniu. Dla tych przyczyn uznaliśmy za interesujące dopełnić tę lukę i sprawdzić prawo Kroneckera dla prądów umiarkowanych i słabych, używając do tych doświadczeń ogólnéj metody profesora z Bernu. Opiérając się na zasadzie licznych doświadczeń i po otrzymaniu znacznéj liczby figur na myografie, możemy twierdzić, iż prawo Kroneckera sprawdza się nawet w tych warunkach. Linia zmęczenia pozostaje p r o s t ą nawet dla prądów elektrycznych o słabém lub mierném natężeniu. Oczywiście, linię prostą otrzymujemy tylko wówczas, gdy wszystkie używane przyrządy funkcyonują w idealny nieledwie sposób, co, niestety, nie zawsze się zdarza; trzeba, aby walec obracał się równomiernie, nie przyśpieszając ani zwalniając biegu; aby prąd elektryczny posiadał zawsze jednakową siłę, wreszcie, aby podrażnienie udzielało się mięśniowi w jednakowych odstępach czasu. Jeśli wszystkie te warunki nie zostaną zachowane, linia zmęczenia nie będzie prostą, ale krzywą.

Prócz tego, stwierdziliśmy licznemi doświadczeniami, iż linia zmęczenia pozostaje prostą u żaby, któréj wyjęto serce; mięsień bez obiegu krwi tym samym podlega prawom zmęczenia, co mięsień normalny, z tą tylko różnicą, iż w pierwszym wypadku kurczliwość jest znacznie zmniejszona. Mięsień żaby, któréj wyjęto serce, a nawet mięsień oddzielony od ciała, przez długi czas zachowuje się przy życiu; kurczliwość jego jest jednak mniejsza, pomimo to linia zmęczenia pozostaje prosta. Podobnie mamy wszelkie prawo twierdzić, iż linia zmęczenia pozostaje prosta po wstrzyknięciu rozmaitych trucizn, które paraliżująco działają na krążki końcowe nerwów, do tych zalicza się np. newryna (w działaniu swém zbliżająca się do kurary). Natomiast inne ciała pobudzające czynność mięśni i nerwów, wstrzyknięte pod skórę, wpływają na zmianę profilu zmęczenia. Np. węglan sodu, wstrzyknięty pod skórę żaby (w ilości 5 centygramów), wywiera wpływ pobudzający na siłę nerwowo-mięśniową, linia zmęczenia nie jest w tym wypadku prosta, lecz wypukła; podobnie działa węglan amoniaku i węglan potasu w małéj ilości, lecz w większéj ilości węglan potasu (10 centy-

gramów) działa paraliżująco, linia zmęczenia staje się wklęsła. Surowica psa wstrzyknięta żabie wywiera silny wpływ podniecający.

Inni autorowie, jak np. Tiegel, Rossbach i Hartnack, dowiedli, iż dla zwierząt ciepłokrwistych linia zmęczenia jest prosta.

Natomiast wśród zwierząt bezkręgowych rak odznacza się zupełnym brakiem prawidłowości w swych skurczach; kleszcze raka przytwierdzone do myografu i draźnione elektrycznością, dają szereg wstrząśnień, bezładnych, silnych lub słabych, bez określonego porządku, aż nakoniec kurczliwość nagle znika, nie zmniejszywszy się w stopniowy sposób.

O wiele jeszcze ciekawszém jest badanie zmęczenia u człowieka. Tu jednak spotykamy się z daleko większemi trudnościami doświadczalnemi. Istotnie, łatwo pojąć, iż niepodobna w tym wypadku postępować jak z żabą lub królikiem, którym obnaża się mięśnie i nerwy. Znane zaś przyrządy do mierzenia siły, np. dynamometr, nie mogą być również używane, gdyż nie dostarczają wskazówek dostatecznie ścisłych.

Dopiéro od czasów Mossa, profesora w Turynie, i od wynalezienia przez niego ergografu, datują się pierwsze ścisłe doświadczenia nad zmęczeniem człowieka. Badanie zmęczenia u człowieka jest wysoce interesujące, gdyż można w tym wypadku badać zmęczenie dowolne i zmęczenie obwodowych mięśni i nerwów. Podamy w kilku słowach opis przyrządu zwanego ergografem: ręka oraz drugi i czwarty palec zostają mocno przytwierdzone do deszczułki rzemiennemi obręczami, aby nie mogły się poruszać; trzeci palec może zginać się dowolnie; przytwierdza się do niego sznurek zakończony ciężarem (2 kilogr. lub więcéj). Leżący obok metronom uderza co dwie sekundy; według tego rytmu, osoba podlegająca doświadczeniu zgina trzeci palec i podnosi ciężar do pewnéj wysokości; wysokość ta zapisaną zostaje na obracającym się walcu, zupełnie tak jak w myografie. W tych warunkach można wykonać 40 do 80 skurczy. Linie pionowe, otrzymane na walcu, obniżają się proporcyonalnie do ilości skurczy mięśniowych. A łącząc wierzchołek wszystkich tych pionowych linii otrzymujemy linię zmęczenia. Metoda ta posiada tę wyższość nad innemi, iż pozwala dokładnie wymierzyć pracę dwóch mięśni zginających trzeci palec, kiedy w dynamometrze znaczna liczba mięśni wchodzi w grę, gdy ściskamy przyrząd ten w dłoni, niepodobna zatém określić, co przypada w udziale każdemu mięśniowi po szczególe. W ergografie praca dwóch mięśni zginaczy daje się dokładnie wymierzyć, dość jest dodać do siebie wysokość wszystkich pionowych linii, otrzymanych na walcu i sumę tę pomnożyć przez liczbę kilogramów

dźwiganych do góry, a otrzymana liczba wyrażać będzie kilogramy pracy. Oczywiście, ilość dokonanéj pracy przy zginaniu trzeciego palca jest wiernym obrazem ogólnego stanu, w jakim znajduje się organizm; organizm silny, wypoczęty, dostarczy znacznéj ilości przy zginaniu 3-go palca. Prócz tego, mamy tu do czynienia ze zmęczeniem ośrodkowém, dowolném; nie żadna podnieta zewnętrzna, lecz siła woli osobnika zmusza palec do podniesienia ciężaru. Jednakże mięsień męczy się przytém, gdyż on to wykonywa mechaniczną pracę. Aby wyświetlić udział woli w zmęczeniu, Mosso zastosował elektryczność do człowieka i drażnił mięśnie i nerwy za pośrednictwem prądu elektrycznego. Dwa metalowe krążki, przykryte gąbką lekko zmoczoną w słabym kwaśnym roztworze, spoczywają na głównym nerwie przedramienia; połączone są z machiną indukcyjną, prąd elektryczny przebiega co dwie sekundy. Ogólny profil zmęczenia nie ulega zmianie przy podrażnieniu elektryczném, lecz suma pracy mechanicznéj większa jest niż przy pracy ośrodków. „Dzięki woli, mówi Mosso, możemy czynić większe wysiłki i podnosić znaczniejsze ciężary, lecz zdolność do pracy szybko się wyczerpuje. Mięsień podrażniony elektrycznością dostarcza znaczniejszéj sumy pracy dlatego, iż w tym wypadku brak zmęczenia ośrodkowego, kiedy przy ruchach dowolnych, do pracy mięśniowéj dołącza się jeszcze praca mózgowa, uwaga i wysiłek." Istotnie, rzecz godna uwagi, gdy mięsień wyczerpany jest w zupełności przez prąd elektryczny, oddziaływa jeszcze pod wpływem woli, gdy zaś wyczerpie się ruchem dowolnym, zdolny jest jeszcze kurczyć się pod wpływem elektryczności. Podrażnienie elektryczne mięśnia, doprowadzone do zupełnego wyczerpania, pozostawia mu zatém pewną sumę energii, która może być wyładowana przy wysiłku mózgowym. W doświadczeniach tych zmęczenie ośrodkowe występuje z całą jasnością; podczas podrażnienia elektrycznego ośrodki miały czas wypocząć i podrażnione z kolei, zdolne były jeszcze dostarczyć pewnéj sumy pracy.

Jaką jest linia zmęczenia u człowieka? W wielu wypadkach siła skurczy zmniejsza się stopniowo, tak iż linia łącząca wierzchołek skurczy jest zbliżoną do prostéj, choć nigdy nie daje się tu spostrzegać owa regularność, nieledwie matematyczna, jaką widzieliśmy u zwierząt, zwłaszcza zaś u żaby. Spotykamy jednak często inne typy zmęczenia. Niektóre np. osoby mogą z początku dostarczyć znacznéj sumy energii, linie pionowe są wysokie, nagle spadają do zera i mięsień niezdolny jest do pracy. Być może, iż podobna linia zmęczenia jest dowodem szybkiego wyczerpania siły nerwowéj. W innych razach linia zmęczenia jest wypukła lub wklęsła, albo też z początku wypukła,

a następnie wklęsła (zbliżona kształtem do odwróconéj litery S). Suma dostarczanéj pracy może być wielce rozmaita, zależnie od ogólnego stanu zdrowia, od pory roku, od ilości i jakości pożywienia, od poprzedniego stanu wypoczynku lub pracy, od wzruszeń i t. d. Fizyczny ruch (bez wyczerpania) powiększa siłę w wysokim stopniu; po miesiącu ćwiczeń gimnastycznych, niektóre osoby dostarczyć mogły podwójnéj ilości pracy niż poprzednio. Ale każdy osobnik posiada właściwą mu linię zmęczenia, nie zmieniającą się nawet po wielu latach. Można zatém powiedzieć, iż każdy posiada właściwy mu znak zmęczenia, będący objawem jego indywidualnych różnic.

Ergograf w rękach Mossa i jego uczni dostarczył nadzwyczaj cennych rezultatów. Opiérając się na licznych badaniach, Mosso doszedł do wniosku, iż zbyt natężona praca umysłowa wyczerpująco działa na siłę mięśniową, coby dowodziło, że zmęczenie jest jedno w swém pochodzeniu, a zarazem widzimy, jak zgubnym jest zwyczaj zmuszania dziatwy do męczącéj pracy gimnastycznéj dla „wypoczynku" po pracy umysłowéj. Zmęczenie cielesne i umysłowe idą w parze, oddziaływując na siebie wzajemnie. Dzięki przyrządowi, zwanemu ponografem, a służącemu do zapisywania wysiłku nerwowego przy pracy, Mosso wykazał, iż wysiłek nerwowy, niezbędny do kurczenia się mięśnia, jest tém większy, im zmęczenie daléj jest posunięte. Wysiłek rośnie proporcyonalnie do zmęczenia. Wyczerpanie organizmu nie wzrasta proporcyonalnie do odbytéj pracy; praca odbyta przez mięsień poprzednio już zmęczony, wpływa daleko gorzéj na organizm, niż praca daleko większa, odbyta w normalnych warunkach. Można wykonać daleko większą pracę, bądź umysłową, bądź fizyczną, nie dochodząc nigdy do wyczerpania. Wyczerpanie jest silną zgubą dla organizmu; aby dojść do równowagi należy następnie odpoczywać przez czas daleko dłuższy. Organizm nie może być porównany do lokomotywy, wypalającéj daną ilość węgla dla każdego kilometru przebytéj przestrzeni. Skoro ciało jest zmęczone, najsłabszy wysiłek sprowadza zgubne następstwa. Wskazówki te nabiérają ogromnéj wagi, gdy chodzi o hygienę pracy umysłowéj: nieraz tak nielitościwie obchodzimy się z tą najcenniejszą tkanką, jaką jest mózg! Jeśli np. mięsień po 30 skurczach jest zupełnie wyczerpany, wówczas dwie godziny wypoczynku wystarczają w zupełności, aby znikły wszelkie objawy zmęczenia. Gdybyśmy jednak nie wyczerpywali mięśnia do ostateczności i uczynili tylko 15 skurczy, wówczas pół godziny wypoczynku wystarczy. A rachując otrzymaną w sumie pracę, widzimy, że jest ona znacznie większa w ostatnim wypadku. Nadmierna praca mózgowa wyczerpująco działa na mięśnie. Dr. Maggiora (cytowany przez Mossa),

egzaminując studentów, czuł nadzwyczaj silne wyczerpanie, w nocy nie mógł dobrze sypiać, a nazajutrz nie czuł się zupełnie wypoczętym. Po paru tygodniach tego trybu życia odbyło się w organizmie nagromadzenie zmęczenia, a linie ergograficzne stały się tak słabe, iż musiano zmniejszyć ciężar z 3 kilogramów na 2, aby otrzymać linię zmęczenia.

Linia zmęczenia, otrzymana po długim poście, zbliża się wielce do linii otrzymanéj po wielkiém zmęczeniu. Pomimo podobieństwa, istnieje jednak znaczna różnica: niemoc mięśnia, wywołana zagłodzeniem, znika nadzwyczaj szybko po przyjęciu pokarmu, kiedy po zmęczeniu nerwowém lub téż wywołaném ruchem fizycznym, pożywienie nie wielki posiada wpływ wzmacniający. Dla wypoczynku potrzebny jest czas znacznie dłuższy, zwłaszcza zaś sen pokrzepiający.

Patrizi badał za pośrednictwem ergografu stosunek energii mięśniowéj do temperatury ciała i odkrył, że dwa te zjawiska wzrastają proporcyonalnie, gdy temperatura ciała dochodzi do swego codziennego *maximum*, wówczas siła mięśniowa jest największa. Oba te zjawiska są dowodem intensywnych przemian chemicznych, odbywających się w organizmie. Pantanetti badał na ergografie siłę mięśniową histeryków i neurasteników, Roncoroni i Diettrich podobne czynili próby nad obłąkanymi. Rossi badał wpływ trucizn nerwowych na siłę mięśni. Masaż zmęczonych mięśni sprzyja powrotowi do normalnego stanu (Maggiora); normalny mięsień wymasowany odznacza się wielką odpornością względem zmęczenia; na mięsień zaś zmęczony masaż wywiera wpływ pokrzepiający i opóźnia zjawisko ostatecznego zmęczenia.

Wynalazek ergografu otwiéra nadzwyczaj ciekawe pole badań nad zmęczeniem i nad warunkami, w jakich się to zjawisko objawia.

Obecnie w kilku słowach opiszemy główne zmiany fizyologiczne, zachodzące przy zmęczeniu ogólném, oraz podamy tę niewielką wiązankę wiadomości, jaką posiadamy o psychologii, czyli o uczuciu zmęczenia.

Pod wpływem silnych ruchów jesteśmy zdyszani, oddychanie zostaje przyśpieszoném. Jednocześnie serce uderza z większą szybkością, puls staje się słabym i przyśpieszonym. Głowa się rozgrzéwa, nogi ziębną, doświadczamy szumu w uszach. Zmęczenie staje się świadomém. Długo natężona uwaga męczy się w końcu, dlatego ruchy, wymagające wielkiego skupienia uwagi, męczą daleko więcéj od ruchów wykonywanych automatycznie, choć i tu uwaga jest czynną, lecz jest to uwaga nieświadoma. Oczy męczą się długiém czytaniem, gdyż wyczerpany mięsień akomodacyi odmawia posłuszeństwa. Jednym

z charakterystycznych objawów zmęczenia jest poziéwanie, dowód chwilowéj i lekkiéj anemii mózgowéj; jednocześnie istnieje dążność do wyciągania członków, co powiększa ciśnienie krwi, idącéj do mózgu i przerywa poziéwanie. Jest to nieświadomy sposób walczenia ze zmęczeniem. Niektóre osoby, dotknięte anemią mózgową, poziéwają prawie bezustanku. U wielu osób uczucie zmęczenia poprzedzone jest fazą ogólnéj ekscytacyi i rozdrażnienia; zmęczenie skłania do irytacyi. Chorzy nerwowo (neurostenicy) irytują się przy lada przyczynie. Twarz wyrazista, spojrzenie żywe, zależą w znacznéj mierze, według Mossa, od mniejszéj odporności systemu nerwowego ośrodkowego, od nerwowości, od ciągłego wyczerpania. Rozdrażnienie nerwowe jest jednym z objawów trwałego lub chwilowego zmęczenia umysłowego. Wreszcie osoby, wyczerpujące nadmiernie system nerwowy, podlegają często chorobom żołądkowym, co skłoniło Tissota do powiedzenia, iż „człowiek najwięcéj myślący jest człowiekiem najgorzéj trawiącym.”

Rozpatrzmy obecnie chemiczne zjawiska towarzyszące zmęczeniu, czyli t. zw. „chemię zmęczenia”.

Drażliwość żywéj materyi i związane z nią ruchy są jednym z objawów energii (dawniejszą nazwę „siły” zastąpiono obecnie nazwą „energii”). Odróżnić można ośm postaci energii we wszechświecie: 1) energia chemiczna (powinowactwo atomów), 2) energia międzycząsteczkowa, 3) energia mechaniczna, 4) energia grawitacyi, 5) energia ciepła, 6) energia światła, 7) elektryczność, 8) magnetyzm. Wszystkie te postaci energii są bezwątpienia objawami jednéj i téj saméj siły, wiemy bowiem, iż w naturze jedne formy energii przechodzą w drugie. Prawo zachowania energii, czyli energetyka, panuje nad całém naszém przyrodoznawstwem na równi z prawem zachowania materyi. Nigdzie we wszechświecie energia nie powstaje, ani ginie, ogólna suma energii jest ilością stałą, a jeśli wydaje się na pozór, iż pewna część siły zanika lub pozostaje, oznacza to, że energia zmieniła swoją postać. Nawet psychiczne zjawiska podległe są prawu zachowania energii.

Rozpatrując energię w organizmie zwierzęcym, spostrzegamy, iż jest ona przeważnie pochodzenia chemicznego. Życie jest funkcyą chemiczną (Lavoisier). Każdy atom posiada w sobie pewien zasób energii potencyalnéj, zwanéj powinowactwem chemiczném, a przy połączeniu się z innym atomem siła napięcia, czyli energia potencyalna, zamienia się w czynną, i występuje na jaw w postaci ciepła, światła, pracy mechanicznéj i t. p. Energia chemiczna, wprowadzona do organizmu za pośrednictwem pokarmów, przekształca się w rozmaite inne swe postaci, dzięki którym organizm wykonywać może ruchy i pra-

cę. Przemiana materyi wyzwala uśpione siły chemiczne, a one przekształcają się w ciepło i ruch.

Przemiana materyi staje się żywszą przy pracy, jednocześnie powiększa się ilość ciepła wydzielanego przez organizm: energia chemiczna przekształca się w energię mechaniczną i termiczną.

Przy zmęczeniu posuniętém do ostatecznych granic, spostrzegamy zjawiska wprost przeciwne: porażenie, zupełną niezdolność do wykonywania ruchów, przemianę materyi słabszą.

Pierwsza hipoteza, jaka przychodzi na myśl dla wytłómaczenia zjawisk zmęczenia, to przypisywanie ich wyczerpaniu: organizm, który wyczerpał materyały, służące do przemiany materyi, nie jest w stanie dostarczyć więcéj pracy. Jeżeli wyczerpanie odgrywa pewną rolę w zmęczeniu, znaczenie jego jest jednak całkiem podrzędne, jak się o tém łatwo przekonać. Po wielkiém zmęczeniu nietyle potrzebujemy posiłku, ile wypoczynku. Czas jest najważniejszym czynnikiem do odzyskania sił utraconych.

Nadto, człowiek zmęczony, zdradza symptomaty wielce zbliżone do chorób zakaźnych: przyśpieszone oddychanie i bicie serca, podwyższenie się temperatury (t. zw. *fièvre de surmenage*), rozdrażnienie ośrodkowego systemu nerwowego, senność, brak apetytu. Nietylko bowiem bakterye posiadają zdolność wydzielania trujących substancyi, lecz nasze własne tkanki, funkcyonując nawet normalnie, wytwarzają podobne ciała. Są to substancye przeobrażenia wstecznego, bezpożyteczne całkiem dla organizmu, których się on pozbywa bądź przez wydalenie, bądź przez utlenianie. Przy pracy i zmęczeniu przemiana materyi staje się żywszą, więc i produkty rozkładu wytwarzają się w zwiększonéj ilości i nagromadziwszy się we krwi, paraliżująco działają na tkankę mięśniową i nerwową. Dlatego czas jest tak dalece niezbędnym warunkiem dla wypoczynku; organizm potrzebuje pewnego czasu, aby pozbyć się trucizn zmęczenia, bądź niszcząc je za pośrednictwem licznych gruczołów wewnętrznych, bądź utleniając, bądź wydalając je wraz z moczem. Toksyczna teorya zmęczenia posiada na swą obronę szereg wielce przekonywających faktów.

Wiemy z doświadczenia Rankego, iż żaba zmęczona przez długie działanie elektryczności, odzyskuje dawne siły i kurczliwość mięśni, jeśli jéj system krwionośny przemyć pewną ilością lekko słonéj wody. Nie dostarczyliśmy jéj żadnego pożywienia, a jednak dawna energia ruchu powróciła. Prąd słonéj wody uniósł z sobą substancye trujące, powstałe przy zmęczeniu, i tym sposobem oczyścił organizm z nagromadzonych w nim trucizn. Ten sam cytowany autor wstrzyknął zdrowéj żabie ekstraktu mięśniowego, pochodzącego z żaby zmę-

czonéj; po wstrzyknięciu żaba normalna okazywała wszystkie cechy zmęczenia. Mosso doszedł też do wniosku, iż nie tylko mięśnie, lecz i krew zmęczonego mięśnia posiada własności trujące, wstrzyknięta zdrowemu zwierzęciu (np. psu) wywołuje u niego wszystkie objawy zmęczenia (lenistwo ruchów, przyśpieszone oddychanie i bicie serca, i t. d.) Powstałe przy zmęczeniu mięśnia trucizny, uniesione biegiem krwi, rozchodzą się po całym organizmie. To nam tłomaczy, dlaczego zmęczenie jest początkowo zjawiskiem lokalném, a następnie ogólném. Trucizny zmęczenia dostawszy się wraz z biegiem krwi do mózgu, działają z początku podniecająco na ośrodki oddychania i krążenia, i dlatego obserwujemy w téj fazie przyśpieszone oddychanie i bicie serca, lecz przy wielkiém zmęczeniu po téj pierwszéj fazie podniecenia następuje faza porażenia, śmierć przez wstrzymanie ruchu serca.

Wspominaliśmy poprzednio, iż te same przyczyny, które początkowo wywoływały ruchy i działały podniecająco na materyę żywą, przy przedłużoném trwaniu wywołują zjawiska wręcz odmienne: zanik ruchu i drażliwości, a wreszcie zupełne porażenie i śmierć. Objawy zmęczenia nie są jedynym przykładem owego stosunku między podrażnieniem a porażeniem; wraz z podniesieniem się temperatury zewnętrznéj aż do pewnych granic, zmiennych dla każdego obserwowanego gatunku zwierzęcego, drażliwość materyi żywéj wzrasta, lecz gdy przekroczyć tę granicę, wówczas drażliwość stopniowo zanika.

Trucizny zmęczenia zbliżają się w swém działaniu do narkotyków. Morfina, eter, chloroform w małych dozach albo w pierwszéj fazie swego działania w dużych dawkach działają podniecająco; następnie przychodzi faza znieczulenia i senności. Prawie wszystkie trucizny chemiczne, paraliżujące system nerwowy, podniecają go lekko w pierwszéj chwili. Nie tylko trucizny, ale wiele innych czynników, zgubnie działających na organizm i sprowadzających śmierć, działają z początku drażniąco: śmierć przez zaduszenie poprzedzona jest konwulsyami. Wstrzymany obieg krwi działa podniecająco na kurczliwość mięśniową w pierwszéj chwili. Wreszcie przed śmiercią, zanik kurczliwości mięśniowéj poprzedzony jest krótką fazą powiększania drażliwości.

Czy substancye powstałe przy zmęczeniu różnią się tylko ilościowo od tych trucizn, które organizm wytwarza w warunkach normalnych np. przy umiarkowanéj pracy, czy też różnią się od nich jakościowo? W pierwszym wypadku możnaby przypuszczać, iż przy zmęczeniu znajdują się one w nadmiernéj ilości w organizmie, który dla pozbycia się ich potrzebuje czasu. Być może jednak, iż substancye zmęczenia różnią się jakościowo od ciał wytwarzanych przy normalném funkcyono-

waniu. Mosso przypuszcza, iż mięsień nie zużywa tych samych materyałów przy ruchu umiarkowanym, jak kiedy jest zmęczony; w takim razie i produkty rozkładu mogłyby się różnić w obu wypadkach. Dodajmy wszakże, iż dopóki trucizny zmęczenia nie zostaną z całą ścisłością zanalizowane w zmęczonym mięśniu lub systemie nerwowym, dopóty o ich pochodzeniu nic stanowczego wyrzec nie będzie można. Hypoteza Mossa posiada jednak wiele cech prawdopodobieństwa. Przy zmęczeniu dziać się może zjawisko podobne, jak przy zagłodzeniu: zwierzę głodzone spożywa własne tkanki, lecz występuje tu w całéj pełni hierarchia tkanek co do ich ważności; znikają najpiérw tkanki mniéj ważne (tłuszcze), następnie mięśnie, skład zaś krwi i systemu nerwowego odśrodkowego pozostaje bez zmiany prawie do końca, wreszcie pozostałe w nich zaburzenia odżywcze są sygnałem śmierci. Przy zmęczeniu zwykłe zasoby są wyczerpane i organizm zwraca się do tych zasobów, które normalnie nie bywają naruszone.

Nie znamy dotychczas trucizn zmęczenia, ale wiemy w przybliżeniu, jakie mogą być substancye, wytwarzane przy przemianie materyi. Rozpatrywać wypada pokarmy bezazotowe i azotowe. Pokarmy bezazotowe przekształcają się prawie integralnie w kwas węglany i wodę. Kwas węglany w nadmiernéj ilości zalicza się niewątpliwie do ciał, osłabiających siłę mięśniową i nerwową. Według Mossa, przyśpieszone oddychanie przy zmęczeniu ma nie tyle na celu dostarczenie organizmowi potrzebnego mu naddatkowego tlenu, ile wydalenie przez płuca powiększonéj ilości kwasu węglanego. Przez długi czas mniemano, iż kwas mleczny (pochodzący również ze wstecznego przeobrażenia ciał bezatowych) nagromadzający się w zmęczonych mięśniach jest przyczyną zmęczenia. Istotnie, zmęczony mięsień posiada reakcyę kwaśną (Dubois-Reymond). Jednakże ani kwas węglany, ani kwas mleczny nie mogą być uważane za jedyne trucizny zmęczenia. Ten ostatni nawet zgoła nie wywołuje paraliżującego wpływu. Prawdopodobnie trucizn zmęczenia szukać należy między substancyami dezasymilacyi ciał białkowych, jedynie ciała azotowe dostarczają silnych trucizn w swym rozkładzie.

Do substancyi wstecznego przeobrażenia się ciał białkowatych zaliczają się leukomainy i toksyny-fermenty. Ptomainy nie mogą tu odgrywać żadnéj roli, gdyż wytwarzają się po śmierci pod wpływem mikrobów. Leukomainy i toksyny-fermenty są silnemi truciznami, łatwo więc pojąć, iż gdy powstają w zwiększonéj cokolwiek ilości, mogą być przyczyną zgubnych następstw. Mięsień zmęczony zawiéra w sobie niewątpliwie jakieś nowo-powstałe ciała stałe lub płynne. Np. substancye rozpuszczalne w alkoholu zwiększają się w zmęczonym mię-

śniu; jeśli przed zmęczeniem były 1, po zmęczeniu stanowią 1,3 (Helmholtz). Leukomainy i fermenty trujące powstają, jak wiadomo, przy dezasymilacyi ciał białkowych, są więc niedostatecznie utlenione i pod wpływem tlenu tracą swe własności trujące. Otóż niedawnemi czasy, Abelous, profesor z Tuluzy, analizą chemiczną odkrył w zmęczonym mięśniu obecność ciał niedostatecznie utlenionych, posiadających zdolność łączenia się z tlenem. Tenże sam autor doszedł doświadczalną drogą do wniosku, iż jeśli ekstrakt zmęczonego mięśnia poddać działaniu ciał utleniających (np. pod wpływem nadmanganu potasu), wówczas ekstrakt ten wstrzyknięty innemu zwierzęciu zachowuje się całkiem biernie. Z doświadczeń tych wyciągnąć możemy wniosek, iż trucizny zmęczenia posiadają wiele wspólnych cech z leukomainami.

Dotychczas mówiliśmy głównie o zmęczeniu. Na zakończenie zamierzamy rozpatrzéć warunki, w jakich odbywać się może wypoczynek mięśnia. Po najsilniejszém nawet zmęczeniu powracamy do pierwotnych sił po pewnym czasie wypoczynku. Czas niezbędny dla wypoczynku może być jednak znacznie skrócony przez użycie masażu, jak o tém wspominaliśmy powyżéj. Wpływ masażu jest zapewne wielce skomplikowany, lecz niewątpliwie ważną tu odgrywa rolę powiększone utlenianie tkanek, jakie odbywa się przy masażu. Tlen w wysokim stopniu sprzyja odzyskaniu kurczliwości. Mięsień żaby zmęczony do ostatka odzyskuje kurczliwość, gdy wstrzyknąć do tętnicy cokolwiek krwi utlenionéj lub nadmanganu potasu (Kronecker). Podobne doświadczenia czyniono również nad mięśniami psa. Z góry możnaby przewidywać, iż tlen posiadać powinien zbawienny wpływ na zmęczenie, albowiem szkodliwe ciała, powstałe przy przemianie materyi, mało są utlenione i pod działaniem tlenu tracą swe własności trujące. Jedynie droga doświadczalna mogła wszakże roztrzygnąć tę kwestyę. Wszystkie wyżéj wymienione doświadczenia nad zmęczeniem czynione były na mięśniach otrzymujących krew dzięki krążeniu. W tych warunkach mięsień zmęczony odzyskuje dawną kurczliwość, albowiem krew tętnicza przynosi mu materyały pożywne i tlen, zaś krew żylna unosi produkty rozkładu. Co jednak dziać się będzie po wyjęciu serca? Czy mięsień zmęczony odzyska po wypoczynku dawną kurczliwość?

Otóż otrzymane rezultaty, wydające się na pozór paradoksem, w niczém nie sprzeciwiają się znanym ogólnie prawom zmęczenia, a nawet poświadczają takowe, jak to wnet zobaczymy: mięsień zwierzęcia o wyjętém sercu (np. żaby) a nawet mięsień oddzielony od ciała (np. kleszcze raka) po zmęczeniu i wypoczynku odzyskuje w znacznéj części dawną kurczliwość (po szczegóły odsyłamy do naszéj pracy:

„La fatigue et la respiration elémentaire du muscle.” Paryż, 1896). Widzimy jasno z tego doświadczenia, iż zmęczenie nie jest wywołane brakiem pożywnych materyałów, w braku bowiem krążenia, krew nie przyniosła mięśniom nowych zasobów. Zasoby te czerpał on z własnéj substancyi. Krew, nie mając dostępu do mięśnia, nie mogła mu również udzielić potrzebnego tlenu. Lecz mięsień, wystawiony na działanie powietrza, czerpał tlen z otaczającéj atmosfery dzięki pierwiastkowemu oddychaniu. Nie materyały pożywne, udzielane mu w normalnych warunkach przez krążenie krwi, nie tlen dostarczany mu przez czerwone ciałka krwi, były odżywiającemi czynnikami dla zmęczonego mięśnia, lecz dzieła tego dokonał tlen atmosferyczny. Jako dowód posłużyć może nasze następne doświadczenie: mięsień bez krążenia krwi zmęczony pod kloszem z wodorem traci swą kurczliwość nieodwołalnie. Choćbyśmy czekali kilka godzin, kilkakrotnie próbowali go drażnić prądem elektrycznym, mięsień pozostanie nieruchomy. Lecz wpuśćmy cokolwiek tlenu pod klosz przez tę samą kauczukową rurkę, która służyła początkowo dla wprowadzenia wodoru, a będziemy świadkami silnych i energicznych ruchów mięśnia. W tym wypadku nie żadna inna okoliczność, lecz jedynie obecność tlenu była przyczyną odzyskania dawnéj energii.

Dr. med. Józefa Joteyko.



CZYNNIKI ROZWOJU.

Beniamin Kidd. „Social Evolution“.

Książka Beniamina Kidda *Social evolution*, poświęcona przedstawieniu czynników rozwoju społecznego, narobiła dużo wrzawy najprzód w Anglii i Stanach Zjednoczonych, obecnie zaś w Niemczech, gdzie ukazała się poprzedzona przedmową jednego z najwybitniejszych biologów doby dzisiejszéj, Weissmana. Napisana gładko i potoczysto, nie grzeszy wprawdzie zbyt ścisłém powiązaniem myśli, ale za to nie wymaga także wysiłku od czytelnika. Autor pisze lekko, t. j. ślizgą się po powierzchni przedmiotu, powtarza to co już powiedział, i rzecz, którą możnaby było wyłożyć na kilku arkuszach, rozciąga na kilkunastu. Wada to, uchodząca za zaletę w rozumieniu obecnego pokolenia czytelników, którym nawet naukę i obowiązki od dzieciństwa usiłują podawać w sposób niemęczący, jak gdyby to były łakocie. Taki styl zapewnia powodzenie każdéj książce, zawierającéj coś oryginalnego lub, co ważniejsza, paradoksalnego. Kidd zaś niewątpliwie posiada te przymioty. Zasadnicza myśl jego wywodów jest świeża niezaprzeczenie: zbrojny pozornie w założenia biologii nowoczesnéj, usiłuje dowieść szkodliwości rozumu, skoro ten pierwiastek trzeźwości i krytyki rozpanoszy się w życiu gromadném i zacznie rościć pretensyę do uchodzenia za probierz, rozstrzygający w sprawach społecznych.

Od czasów racyonalizmu przeszłowiecznego, gdy obwołano rozum za instancyę, wydobywającą z wnętrza swego bezwzględne prawdy i ideały społeczne, przedziela nas całe stulecie, obfite w doświadczenia, rozczarowania i analizę. Wiemy dzisiaj, że warunki miejsca i czasu — pęta historyczne — trzymają na uwięzi nawet najśmielsze poloty fantazyi społecznéj. Naszym ideałom przyznajemy wartość tylko względną, jako środkom rozwiązania zawikłań współczesnych i niedomagań, które załatwione wydadzą na świat nowe zagadnienia. Ale przyznać względność rozumu, nie znaczy jeszcze zrzec się jego przodownictwa. Rzecz cała, że nie będzie to olbrzymie ognisko światła, ale wątły kaganek, jednak mimo wątłości swojéj rozpraszający mroki, wśród których brniemy my, rzecznicy przyszłości!

B. Kidd zaprzecza właśnie pożyteczności nawet kaganka, który, jego zdaniem, jeśli nie zrządza szkód głębokich, to tylko dlatego, ponieważ wydaje małe światełko. Gdyby zaś stał się pochodnią, rzucającą naokół rzęsiste snopy promieni i ciepła, byłaby to klęska nie do powetowania. Jak lód na słońcu wiosennèm, tak samo biédne społeczeństwo stopniałoby i rozprzęgłoby się pod żarem jego dotknięć...

Weissman napisał gorącą przedmowę do przekładu „Ewolucyi społecznéj" na język niemiecki, popierając powagą swego imienia wywody Anglika. I nie dziw, Kidd oparł bowiem swoje zaciekania na teoryi tylko co wymienionego biologa. Teza ta głosi, że cechy organiczne, nabyte podczas żywota indywidualnego rodziców, nie przechodzą na potomków, nowe zaś typy i kształty, ukazujące się w potoku ogniw zmienności, są wytworem szczęśliwéj kombinacyi cech ojca i matki, właściwych im od urodzenia. Przyroda stwarza wciąż odmienne kombinacye w niezliczonych odmianach, lecz z pośród nich utrzymuje przy istnieniu tylko najdoskonalsze. Z tysięcy kształtów, przychodzących na świat, tylko dziesiątki dożywają okręgu dojrzałości. Ażeby znaléść zaś miejsce na uczcie życia, muszą one przedostać się tam po stosach trupów, które poległy, dobijając się o udział. Dotychczasowy postęp świata organicznego został okupiony ogromnemi ofiarami, i w przyszłości będzie posuwał się tylko wtedy, gdy będzie miał materyał do dokonywania doboru. W tém ciągłém stawaniu się i doskonaleniu zjawiło się z biegiem czasu pewne stworzenie, uposażone dwoma, nieznanymi przedtém, przymiotami: inteligencyą i uczuciami społecznemi. Był to człowiek. Ewolucya, polegająca na walce wzajemnéj o byt, przybrała naówczas nowy charakter. Atoli, ażeby wydała ona następstwa

dodatnie, musi istnieć nadmiar współzawodników, z pośród których tylko najdoskonalszym przysługiwałaby możliwość pozostawienia potomstwa.

Pisarz angielski, poddając rozbiorowi objawy walki o byt w łonie ludzkości, miesza nawzajem rzeczy zgoła odmienne: zapasy pomiędzy pojedyńczemi osobami w granicach téj saméj gromady społecznéj, oraz te, które toczą się pomiędzy odrębnemi społeczeństwami. Skończywszy mówić o jednéj, wnioski, tam wysnute, stosuje późniéj do drugiéj, a sprawiwszy zamęt w umyśle czytelnika, któremu nowe prawdy kładzie na pozór łopatą do głowy tak, iż ten mniema, iż wszystko rozumié, i nie zdoła połapać się w plątaninie, otrzymuje czego pragnął. Na razie, w początkowych ustępach, chodzi Kiddowi o walkę wzajemną pomiędzy narodami. Wojna, jego zdaniem, stanowi wielką zasadę bytu pierwotnego. Dzikie plemiona mordowały się nawzajem i tępiły. Tylko te utrzymały się na widowni bytu narodowego, które z całą dokładnością w życiu gromadném urzeczywistniły typ militarny stosunku społecznego: centralizacyę bezwzględną władzy, ślepe posłuszeństwo dla jéj rozkazów, animusz wojowniczy połączony z odwagą. Jednostki ginęły spętane takim uściskiem, cierpiały lub poświęcały dobrowolnie własne szczęście na ołtarzu dobra publicznego, które pojmowały ze stanowiska obozu-wojska. Inne przymioty i łaknienia, zwłaszcza głosy natury indywidualnéj, pragnące wyzwolić osobowość ludzką z pod tresury gromadnéj, były tam zbyteczne, szkodliwe dla plemienia, niekorzystne nawet dla samych malkontentów, bo ściągające na nich karę. W walce takiéj zwyciężały szczepy najenergiczniejsze, co przyczyniło się do zapewnienia bytu jednostkom najdoskonalszym — skok logiczny, który wtedy byłby właściwy, gdyby Kidd dowiódł, iż ręka w rękę z wzrostem potęgi pewnego narodu szło jednocześnie doskonalenie jego członków. Zapasy wzajemne ciągną się i obecnie — autor angielski zastanawia się od pewnego ustępu książki tylko nad objawami walki pomiędzy poszczególnemi osobami, występującéj jako współzawodnictwo ekonomiczne i nie wiąże tych wywodów z poprzedniemi. Ludzie rywalizują nawzajem o zarobek i pracę, o rynki lub stanowisko, w tych zaś utarczkach „gorsi" giną, „doskonalsi" pozostają. I nadal postęp będzie odbywał się w taki sam sposób, t. j. drogą walki wzajemnéj — pomiędzy jednostkami w narodzie i narodami. Usunięcie współzawodnictwa i oparcie więzi społecznéj na solidarności doprowadziłyby ród ludzki do zwyrodnienia i znikczemnienia. Dla wzrostu dzielności potrzebna jest walka, oraz nadmiar rywalów, tak, ażeby dobór w dzia-

łaniu żywiołowém miał jak najwięcéj rozmachu. Jedynie należałoby życzyć, ażeby walczący rozporządzali jednakiemi szansami, t. j. żaden z pośród nich nie zajmował stanowiska nie zasłużonego, zdobytego nie własną zapobiegliwością, lecz skutkiem przywileju urodzenia.

Walka to ciężka, nieustająca! W ciągu wieków pojedyńczy członek społeczeństwa musiał wyrzekać się zaspokojenia instynktów, które szkodziły rozwojowi gromady i zapewnieniu jéj zwycięstwa nad innemi, oraz poświęcać własne interesy na ołtarzu ogólnych. Winien on był w naprężeniu trzymać siły swoje i czuwać, ażeby ktoś nie ubiegł go i nie pozbawił owoców skrzętności, co więcéj, uważać taki porządek rzeczy za najmoralniejszy. Dobór, dla uwydatnienia swojéj pożyteczności, wymagał, ażeby tysiące przychodziły na świat tam, gdzie było miejsca zaledwie dla setek, ażeby nawet wybrani czuli cały ciężar wyścigów wzajemnych, mając tylko jedno zadowolenie, to mianowicie, iż zdołali przekazać dalszym pokoleniom przymioty fizyczne i duchowe. Nie dziw więc, że istota, obdarzona rozumem, jaką jest człowiek, zaczyna rozmyślać nad przekleństwem, które przygniata ją, zużywa przedwcześnie siły i pozbawia spokoju. Żywiołowe, kapryśne potęgi przyrody społecznéj, których działanie ostateczne bywa ukryte nietylko przed wzrokiem pojedyńczych osób, lecz nawet całych pokoleń, których pożytek jest zaćmiony i nawet obojętny dla kogoś, bo obliczony na daleką przyszłość,—potęgi te, oddane pod sąd rozumu, nie wytrzymują krytyki. Ów analityk nie odnajdzie w nich ani źdźbła racyonalności. Instynkty, zrodzone pod wpływem walki o byt i jaknajpożyteczniejsze dla interesów narodu, uzna on za dzikie lub tylko zwężające pełnię życia indywidualnego.

Kobiéta istnieje nie po to, ażeby doskonaliła własną indywidualność, lecz ażeby wydawała w nadmiarze na świat nowych przedstawicieli gatunku: im będzie ich więcéj, tém bardziéj zażartém stanie się współzawodnictwo i tém dodatniejszymi okażą się rezultaty. Jéj interesy umysłowe, jéj chęć użycia darów natury, chociażby najgodziwszego, o ile wchodzą w antagonizm z główném zadaniem organizmu żeńskiego, są zjawiskiem antyspołecznéme. Rozum przyznaje słuszność jéj aspiracyom do wiedzy i do szerszego życia i surowéj chłoście poddaje tych, którzy w niéj pragnęliby widziéć tylko maszynę do płodzenia dzieci, jak być powinno. Istotne skutki emancypacyi, odbywającéj się pod opieką „myśli krytycznéj”, są jak najfatalniejsze: liczba dzieci przychodzących na świat wśród inteligencyi spada, rodzice wolą sami zakosztować życia, niż

pracować dla utrzymania zwiększonéj rodziny. Dobór ma coraz węższą widownię działania!

Rozum także stawa po stronie warstw pokrzywdzonych. Nędza jest mierzwą, którą użyzniona gleba dziejów pokryje się kiedyś w przyszłości bujnym plonem. Ale jednostka buntuje się przeciw konieczności i poddaje krytyce niedorzeczność takiego stanu rzeczy, rozum zaś jest instancyą, do któréj odwoływa się indywiduum, uginające się pod ciężarem obowiązków rozwojowych. Doszło do tego, że powątpiewają dzisiaj o pożyteczności nawet saméj walki o byt! Mówią o solidarności wzajemnéj pracowników, o zrzeszeniu wysiłków i regulowaniu produkcyi przez świadomę czynów swoich a zorganizowaną wolę społeczną! Tak, są rzeczy, niewytrzymujące dotknięcia ze strony rozumu, lecz swoją drogą pożyteczne dla przyszłych pokoleń: wolna konkurencya jest szkołą dzielności i energii.

Pierwiastek krytyczny występuje zawsze w takim charakterze, t. j. jako buntownik, nie dbający o przyszłość narodu i tylko poszukujący słuszności pewnych zjawisk ze stanowiska interesu indywidualnego albo klasowego, nigdy zaś ogólno-społecznego. Rozum w swojem działaniu jest czynnikiem natury anty-społecznéj, fermentem, jedynie rozsprzęgającym więź istniejącą, lecz nie przyczyniającym się ani do utrwalenia poczucia obowiązków ani do zwycięstwa, w dalszéj przyszłości, żywiołów eugenistycznych. Zwalczać ten pierwiastek przewrotowy i rozkładowy za pomocą argumentów jest rzeczą daremną, słuszność bowiem logiczna będzie zawsze po jego stronie i żadne rozumowane przesłanki nie zdołają podkopać téj prawdy, że wolna konkurencya np. przedwcześnie wyniszcza organizmy, iż wysiłek, idący na wychowanie dzieci, osłabia napięcie życia indywidualnego rodziców.

Mówiąc, że zdaniem B. Kidd'a wiedza, gdyby stała się ogniskiem światła, rozprzęgłaby więź społeczną, mieliśmy właśnie na myśli tylko co przytoczone jego poglądy.

Działanie myśli krytycznéj, gdyby ogarnęło całe społeczeństwo, wydałoby skutki jak najgorsze. Oparte na wymaganiach rozumu, życie gromadne rozłożyłoby się. Zamiast instynktów, dążących do zapewnienia przyszłości życiu narodowemu, wzięłyby górę chuci indywidualne, samolubne, dbające tylko o zaspokojenie łaknień pojedyńczéj osoby lub żyjącego pokolenia. Słowem, pomiędzy widnokręgami jednostki a interesami gromady istnieje antagonizm nieprzejednany, którego nie zamaskują żadne wywody ani dalszy

rozwój nie zniesie. Pozostawiona saméj sobie i kierująca się światłem rozumu, pojedyńcza osoba puściłaby wolne cugle popędom jaknajszkodliwszym i poświęciłaby dzielność przyszłych pokoleń, byleby uszczęśliwić istniejące. Musiały więc powstać pewne pęta, któreby okiełzały samowolę jednostki i egoizm warstw całych. Rzecz oczywista, nie mogą się one, t. j. owe powściągi, opiérać na sankcyi, dostarczanéj przez rozum, bo takiéj nigdy nie otrzymają, lecz winny czerpać siłę w sferze transcendentalnéj, nadprzyrodzonéj. Takim czynnikiem społecznym jest religia, któréj doniosłość zresztą B. Kidd rozważa tylko ze stanowiska spójni, wiążącéj gromady społeczne, powstrzymującéj wybryki jednostki, zmuszającéj ją do poświęcenia łaknień indywidualnych na korzyść przyszłych pokoleń i nakładającéj na ten pierwiastek niesforności różne zobowiązania. W każdéj więzi społecznéj istnieje zbiór przepisów i zapowiedzi moralnych, które rozkazują pojedynczéj osobie zapominać o tém, co przypadałoby do gustu jéj pożądaniom, krępują jéj postępki i zniewalają do cierpliwości wobec krzywd doznawanych, do wyrzekania się własnéj przyjemności, gdy chodzi o zapewnienie danéj gromadzie społecznéj zwycięstwa w walce o byt lub o danie dostępu na ucztę życia typom wyższym (z punktu widzenia zapasów wzajemnych). Ogół tych przykazań, nie grzeszących bynajmniéj charakterem utylitarnym, prysnąłby pod dotknięciem nieubłaganéj analizy rozumu, istnieje zaś, ponieważ jest pod osłoną powagi religijnéj. Społeczeństwo trzyma się tylko taką spójnią, bo innéj nie ma i nawet mieć nie może. Każdy ustęp dziejów ludzkości, zamknięty i skończony, a zatém cywilizacya grecka, średniowieczna, nowoczesna, to *sui generis* organizmy idejowe, polegające na rozwoju wniosków, które tkwią w pewném założeniu etyczno-religijném lub w pewnéj liczbie takich założeń, powiązanych nawzajem. Ci którzy mniemają, że kiedyś w przyszłości rozum stanie się podstawą życia gromadnego, błądzą, bo nie uprzytomniają sobie istoty więzi społecznéj, nie mogącéj w żaden sposób obejść się bez sankcyi nadprzyrodzonéj. Mylą się także ci, co, jak Herbert Spencer, usiłują dowieść, iż nauka z religią pogodzą się w przyszłości w wyższéj syntezie. Albowiem pomiędzy interesami jednostki a gromady, chęcią wytchnięcia po walce a jéj pożytecznością dla narodu nie ma i być nie może pojednania. Sprzeczność wzajemna jest zasadnicza. Wypływa ona z tego, iż dobór ażeby uwydatnić działalność dodatnią i stworzyć wyższe typy i charaktery, wymaga systematycznego przychodzenia na świat milionów okazów a wytrwania w walce o byt tylko setek, oraz przekazania przez nich przymiotów

swoich dalekim potomkom. Więź społeczna to właśnie sformułowanie zasad takiego doboru, rozum zaś jest obrońcą interesów jednostki, zagrożonéj, że zginie w odmęcie walki lub będzie pozbawiona możliwości zaspokojenia popędów indywidualnych.

Taka jest zasadnicza treść wywodów publicysty angielskiego, bo jakoś nie odważamy się nadać mu nazwy socyologa. Przedstawiliśmy tylko punkty wytyczne, nie dotykając innych stron „Ewolucyi społecznéj.” Nadmienimy jednak, iż Kidd niekiedy wprost gwałci fakty, ażeby dowieść tezy swojéj. Trudno dojrzéć tego w naszém przedstawieniu, w którém trzeba było dać tylko zasadniczy wątek wywodów czyichś. Nie będziemy téż rozpatrywali dowodzeń Kidda w ich całéj rozciągłości i poprzestaniemy tylko na jednym punkcie, mianowicie na działaniu doboru naturalnego w rodzie ludzkim.

II.

Na dowód, że doskonalenie się umysłowe człowieka jest dla życia społecznego rzeczą tak pożyteczną, jak powszechnie mniemają, i że punkt ciężkości rozwoju gromadnego spoczywa gdzieindziéj, Kidd usiłuje dowieść, iż postęp umysłowy nie dotrzymuje kroku postępowi techniki.

„Pełniejsza znajomość i dokładniejsze metody badania—pisze autor angielski — jedynie mogą potwierdzić, że co do przeciętnego rozwoju umysłowego nie stoimy wyżéj, lecz raczéj niżéj w zestawieniu z ludami starożytności, które tak doszczętnie zostały wyrzucone z widowni walki o byt. Rozważani z punktu uzdolnień umysłowych, my, Europejczycy doby dzisiejszéj, których w taki niezwykły sposób dobór naturalny przeznaczył do odegrania przewodniéj roli w historyi, nie mamy żadnego prawa uważać siebie za wyższych nad Greków starożytnych—mimo całego niezwykłego postępu i obietnic życia nowoczesnego!”

Myśl to niewątpliwie trafna! Co do nas, w naszych twierdzeniach poszlibyśmy jeszcze daléj, bo skłaniamy się do poglądu, iż postęp antropologiczny, t. j wzrost dzielności fizycznéj i umysłowéj człowieka, jest objawem zgoła niezależnym od rozwoju techniki i nawet nagromadzenia skarbów wiedzy. Rozkazujemy siłom przyrody, zmusiliśmy je do wykonywania naszych poleceń, wymierzyliśmy przestwory planetarne, słowem daleko wybiegliśmy po za zwyczaje naszych przodków, jednak pod względem przymiotów ducha i ciała pozostaliśmy niekiedy po za nimi.

Zacznijmy od strony fizycznéj.

Porównywając siły fizyczne pokolenia obecnego z tężyzną dawnych wieków, dochodzimy do wniosków, które brzmią bardzo niekorzystnie dla naszéj cywilizacyi. Nie tylko mamy gorzéj rozwinięte mięśnie, lecz nadto odznaczamy się mniejszą wytrzymałością na trudy i mozoły. Cywilizacya komfortem swoim zniżyła odporność ciała! Zwyrodnienie to jest tak widoczne, iż nawet w przekonaniu kół szerszych stało się wprost jednym z tych zdawkowych poglądów, które krążą niby wytarte liczmany.

Ale znikczemnienie nie ogranicza się tylko stronę fizyczną.

Upadkowi fizycznemu towarzyszy, zdaje się, podobny objaw w sferze charakteru: narody cywilizowane są uboższe w temperamenty gorące, stanowcze, przedsiębiercze. Trudno będzie dowiéść téj tezy w sposób ścisły, ale swoją drogą, skoro uwzględnimy pewne fakta, porównamy nawzajem dalekie epoki rozwoju społecznego, naówczas twierdzenie nasze stanie się dość prawdopodobném. Na korzyść tego poglądu przemawia natura doborów, odbywających się w okresie cywilizacyi. Przedsiębierczość ducha stanowi zaletę, któréj nie nabywamy w życiu indywidualném, tylko odziedziczamy po przodkach. Tymczasem dzieje społeczeństw z okresu cywilizacyi polegają na wzajemném tępieniu się tężyzny antropologicznéj. Historya konwencyi, któréj oba wierzchołki, górale i żyrondyści, zginęły wśród zapasów, bagno zaś milczało i ostało się, gdy olbrzymi polegli, przedstawia poniekąd obraz tego, co odbywa się i odbywało w ciągu wieków, które związały człowieka osiadłym trybem życia i zamknęły ucieczkę na puste, niezajęte terytorya, jak to bywa u barbarzyńców, zwyciężonych w walce domowéj. Usiłujemy tłomaczyć chwiejność pokoleń obecnych działaniem pierwiastków umysłowych, „analizą." Niewątpliwie czynnik ów zaważył, ale przyczyna jest głębsza.

Jeszcze trudniéj udowodnić słuszność innego twierdzenia, mianowicie, iż nawet nasze uzdolnienia umysłowe nie podniosły się, przecięciowo, po nad poziom barbarzyństwa. Co więcéj, istnieją fakta, świadczące, iż może one spadły: mamy dzisiaj wiele wierzchołków wyniosłych, jakich ongi nie było, ale za to otchłanie są tak przeraźliwie szerokie i głębokie... Pewne objawy zmusiły kilku antropologów, nawet bardzo wybitne stanowisko zajmujących w nauce, takich którzy acz sumiennie liczą się z faktami, mają przecież odwagę wygłoszenia swego zdania, do wypowiedzenia twierdzenia, iż cywilizacya sprowadziła zniżkę wagi mózgu. W liczbie

ich znajdował się Paweł Broca, który napisał specyalną rozprawę o takiem ujemném działaniu rozwoju dziejowego na mózg. I w rzeczy saméj, jeśli zestawić kmiecia naszego z w. VIII — IX z włościaninem dzisiejszym, doprawdy nie spostrzegam przyczyny, dla któréj ten ostatni miałby posiadać umysł subtelniejszy. Raczéj gotów jestem spodziewać się niższości mózgowéj u przedstawiciela naszego wieku, bo osiadły tryb życia na niewielkim zagonie i nieodłączna od niego rutyna życia bynajmniéj nie sprzyjają zaostrzeniu zmysłu intelektualnego. I nawet jeśli porównamy Leibnitzów i Newtonów, którzy w działalności swojéj umysłowéj rozporządzali zasobem faktów, z tworami myśli Arystotelesa i Platona, po omacku szukających prawdy, naówczas wielkość znakomitości nowoczesnych zmniejszy się znacznie. Jak malec na szczudłach zamienia się na olbrzyma, tak nieraz mierne zdolności przy pracowitości i skrzętności, na podłożu doświadczenia dziejowego, dokonywają wielkich odkryć. „Trzeba nie zbyt wielkiego wysiłku — pisze Kidd — ażeby pojąć, iż cudowne zdobycze czasów nowożytnych służyć powinny przedewszystkiém za miarę stateczności i wydajności społecznéj ludów, które ich dokonały, nie zaś wyższości umysłowéj. Nie wymagają one od nas niezwykłych uzdolnień umysłowych, nie stanowią bowiem olbrzymiego rezultatu działalności duchów indywidualnych, lecz są płodem drobnych przyczynków wiedzy, uskutecznianych zwolna i z mozołem i dodawanych przez pracę wielu umysłów w ciągu nieskończonego pasma ubiegłych pokoleń. Każdy przyczynek do skarbca wiedzy pociąga za sobą coraz łatwiejsze dodanie dalszych. Nawet o umysłach, które dodały wielkie odkrycia do ogólnego zasobu już nagromadzonych wiadomości, nie mamy prawa twierdzić, ażeby olbrzymia przepaść intelektualna, właściwa każdemu dziełu, niezależnie poczętemu, oddzielała je od poziomu przeciętnego lub od umysłów ludów innéj rasy i niższego szczebla kultury.”

Powyższe uwagi, luźnie wypowiedziane, bo udowadnianie ich słuszności zaprowadziłoby nas za daleko (przytém nigdy nie może ono odznaczać się należytą ścisłością), świadczą nie tylko, że rozwój zdolności umysłowych nie idzie w parze z postępem techniki, ale nadto że przebiegi antropologiczne, odbywające się w łonie postępowych szczepów rodu ludzkiego, nie zawsze posuwają się w kierunku dodatnim. Wraz z takiem postawieniem kwestyi nastręcza się pytanie, o ile dobór naturalny można uważać za czynnik, wydający jedynie pożyteczne i doskonałe skutki, jak Kidd twierdzi.

Nie ulega żadnéj wątpliwości, że dobór jest wszechpotężną dźwignią w rozwoju nie tylko świata organicznego, lecz także życia gromadnego. Nie łudźmy się, ażeby postęp był kiedykolwiek udziałem wszystkich członków narodu, t. j. postęp antropologiczny, polegający na wzroście uzdolnień, na zaniku szkodliwych instynktów i rozpowszechnieniu energii woli i stanowczego charakteru. „Transmutacya" jest terminem książkowym, którego życie nie zna. Wyobraźmy sobie pole, zasiane zbożem: przebieg transmutacyjny polegałby na tém, że każde ziarnko równomiernie wydawałoby kiełki, te zaś jednostajnie wzrastałyby. Tymczasem w rzeczywistości dzieje się inaczéj, tylko niektóre kiełki pną się ku górze i odbierają pokarm innym, które wycieńczone zwolna obumierają. Odbywa się dobór. I tak samo, drogą doborów, rozwijał się ród ludzki dotychczas. Wszelki rozwój, zarówno dodatni jak i ujemny, polegał na tém, że pod wpływem warunków bytu dobory przybierały odpowiedni charakter: osoby, odznaczające się pewnymi przymiotami, posiadały więcéj szans utrzymania się przy życiu i przekazania zalet swoich lub przywar dalekim pokoleniom. Maszyna społeczna działała żywiołowo, systematycznie odrzucając pewne wióry—temperamenty nieodpowiednie dla danéj chwili historycznéj. W pewnéj epoce sprzyja ona rozrostowi przymiotów dodatnich, w innéj oddziaływa szkodliwie, bo usuwa typy doskonalsze umysłu, uczucia i woli, niekiedy pozostawia je, lecz zato w przyśpieszoném tempie mnoży pierwiastki ujemne, znikczemniałe. Dość będzie porównać nawzajem dwie epoki: cywilizacyą tegoczesną z barbarzyństwem czerwonoskórych, co do ćwiczenia hartu ducha. Malec indyjski wzrasta w nieustającem doskonaleniu woli swojéj. Każdy czyn otoczenia, wszelki morał, jaki słyszy, nawet zabawy wpajają w niego pojęcie godności osobistéj, polegające na pogardzie dla cierpień i niedostatku. Dwoje dzieci bierze się za ręce na krzyż, kładą w pośrodku na dłonie zarzący węgiel: chodzi o to, który malec dłużéj zniesie ból! Gdy nadchodzi chwila dojrzałości męskiéj, wprost okrutne doświadczenia czekają wyrostka: ażeby dowieść swego hartu, wiesza siebie za żebro na haku, przeciąga sznury przez mięśnie i każe siebie za nie ciągnąć, pości całemi tygodniami. Słabi i chorowici przypłacają śmiercią tę szkołę wytrzymałości, starsze zaś pokolenie nawet nie zapłacze po nich—niedołęgi są niepotrzebne w plemieniu! Biada zaś temu, który ulęknie się! Wygania się go na zawsze z towarzystwa mężczyzn. Przebrany w suknie kobiece, nie tylko nigdy nie będzie miał żony, ale nadto musi spełniać obowiązki nierządnicy plemiennéj — zwyczaj ohydny, ale powszechny

wśród ludów barbarzyńskich i słynący niegdyś pod nazwą scytyjskiego. Losy łamały czerwonoskórego, lecz nie gięły, te zaś niedobitki, które poddały się cywilizacyi europejskiéj, były wprost mętami społecznemi. W takiém otoczeniu typy słabe, szczycące się „walką wewnętrzną" i „analizą", tak bujnie spotykane na gruncie cywilizacyi europejskiéj, nie miały możności ukazania się i nawet przyjścia na świat.

Dobór, jak z powyższego widzimy, był dotychczas w dziejach rodu ludzkiego siłą przyrodzoną i jak wszelka siła ślepa, działał żywiołowo, t. j. niósł z dodatniemi rezultatami skutki jak najujemniejsze. Niektórzy biologowie robią z niego coś w rodzaju nietykalnego, ubóstwianego fetysza, przed którym nisko pochylają głowy, złorzecząc każdemu, kto trzeźwiejszém okiem patrzy na tę sprężynę rozwoju organicznego i bada ją przedmiotowo, nie jako cielca kultu, ale jako zwykłe zjawisko. Do nich należy Kidd, niepomny, że nawet w świecie jestestw organicznych dobór naturalny nie zawsze posuwa organizmy naprzód, lecz często je cofa wstecz i znieprawia. Dość będzie wziąć powszechnie znany fakt pasożytnictwa. Młode stworzonko, ruchliwe i obdarzone doskonałymi zmysłami, sadowi się na innym organizmie, zmysły jego zanikają powoli i ono samo przekształca się na torebkę nasienną i organ trawienia. Ten rozwój ontogenetyczny niektórych pasożytów jest tylko powtórzeniem dziejów gatunku. Istniał ongi pewien gatunek. Z biegiem czasu, gdy powstały wyższe organizmy, znajdował on na nich bezpieczne schronienie. Rozpoczyna się odtąd upadek jego dzielności organicznéj. W zmienionych warunkach bytu, jednostki, które nie przystosowały się, giną, pozostają te, które dopasowały się,—niższe, znikczemniałe. Walka o byt w gruncie rzeczy nie tłómaczy nam postępu, ale tylko wytrwanie pewnych kształtów, jest ona nie dźwignią jedynie dodatnią, ale regulatorem, usuwającym jestestwa, nieprzystosowane do otoczenia. Nie możemy nic więcéj oczekiwać od niéj. Działa ona tak, jak każą jéj zmienione warunki bytu. I w społeczeństwie ludzkiém zachowywa się ona nie inaczéj, jest sprężyną, działającą czasami w duchu dodatnim, to znowu w ujemnym. Kidd widzi w niéj tylko strony dodatnie, mniema bowiem, że lepsi wyjdą z walki jako zwycięzcy. Gotów on z tego powodu poświęcić jednostkę, jéj aspiracye i łaknienia na ołtarzu dobra publicznego, gatunkowego. Miesza on wogóle ewolucyę z postępem, co zresztą stanowi grzéch aż nazbyt częsty.

Skąd jednak wypływa ów kult dla doboru i to widzenie w nim tylko stron dodatnich, to zaznaczanie tylko dobro czynnych skut-

ków? Poniekąd po za teoryą ukrywają się tam interesy dnia. Pochwały, które w swoim czasie szkoła wolnohandlowców wygłaszała na rzecz wolnéj konkurencyi. zawarto dzisiaj właśnie w czci dla walki o byt. Hasła Kidda, Herberta Spencera i innych rzeczników zasady: *homo homini lupus est* są tylko wygłoszeniem faktu społecznego w szacie terminów biologicznych. Może dla wielu wyda się to twierdzeniem nieuzasadnioném, ale co do mnie, nie waham się powiedziéć, że nawet teorya Darwina nosi na sobie piętno epoki dziejowéj, w któréj przyszła na świat. Przypomnijmy sobie tę okoliczność, iż ojciec teoryi przerodztwa gatunków wpadł po raz pierwszy na myśl o wielkiém znaczeniu walki o byt, studyując Malthusa. Nie będziemy zastanawiali się nad wartością naukową doktryny przeludnienia, pogrzebanéj przez obecną wiedzę ekonomiczną—przynajmniéj w takiém sformułowaniu, w jakiém ukazała się z pod pióra twórcy swego. Darwin przetłómaczył ją na język faktów biologicznych i zastosował do całego królestwa organicznego. Nie myślimy poddawać w wątpliwość jego myśli. Walka o byt jest jednym, prawdopodobnie najdonioślejszym z pośród czynników, które rozstrzygają o pozostaniu na globie pewnych gatunków, wymarciu innych. Powątpiewamy tylko, ażeby była jedyną sprężyną lub miała tłómaczyć samą ewolucyę kształtów. Usuwała ona pewne organizmy, ale dlaczego pojawiły się te jestestwa, które wytrwały, inne zaś zginęły, zasada ta nie wyjaśni nam tego. To po pierwsze. Powtóre zaś, w rozwoju gatunków, prócz walki o byt działało jeszcze poczucie solidarności. Lanessan, znany botanik francuski, wykazał, że może nie w jednakowéj mierze, ale swoją drogą asocyacya stanowiła także wpływową sprężynę, rozstrzygającą, kto ginął, kto zaś pozostawał. Rzućmy parę ziarenek do gleby. Kłosy, które wyrosną, będą miały mało warunków wytrwania, bo nawet łagodna ulewa powali je o ziemię. Całe pole natomiast wytrzyma ciężką nawałnicę. Słowem, prosta zwartość mechaniczna już osłania i ocala jednostkę.

Teoryę indywidualnéj walki o byt, będącą — co do rodowodu swego — przeniesieniem stosunków społecznych w świat organiczny, zastosowano do wyjaśnienia i usprawiedliwienia owych stosunków. Obrońcy nieokiełzanéj wolnéj konkurencyi znaleźli w zasadzie walki o byt, która na razie zyskała ogromne uznanie, oręż nowy a skuteczniejszy. Właśnie tém trzeba tłómaczyć ową jednostronność „darwinistów społecznych", że, zamiast bezstronnéj oceny rozpatrywanego czynnika, widzą w nim jedynie strony dodatnie, za-

miast zaś wykazania, jak działała ta ślepa, żywiołowa siła, uwydatniająca się w przyrodzie organicznéj, wygłaszają na jéj cześć hymny.

B. Kidd jest jednym z takich zaślepionych chwalców potęgi żywiołowéj, która w pewnych razach stwarza skutki dodatnie, w innych natomiast może szerzyć zwyrodnienie i znikczemnienie. Siła ta, jak wszelka siła nieujarzmionéj przyrody, działa rozmaicie. Jedynie rozum ludzki może nadać jéj kierunek wyłącznie dodatni, jeśli zdoła ją ujarzmić i skierować według myśli swojéj. Wolą swoją człowiek zmusił krnąbrne potoki płynąć w groblach, elektryczność bez zrządzania szkód zsuwać się po konduktorach. Czyż z doboru nie mógłby on także zrobić dźwigni posłusznéj, postępowéj? I rzecz dziwna! Ci sami ludzie, którzy ani chwili nie zawahają się, gdy chodzi o nałożenie woli swojéj na kapryśny potok górski lub o pogwałcenie żywiołowości przyrodzonéj w innych sferach, ci sami mają dla doboru, podobnie działającéj siły przyrodzonéj, taki bałwochwalczy szacunek, iż nawet samą myśl o podobnym zamachu uważają za świętokradztwo! Natura jest dla nich mistrzynią, zawsze tworzącą rzeczy piękne, pożyteczne a mądre. Przed kilkudziesięciu laty towarzystwo ogrodnicze londyńskie odrzuciło projekt sztucznego zapładniania roślin, jako sprzeciwiający się zamiarom natury. Atoli nastał kres na to bałwochwalstwo. Zootechnika, ta sama sfera zapobiegliwości ludzkiéj, która podsunęła Darwinowi pierwszą myśl o doborze naturalnym, dała wzory także dla świadoméj, celowo prowadzonéj antropotechniki. Kidd i inni zaślepieni czciciele walki o byt nie chcą zrozumiéć, że przyroda w żywiołowém działaniu trwoni miliony jestestw, ażeby pozostawić przy życiu setki, przyczém dokonany dobór nie zawsze odznacza się właściwościami dodatniemi. Antropotechnicy pojmują doniosłość doboru, ale powątpiewają, czy kult dotychczasowy téj ślepo działającéj potęgi jest słuszny. Twierdzą oni bardzo stanowczo, Galton taki np. lub Lapouge, iż człowiek powinien narzucić władzę swoją na tę siłę, tak samo jak poddał woli swojéj wiele innych dziedzin przyrody. Wykazali oni, jak pod wpływem nieokiełzanego, żywiołowego doboru my marnotrawimy systematycznie kapitał mózgowy. Przyroda nie zna równości, każda osoba jest poniekąd odmienną indywidualnością. Pośród nas są mózgi zdolne i mózgi słabe, i prawdopodobnie zawsze tak będzie. Epoka dzisiejsza zajmuje się gorliwie zrównaniem wszelkich różnic—ze szkodą dla przyszłości Posiadacz mózgu zdolnego, łącząc się związkiem małżeńskim z przedstawicielką ni-

skich uzdolnień, pozostawia potomstwu wyższe zalety umysłowe, aniżeli strona upośledzona, lecz zarazem obniża poziom własny. Eugenizm mózgowy zwolna rozpływa się i zasoby uzdolnień, nagromadzone w pewnym umyśle, idą na marne. Zootechnika potępiłaby w czambuł takie nierozsądne postępowanie: ażeby polepszyć rasę, hodowca przedewszystkiém będzie łączył rasowców. I takie marnotrawienie zdolności mózgowych trwać będzie dopóty, póki dobory społeczne będą odbywały się żywiołowo, póki zamiast z prawa dziedziczności zrobić dźwignię postępu, pozwolimy mu działać samopas i rzucać będziemy doborowi miliony, ażeby zachować tysiące. Kidd widzi przed sobą tylko dwie alternatywy: albo dobór będzie działał nadal jako siła przyrodzona, nie spętana przez człowieka poczuciem solidarności względem bliźnich, albo istota ludzka, popychana ślamazarną czułostkowością, będzie w imię solidarności broniła każdego niedołęgi, który przyszedł na świat. Kwestya, tak sformułowana, świadczy tylko o zupełnéj nieznajomości dążeń antropologii tegoczesnéj przez autora „Ewolucyi społecznéj". Tylko co wymieniona gałąź wiedzy rozpatruje pytanie w sposób męski, nie kierując się w swoich wywodach żadnymi względami na mrzonki, że cień każdego człowieka naziemi wygląda jednako. Solidarność, t. j. poczucie łączności swojéj z każdym cierpiącym i niedołężnym, jest możliwe bez osłabiania doboru, co więcéj, oprzéć się może bardzo skutecznie na przyznaniu faktu, iż ludzie są od przyrody nierówni. (Zamiast wydawania na świat potomstwa bez liku i usuwania nadmiaru żołądków za pomocą wojen, głodów i morów, ród ludzki na pewnym szczeblu rozwoju może zdoła świadomie ograniczyć prawo czyjeś zostawania rodzicami.) Możemy oczekiwać od przyszłości, że tylko eugeniści umysłowi będą łączyli się w związki małżeńskie, wydające potomków, inne zaś stadła, żyjąc jako małżonkowie, będą hołdowali zasadzie *self restraint*, zresztą zgoła nie ascetycznéj. Dobór, odbywający się w takich warunkach, będzie usuwał niziny umysłowe i pozostawiał wyżyny w każdém pokoleniu. Ludzkość w świadomém stosowaniu antropotechniki znajdzie potężną dźwignię nieustającego postępu antropologicznego. Trzeba tylko nastania takich stosunków społecznych, przy których wiedza antropologiczna byłaby udziałem każdego członka narodu, w każdém zaś sercu obrało sobie siedzibę *imperativum* wewnętrzne, iż tylko wtedy rodzicom godzi się miéć potomków, gdy będą mieli widoki wydania zdrowych i zdolnych dzieci. Może nigdy do tego nie dojdzie, atoli winniśmy zaznaczyć, iż antropologia bynajmniéj nie uważa tego ideału za niemożliwy; iż w dalszym ciągu neomalthuzyaniści, doskonaląc pewne

środki, umożliwiają pożycie małżeńskie bez dawania życia nowym istotom. Tém samém upada opór ze strony pewnych instynktów, którym chodzi zwykle nie o dzieci, ale o zaspokojenie chuci. Powstały nawet towarzystwa i ligi, usilnie szerzące świadomość obowiązków rodziców względem dzieci i zasadę związków płodnych eugenistycznych.

Założenie Kidda, że walka o byt potrzebna jest dla umożliwienia doborowi rozmachu, świadczy tylko, jak postępy, uskuteczniane przez oddzielne gałęzie wiedzy, z trudnością wydostają się po za koła specyalistów. Żaden zootechnik, hodujący rasowe konie, kury lub gołębie, nie oddałby stadniny swojéj i kurnika na pastwę doboru żywiołowego i walki o byt, bo w świadomém oddziaływaniu znalazł środki skuteczniejsze otrzymywania rezultatów dodatnich.

III.

Kidd wyklina rozum, ponieważ protestem swoim przeciw walce o byt i doborom, dokonywającym się żywiołowo pod jéj wpływem, instancya ta staje po stronie jednostki i pomaga jéj wyłamywać się z klubów posłuszeństwa interesom gatunku. W naszém przedstawieniu, w którém przyznajemy pierwszorzędną doniosłość doborów, tylko ze sprawy żywiołowéj, ślepéj, pragnęlibyśmy je poddać woli i świadomości ludzkiéj, rola rozumu w społeczeństwie jest zgoła inną.

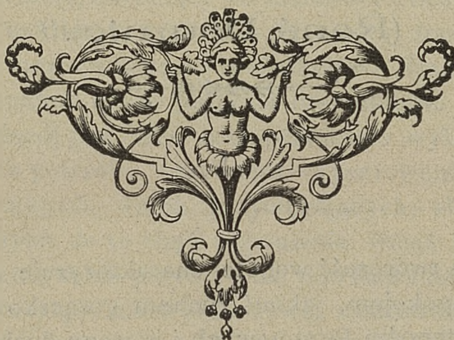
Swoją drogą, w wywodach pisarza angielskiego jest drugi wątek, który, pozornie bardzo, w rzeczywistości zaś tylko niewiele zależny od hymnów na cześć walki o byt, pozostaje w dawnéj mocy. Jestto rozprzęgające, „antyspołeczne" działanie rozumu, zachowawczy zaś, „społeczny" wpływ religii. Winniśmy zaznaczyć, że przytoczone terminy może zostały niezręcznie użyte przez Kidda, mianowicie drugi z pośród nich. O religię bowiem chodzi mu nie jako o zbiór pewnych dogmatów i poglądów kosmicznych, ale jako o systemat etyczny, który swoją powagą pochodzenia nadziemskiego utrzymuje ludzi w karbach i chroni od rozsypki.

Przeciwieństwo pomiędzy religią a myślą krytyczną, uczuciem a rozumem, etyką istniejącą a głosami natury wyzwalającéj istnieje bezwarunkowo w rozwoju społecznym. Kidd skonstatował tylko fakt powszechnie przyznany. Kategorye te stają zawsze na przeciwległych biegunach: jedne występują w charakterze siły zachowawczéj, inne jako sprężyny burzące, przewrotowe. Rozchodzimy

się przecież z autorem „Ewolucyi społecznéj", gdy on twierdzi, że rozum działa antyspołecznie. Myśl krytyczna, występując przeciw istniejącym zwyczajom, jedynie oczyszcza grunt pod posiew nowych. Rozkłada ona — nie społeczeństwo, tylko pewien ustrój więzi społecznéj, tak samo jak religia nie broni etyki wogóle, tylko pewnéj jéj formy.

Poprzestaniemy na ogólném zaznaczeniu téj różnicy. Teorya Kidda, jéj moc i podstawa tkwią w wygórowanym szacunku dla żywiołowych przebiegów przyrody społecznéj. Temu faktowi zasadniczemu udzieliliśmy więcéj miejsca.

L. Krzywicki.



Z KRYTYKI BIEŻĄCÉJ.

(René Doumic).[1]

I.

Współczesna twórczość wogóle charakteryzuje się szczególniejszym niepokojem, jakimś ruchem gorączkowym oraz poszukiwaniem nieustannem form nowych i nowego ducha. Żadna atoli, z poszczególnych twórczości, nie jest przejęta bardziéj powyższym niepokojem od francuskiéj. Tam upodobania i zaprzątnięcia się, smaki i natchnienia rozmaite — najdziwaczniejsze i najkapryśniejsze — zrywają się nagle jak burza, przelatują szybko jak i ona, pozostawiając tylko wspomnienie jakiegoś niezwykłego zamętu. Organizmy umysłowe nie rozumieją tam często zamętów owych, nie mają nieraz czasu zastanawiać się dłużéj nad niemi, — czują tylko, podobnie jak organizmy cieleśne po przejściu burzy, rozdraźnienie i rozciekawienie... znowu do czegoś nowego, nie oczekiwanego. Tam tworzą się, z lada powodu, drobne kapliczki wyznaniowe, powstają kulty estetyczne, kapryśne i fantastyczne, rozwiewające się

---

[1]) René Doumic: „Les Écrivains d'Aujourd'hui“ (str. 315, 1895 r.), „Les Jeunes“ (Études et Portraits—str. 290, 1896 r.). „Essais sur le Théâtre Contemporain“ (str. 329, 1897 r.).

w niwecz, za byle wstrząśnieniem nerwowém. Tak przynajmniéj w ostatniém dwudziestoleciu rzeczy stoją w literaturze francuskiéj. Od czasu oficyalnego — rzecz jasna — pogrzebania naturalizmu, *respective* zolizmu, który najdłużéj stosunkowo stał na porządku dziennym, ileż to tam kierunków „nowych” i „najnowszych” powstało i znikło, jakież tam hasła estetyczne wydawano i odwoływano! Nie potrzebujemy wyliczać masy określeń i nazw nadawanych tym wszelkim kierunkom twórczości: każdemu brzmią one w uszach, wszystkie są znane—od neo-katolicyzmu, do satanizmu etc... Może ta zmienność i kapryśność usposobień nie jednemu się nie podobać, można sobie dworować z napuszystości szyldów, kryjących po za sobą treść nikłą i pretensyonalną, ale przyznać trzeba jedno: że ten zgiełk jarmarczny, ten zamęt, ta błyskotliwość krzykliwa — to żywotność bogata i nie oszczędna, rozrzucająca życie na wielkie przestrzenie, to pragnienie silne bytu urozmaiconego: słowem nie spożyty pierwiastek ruchu, chroniący od martwoty i bezwładu.

Może owa ruchliwość dzisiejszéj literatury francuskiéj jest jednym z bodźców rozwoju krytyki literackiéj we Francyi, co również należy do znamiennych rysów jéj życia literackiego. Zwłaszcza rozwój krytyki bieżącéj jest tam niezaprzeczenie wybitny. Zdaje się nam, że to właśnie potrzeba szybkiego oryentowania się w masie przedmiotów ciekawych, wzrok przyciągających, ale zarazem niestałych i niepewnych, że to chęć utrwalania wciąż ginących obrazów i uświadomiania sobie przyczyn ich powstawania oraz znikania, że to wszystko stworzyło niezwykle żywą, zastosowaną do potrzeb chwili, niezmiernie przenikliwą, lekką i śmiałą krytykę bieżącą francuską! W istocie, należy ona do najbardziéj czujnych, niezależnych i zręcznych! Chociaż i dawniéj krytyka bieżąca, t. zw. „feljetonowa”, miała we Francyi znakomitych przedstawicieli (S.-Beure, J. Janin, Ed. Scherer), jednakże ostatniemi czasy dopiéro punkt ciężkości krytycyzmu literackiego przeszedł do niéj. Po wielkich uogólnieniach teoretycznych H. Taine'a, po rozprawach nad prawami krytyki i zasadami estetycznemi, weszła teraz krytyka w okres zastosowywania zdobytych reguł, codziennego niemal, czynionego na okazach żywych.

Zamiłowanie do krytyki istnieje z dawna w społeczeństwie francuskiém. Ćwiczenie zdolności krytycznych, uważane jest tam, zarówno przez ogół inteligenty, jak przez większość samych krytyków, za coś, co dostarcza masy miłych, rozkosznych wzruszeń, co zwiększa używanie estetyczne. Krytycy poczytują tam krytykę literacką, za „środek do czytania książek z możliwie największą przy-

jemnością" (Lemaître) lub do „opowiadania przygód własnéj duszy po przez arcydzieła" (France); publiczność tegoż samego jest zdania. Nie dziw więc, że takie poglądy sprzyjają wzrostowi usposobień krytycznych. Powiedzieliśmy, że współczesna krytyka francuska jest niezależna. Oh, tak!—jest nią bezprzykładnie; jest zbyt nieraz śmiała i zuchwała w sądach, chociaż nikt tak nie wielbi własnych (i obcych) twórców jak ona, i większą ma cześć dla literatury od niéj. Co u nas grozą przejmuje — tam jest uważane, za najzwyklejsze, przyrodzone prawo krytyki, sprawowane bez zamiaru obrażania majestatu twórczego. Tam, swobodnie, bez najmniejszéj obawy, wyrażają krytycy najsurowsze sądy o największych powagach i świętościach panteonu narodowego. Nikt się nie dziwi, jeżeli ktoś powié o Voltaire'ze np. „że jest to żywy i zajmujący deszcz iskier, lecz bynajmniéj nie — wielka pochodnia na drodze ludzkości" (Faguet); albo, że „Balzac ma intuicye geniusza, i refleksye głuptaka" (tenże), lub coś podobnego. A u nas ludzie (p. W. Bogusławski) srodze się oburzali, gdy p. R. Doumic kwestyonował wartość literacką Dumas'a ojca... co, zdaje się, można w każdéj chwili robić, bez wielkiego ryzyka.

W krytyce francuskiéj gorsze jednak bywają „anomalie." Oto, np. rozmiłowany w modernizmie i rozkoszujący się literaturą drugiéj połowy XIX w., J. Lemaître, który kocha nawet jéj „afektacye, śmieszności i przesady" — surowo nieraz karci wybryki młodszych jéj przedstawicieli, takich symbolistów np., kiedy suchy i poważny akademik F. Brunetière, nie lubiący się entuzyazmować z byle powodu, tychże symbolistów bierze gorąco w obronę i t. p... To wszystko wypływa z podkreślonéj przez nas śmiałości krytyki, jéj szczerości i prawdziwego umiłowania spraw twórczości ludzkiéj. Dzięki powyższym jéj cechom, krytyka francuska doprowadziła do niezwykłéj, subtelnéj czułości dar wnikania w istnienia obce, w życie wielu najrozmaitszych dusz, których treść odczuwa nieraz żywiéj i zupełniéj niż one same.

Dar sympatyzowania z duszami obcemi, tłumaczenia ich i rozumienia — to również zasadnicza cecha krytyki literackiéj we Francyi. Jeszcze jedno uderza nas w niéj: chociaż zastosowana do potrzeb chwili, idąca w ślad za ruchliwą falą zmiennych upodobań twórczych, z pozoru powierzchowna, bo nie krępująca się zbytnio przesądami i utartemi mniemaniami, jest krytyka bieżąca francuska, głębszą, rozważającą rzeczy *sub specie aeternitatis*, niż jakakolwiek bądź inna. Rzeczy pisane z dnia na dzień, nie zwią-

zane z jakimś większym planem, wywołane zazwyczaj aktualnością jakąś, mieszczą w sobie nieraz tyle „praw”, tyle „zasad” i poglądów ogólnych, taką troskę zdradzają wnikania w ich istotę, że niepowstydziłyby się jéj wielkie opracowania całych, odrębnych działów literatury. Proszę przejrzéć „drobiazgi” — to co u nas odpowiada recenzyjkom i sprawozdaniom krytycznym—rozmaitych Lemaitre'ów, France'ów, Faguet'ów i t. p.. a łatwo każdy się przekona, jak te ulotne artykuły i artykuliki, lekkie, niedbałe i pozbawione balastu naukowego, doskonale odbijają sprawy ogólne, jak trafnie charakteryzują prądy literackie, jak wiążą teraźniejszość z przeszłością i jak przenikliwie analizują duszę naszego stulecia.

Mamy przed sobą kilka tomów szkiców krytycznych p. René Doumic'a, jednego z młodszych przedstawicieli krytyki francuskiéj, człowieka, który stara się być bardziéj zachmurzonym i poważnym, niż sam mistrz jego F. Brunetière, który przedewszystkiém poprawnie rozumować pragnie, broniąc się od zachwytów bezkrytycznych, a i ten nawet, pomimo swéj oficyalnéj, ociężałéj powagi, składa świadectwo temu wszystkiemu, cośmy wyżéj wogóle o krytyce francuskiéj powiedzieli. Rozejrzyjmy się nieco w studyach R. Doumic'a.

II.

Krytyki R. Doumic'a przedewszystkiém poświęcone są objawom bieżącego życia literackiego we Francyi, starają się określić i przedstawić całą rozmaitość jego prądów i kierunków. Każda aktualność, to wszystko, co stoi na porządku dziennym rozpraw literackich, co ani uznaném zupełnie ani téż odrzuconém stanowczo nie zostało przez czytający ogół, przyciąga ku sobie głównie wzrok krytyka. W tomie krytyk poświęconych wyłącznie „młodym” autorom, t. j. tym, którzy pracują jeszcze nad ustaleniem własnéj wziętości i sławy, znajdujemy kilka szkiców omawiających najbardziéj sporne kwestye dzisiejszego życia literackiego. Przytaczamy tu na próbę parę tytułów: Dekadenci Chrześciaństwa, Gloryfikacya energii, Teorya przebaczenia w powieści współczesnéj, Nowa poetyka i t. p. Najtrudniéj sądzić o rzeczach, których się należycie nie odczuwa, na obronie których nie wiele nam zależy; najłatwiej tu o sąd niesprawiedliwy, krzywdzący kogoś, głównie z tego powodu, że z obojętnością traktujemy sprawy, roznamiętniające innych i żywo im leżące na sercu

Dlatego draźliwszą sprawą, jest zawsze sprawa „młodych" wogóle, a „młodych" autorów w szczególności. Pomijamy tu tych, którzy z niechęcią jawną, z wyniosłością sztywną lub źle tajoną zawiścią spoglądają na wysiłki, dążenia i ukochania umysłów młodych, pragnących jakąś ideę nową wcielić w życie, lub którym się zdaje, że w istocie „coś" nowego uosabiają; pomijamy tych, którzy z zasady nieuznają „młodych". Chodzi nam głównie o tych, co nie mogą, z tych lub innych przyczyn, podzielać entuzyazmów i nadziei młodych pokoleń, co dość sceptycznie i obojętnie patrzą na ich zapały i zaprzątnięcia się, nie odmawiają im wszakże pewnéj racyi bytu, starają się zrozumiéć pobudki ruchu nowego, i gotowi są nawet, pod jego wpływem, przerabiać własne pojęcia i zapatrywania, byleby ich tylko przekonano. „Młodzi" i z takiego względem nich stanowiska mogą być niezadowoleni: może ich irytować taka chłodna, wyczekująca postawa, nie usposabiająca do zachwytów; mniejsza jednak o ambicye dotknięte, o urazy czułych wraźliwości, o pojedyńcze niezadowolenia! chodzi głównie o to, by nie skrzywdzić kogoś, co może i pragnie istniéć, odmawiając mu praw do życia—chodzi o zwyczajną sprawiedliwość. R. Doumic, w stosunku do „młodych" autorów, zachował właśnie to poczucie, przeciętnéj sprawiedliwości, unikającéj wyroków wydawanych *ad hoc* i potępień doraźnych. Z tego, jak kto traktuje „młodych", można nieraz wnosić, kim kto jest—jąką ma duszę, jaki charakter i jakie ideały. Doumic nie kokietuje „młodych" autorów swego kraju, ale téż nie pogardza nimi, nie zbywa niedbałém wzruszeniem ramion, owszem, stara się wniknąć w istotę ich dążeń. Powiada o nich „że pięknemi obietnicami i postawą pewną siebie obudzili ciekawość" — nie zaspokoili jéj wszakże dotychczas należycie; mówi im: że są nieznośnie pretensyonalni, zarozumiali etc., ale nie odmawia im dobréj wiary, owszem obdarza ich cnotą dość rzadką w naszych czasach, mianowicie: siłą przekonania i entuzyazmem (p. t. *Les Jeunes*—szkic p. t. *La poétique nouvelle*). Rozpatruje tu p. Doumic doktrynę poetycką poetów-symbolistów i, do pewnego stopnia, przyznaje jéj słuszność. Dla symbolistów poezya jest marzeniem, poeta — marzycielem. Marzenie to jednak nie jest indywidualném, egoistyczném, jak u romantyków czerpiących natchnienie we własném życiu uczuciowém, odbija ono życie powszechne, stany duszy wspólne i człowieczeństwu całemu; symboliści przez pryzmat własnego ducha widzą wszechświat cały, poznają naturę, w jéj zarysach zasadniczych, niezmiennych, wchodzą w stosunek z całą ludzkością. Poeci-symboliści usiłują pod

powłoką materyalną rzeczy, wykryć ich treść idealną, dlatego mają one dla nich znaczenie emblematyczne; zmysłami téj ukrytéj istoty rzeczy uchwycić niepodobna, przeczuwać możemy ją tylko, więc aby ją wyrazić, używamy symbolów odpowiednich, t. j. znaków wytwarzających w umyśle naszym wyobrażenie o niéj. W ten sposób powstały religie i mitologie wszystkich ludów. Zdolność plastycznego wyobrażania utracił człowiek kultury dzisiejszéj: żywą fantazyę, zastąpił rozumowaniem, domysł, intuicyę — opisem zewnętrznym, symbol—martwą alegoryą, któréj punktem wyjścia, jest z góry powzięta, idea abstrakcyjna. Symboliści usiłują przeciwdziałać temu, i to ich usiłowanie nazywa p. Doumic zupełnie prawowitém. System wierszowania symbolistów natomiast wydaje się p. D. mniéj trafnym, tu bowiem prawa wersyfikacyi zastępuje czyjeś widzimisię, zupełna dowolność. To wszakże nie jest zbyt przekonywającém; gdy jednak Doumic nam powiada, że t. zw. wiersz w o l n y, którego symboliści często używają, usuwając rym jest przedewszystkiém: prozą poetycką, prozą rytmiczną albo muzykalną, ale tylko prozą — to trudno, w tym wypadku, uwagom jego nie przyznać słuszności. Zwalcza również Doumic zasadę symbolistów, że dla poezyi nie jest konieczném, by ją rozumiano, lecz by ją odczuwano, twierdząc, że zadaniem poezyi jest nie zaciemnianie, lecz jasne wyrażanie idei. Wszystko to robi p. Doumic bez złéj woli, bez szykan i wydrwiwania przeciwników. Z plejady stukilkudziesięciu kilku młodych literatów, z których większość nic jeszcze nie stworzyła, którzy jednak, w oczach własnych, uchodzą za wielkich poetów, myślicieli, artystów i t. p., dworuje wprawdzie Doumic (art. *Les cent-quarante-et-un*) jednakże po za fanfaronadą i pretensyonalnością, przybranemi dla świata, widzi dobrą wiarę, zapał dla sztuki, a także rozgoryczenie młodych serc żądnych uznania. Nie ma ciepła w tém wszystkiém, co Doumic mówi o „młodych“ duszach i umysłach, widocznèm jest, że ich ambicye twórcze nie budzą w nim żywych nadziei, że ich ideały pozostawiają go dziś obojętnym; widoczném i to, że nieraz z przyjemnością schwyciłby za ucho którego z „młodych“ i surowo skarcił za „wybryki“, za brak szacunku dla rzeczy utrwalonych i uznanych przez świat cały, tylko go od podobnych postępków, powstrzymuje przyjęta z góry zasada owéj, przeciętnéj sprawiedliwości, któréj, rad nie rad, postanowił się trzymać w sądach swych o ludziach i ich dziełach.

„Młodym" literatom i „młodym" prądom w sztuce robi Doumic parę słusznych zarzutów. Młoda literatura nie reprezentuje

żadnego kierunku wybitnego — i to jest jéj główną wadą podług p. Doumic'a. Zadaleko unosi nas zasada wolności sztuki: bierzemy często jéj różnolitość za żywotność. Historya literatury poucza nas, że dzieła trwałe i wielkie wydają tylko wyraźnie zarysowane i głębokie prądy literackie. Literatura naszego wieku była najprzód romantyczną, potém realistyczną; obecnie cierpi na to, że nie wié czém jest i czém pragnie być (przedmowa do tomu p. t. „*Les Jeunes*"). Słuszne to do pewnego stopnia, p. Doumic zapomina jednak o tém, że brak świadomości tego, czém się pragnie zostać, może być stanem duszy bardzo stałym i uporczywym, może przeto nadać wyraźny charakter czyjéjś twórczości, a przez to samo wytworzyć wyraźnie zarysowany prąd w sztuce. Niezdecydowanie i chwiejność współczesnéj twórczości, wszak to cechy bardzo wybitne, stanowią niemal prąd—kierunek.

Literatura dzisiejsza, podług Doumic'a, nie jest ściśle związana z życiem ogółu; najtrudniéj dzisiaj wiedziéć dla kogo się tworzy i pisze, stąd wzgarda dla publiczności i chęć wyodrębnienia się, jaką okazują literaci. I to nie jest pozbawione słuszności; stan jednak taki wynika także z téj nieokreśloności pragnień i potrzeb, z rozbicia ducha na atomy, z wielopostaciowości pragnień, na co obecnie choruje organizm społeczny. Ale to może być jaknajbardziéj uzasadnioném, może być stanem przejściowym, okresem poszukiwania stalszych dróg i trwalszych form bytu. Dostrzega Doumic również w twórczości dzisiejszéj zmniejszenie się poczucia formy. Że ktoś nie czyta autorów greckich i nie wielbi klasyków francuskich, nie dowodzi to wcale tego, by nie miał poczucia formy. Czyż kiedykolwiek to poczucie było bardziéj męczącém i natężoném, jak w dobie obecnéj? Wszyscy młodzi twórcy, to męczennicy prawdziwi słowa, języka, formy; wszak gniewamy się nieraz na nich, że formie treść poświęcają. Poczucie formy nie zmniejszyło się wcale, — to zwiększyła się chęć stworzenia form nowych, stąd kwestyonowanie form dawnych i niedbałe ich używanie, a to właśnie może sprawiać wrażenie upadku formy. Ostatecznym wnioskiem, do jakiego dochodzi krytyk, jest: że młodzi twórcy stanowią pokolenie niespokojne, które pragnie stworzyć sobie ideał, pod tym względem jednak nie powodzi mu się; następnie — że pokolenie to jest bardzo inteligentném, ale téż bardzo mało artystyczném. Należałoby najprzód określić: co mamy uważać za nieomylne znamię artyzmu, i wogóle, na czém artyzm polega, a potém dopiéro sąd swój o literaturze młodéj w ten sposób formułować.

III.

Doumic chwali literaturę „młodych" najczęściej nie za jéj pozytywne zalety i wartości, ale za negatywne. Tak np. symbolistów w poezyi uznaje głównie dlatego, że usiłują literaturze analitycznéj przeładowanéj rozumowaniem, ideą, „dokumentami ludzkiemi" i t. p., przeciwstawić twórczość bardziéj bezpośrednią i indywidualną. Naiwna, nawpół świadoma siebie naturalność utworów Maeterlinck'a np., jest dla niego przedewszystkiém pożądanym objawem reakcyi względem pretensyi téj literatury, która dążyła do tego, by stać się narzędziem doświadczeń i badań niby-naukowych (p. art. o Maeterlinck'u).

Zbyt „inteligentna" literatura nie zachwyca Doumic'a; twórczość, jego zdaniem, ugina się dzisiaj pod ciężarem: rozumowania, erudycyi, ścisłych analiz psychologicznych i t. p. pierwiastków intelektualnych; odbiérają one jéj swobodę, krępują polot i ogałacają z artyzmu. Niepodobają się mu np. dlatego „socyologiczne" utwory braci Rosny'ch, tych, z wielu względów pełnych intuicyi mistrzów, usiłujących odtwarzać duszę człowieka pierwotnego (art. o J. H. Rosny'm).

Dlatego również sceptycznie zapatruje się na zamiłowanie „młodéj" literatury, do subtelnych analiz psychologicznych, które w rezultacie nie dają nam lepszéj znajomości istoty ludzkiéj, owszem pojęcie nasze o niéj zaciemniają i gmatwają w sprzecznościach bez wyjścia (art. o G. D'Annunzio).

Że literaturze współczesnéj większa świeżość, naturalność i prostota nie zaszkodziłyby, o tém nie trzeba długo mówić, -- ale że współczesnéj umysłowości ludzkiéj trudno byłoby powrócić na to stanowisko, na jakiém stała przed kilkunastu wiekami, że niepodobieństwem jest dla niéj zapomniéć o tém, co doświadczenie rozumu zdobyło, a to tylko mogłoby jéj dawną b e z p o ś r e d n i o ś ć i ż y w o ś ć powrócić — tego także nie potrzeba dowodzić. W umysł współczesny idea tak się wżarła głęboko, tak organicznie z nim się zlała, że niepodobna jéj stamtąd wyrwać, bez uszkodzenia i wykoślawienia samego umysłu. Umysły są udręczone rozmaitemi myślami, zagadnieniami i pytaniami, które wymagają ciągłego rozumowania, na które bezpośrednim ruchem serca, wzruszeniem bezwiedném i t. p. zadawalniająco odpowiedziéć nie można; wyobraźnia,

obrazy zmysłowe nie rozstrzygną wątpliwości umysłu, wstawiennictwo idei jest nieodzowne.

Błędne to koło,—ale z niego nie wyjdziemy! Ociężałą i oschłą poniekąd staje się twórczość współczesna, nie wiadomo jednak czy powrót—sztuczny w dodatku—do naiwności pierwotnéj i bezpośredniości nieświadoméj siebie, nie byłby o wiele gorszy? — to pewna, żé objawy tego, już i teraz gniewają nas swoją wymuszonością i głupkowatą pozą. Do Homera powracać niepodobna. Krytyk francuski pragnie rzeczy niemożliwéj. Wszak literatura jest taka, jakiém jest życie, nasze zaś, współczesne jest bardziéj ideowém, t. j. koordynowaném na podstawie stanów świadomych ducha, wcielonych w instytucye społeczne, zwyczaje, etykiety i t. p., niż impulsywném; słowem, bardziéj jest zależne od analizy ducha, niż od syntezy ciała. Mechanizm psychiczny dzisiejszego człowieka stał się niezwykle złożony,—dawniéj o wiele był prostszy. Niegdyś podrażnieniu zewnętrznemu ducha odpowiadała natychmiastowa działalność; organizm wstrząśnięty nie rozważał, lecz działał gwałtownie, wyładowywał energię swoją błyskawicznie; dziś działanie następuje po wielu procesach otamowawczych, rozluźniających nieraz impulsywność natury naszéj. Nie organizm nasz cały wzrusza się obecnie, lecz raczéj m y ś l a m i w z r u s z a m y się dzisiaj. Ale i z takich stanów ducha prawdziwy twórca i artysta potrafi wydobyć treść do dzieł nieśmiertelnych (proszę porównać np. „Fausta” Marlowe'a z „Faustem” Goethe'go, różnica odmiennych stanów kultury ludzkiéj i związanéj z nią twórczości, wystąpi wyraźnie).

Ale gdyby nie było w literaturze dzisiejszéj téj pseudo-naukowości, którą Doumic potępia, gdyby nie było ścisłych analiz i przeładowania dzieł ideą, to nie byłoby także i literatury z „tendencyą moralną”, którą krytyk wielbi do tego stopnia nawet, że jednemu z jéj przedstawicieli, Ed. Rod'owi, przypisuje tyle i tego rodzaju zasługi, że gotów go ktoś na seryo traktować, jako odrodziciela powieści współczesnéj (p. „*Les Jeunes*”, szkic o Rod'zie).

P. Doumic popełnia tu jeszcze jeden ogólniejszéj natury błąd, wspólny zresztą krytykom-moralistom, upatrującym zbawienie literatury w jednym jakimś kierunku literackim. (Tak np. F. Brunetière, który nieraz jest źródłem natchnienia dla Doumic'a, nad literaturę francuską XVII wieku nie znajduje nic wspanialszego). Rod'a rozpatruje Doumic jako jednego z tych, co po 80-ym roku wszczęli reakcyę przeciwko naturalizmowi i pozytywizmowi w sztuce. Pozytywizm zaś i naturalizm—podług Doumic'a — są to kierunki, które zwracają główną uwagę na zewnętrzną stronę życia, nie uwzględnia-

jąc jego istoty. Naturalizm usunął ze sztuki zagadnienia, których rozwiązanie nie jest zawarte w faktach bezpośredniego doświadczenia; naturalizm zadawala się rzeczywistością natychmiastową, odrzuca duszę, istnieniu ludzkiemu zaprzecza celów wznioślejszych etc.: oto oklepanki zużyte, jakiemi Doumic szafuje. Nic więc dziwnego, że reakcyi przeciw-naturalistycznéj przyznaje za wiele zasług. Trzeba wreszcie pozbyć się tego rodzaju naiwnych i jednostronnych poglądów, gdy chodzi zwłaszcza o całe kierunki umysłowe, nie zaś o jednego człowieka lub jedno dzieło. Trzeba raz się zgodzić na to, że naturalizm „poprzestawał na rzeczywistości natychmiastowéj" i zadawalał się „faktami doświadczenia", ponieważ przedewszystkiém chodziło mu o poznanie zewnętrznych warunków istnienia ludzkiego, o zbadanie całokształtu przyczyn determinujących człowieka z zewnątrz; wszak to jest nie mniéj ważne, od badania ukrytych, wewnętrznych, niekiedy tajemniczych, nieprzeniknionych przyczyn życia duszy! Zacieśniamy zadania twórczości umysłu ludzkości, redukując ją do jednego tylko z powyższych sposobów poznawania życia. Miejmy także i to na względzie, że umysł ludzki znużony wnikaniem w ukrytą istotę rzeczy, zwraca się często naturalnym popędem, ku temu co jest dostępne zmysłom, zwraca się do zewnętrznéj strony życia; w niéj bowiem także mogą spoczywać przyczyny jego przekształceń i zmian ściślejszych. Mylą się ci, co naturalizm i idealizm przeciwstawiają wciąż sobie, rozmieszczają je na dwóch biegunach, co robią z tych kierunków nie dające się pogodzić antynomie; są to bowiem tylko kolejno następujące po sobie stany jednego ruchu myśli, ruchu rytmicznego, usiłującego objąć i wytłómaczyć całość zjawisk życia. Twórczość literacka odbywa wciąż ten ruch wahadłowy: od naturalizmu zwraca się ku idealizmowi, od tego znowu ku pierwszemu, i tak... bez końca.

Z powodu krytyk Doumic'a można, jak widzimy, nie jedną wszcząć dysputę, niepodobna nam jednak ze wszystkich pretekstów korzystać.

„Dekadentów chrześciańskwa" (artykuł o utworach Huysmans'a: „*A Rebours*" i „*En Route*") charakteryzuje Doumic trafnie. Są to dusze chciwe niezwykłych wzruszeń, zwracające się do wiary i religii w nadziei znalezienia w nich więcéj przyjemności, niż w indyferentyzmie. Użycie wyrafinowane leży w podstawie ich chrześciaństwa, a nie zaparcie się świata i miłość. Słusznie także analizuje D. subtelną zmysłowość tego rodzaju „dekadentów", poszukujących rozkoszy niepowszednich w idei grzechu. Tęsknota do wia-

ry jest, w tym wypadku, wyrazem żalu z powodu utraty możności używania.

Innego rodzaju „dekadentyzm" charakteryzuje Doumic w art. „Gloryfikacya energii". Nawoływanie do życia niekrępowanego regułami zmniejszającemi jego pełnię, do życia szczerego i zgodnego z wymaganiami instynktów natury ludzkiéj, jest oddawna znane literaturze. W imię tych haseł nieraz już twórczość literacka odradzała się korzystnie (dość tu wspomniéć o reakcyi J. J. Rousseau przeciwko sztucznéj literaturze XVIII w.). Obecnie nawoływanie to przybiéra charakter bardziéj krańcowy i bezwzględny. Stendhal wielbił — tak zw. przez niego — „dusze frenetyczne", będące wytworem gwałtowności instynktów, połączonéj z chłodną analizą rozumu: dusze owe odznaczają się niespożytą energią, gdy chodzi o zdobywanie sobie praw do życia i rozszerzanie jego zakresu. Są to dusze zaborcze, podporządkowujące sobie inne. Merimée, idąc śladem Stendhal'a, czcił także pierwotność instynktów natury ludzkiéj. jéj bezpośredniość, niepohamowanie i zdobywczość.

Ostatniemi czasy Barrès we Francyi, a filozof Nietzsche w Niemczech, wysunęli znowu ideał człowieka, zmierzającego do zaspakajania instynktów swoich, sposobami najbardziéj bezwzględnemi, wynoszącego się dumnie ponad cele ogólne, stawiającego „ja" własne ponad przepisy i zobowiązanie etyczne. Człowieka takiego przeciwstawiają wspomniani pisarze, dzisiejszemu człowiekowi kultury, upośledzonemu i ograniczonemu życiem sztucznêm na łonie współczesnéj cywilizacyi. Tutaj uwielbienie siły i wyzwalającéj się swobodnie energii indywidualnéj nabrało cech chorobliwych. Idea zwiększenia przyjemności i wyrwania z odrętwienia organizmów zwyrodniałych, niezdolnych do zwyczajnego odczuwania rozkoszy, wytwarza owo pragnienie powrotu do intensywnego, energicznego życia instynktów, niekrępowanych niczém. Wyobraźnie przenoszą się w owe epoki, kiedy ludzkość była mniéj zużytą, kiedy miała duszę świeżą, pierwotną, silnie czującą i używającą darów życia, bez żadnych trosk zatruwających przyjemność. Tęsknota do owych błogosławionych stanów i uwielbienie pierwotności natury ludzkiéj jest również wyrazem żalu za utraconą możnością używania i odczuwania rozkoszy istnienia. Zapomina jednak Doumic, że owa tęsknota może być także wyrazem bardziéj bezinteresownego zachwytu widokami bogatéj treści życia, rozwijającéj się energicznie i harmonijnie; życie upośledzone, nędzne, rozwijające się ślamazarnie, zadowolenia estetycznego nie budzi.

IV.

Inny tom krytyk poświęca Doumic „autorom dzisiejszym”, nienależącym wszakże do najmłodszego pokolenia. Znajdujemy tu studya o Bourget’cie, Guy de Maupassant’cie, Loti’m, z krytyków— o Faguet’cie, Brunetière’ze, Lemaitre’ze i t. p., o autorach słowem, których reputacya dostatecznie jest ustalona, którym ujemne nawet krytyki nie bardzoby mogły zaszkodzić w oczach ogółu czytającego. Jak „młodych” traktował Doumic bez szczególniejszéj wyniosłości, chociaż bez sympatyi szczególnéj, tak téż i wymienionych „autorów dzisiejszych”, zażywających w świecie rozgłośnéj sławy, traktuje bez osobliwszéj czołobitności, bez pochlebstw i urzędowych kadzideł. Niezależność krytyka zachowuje Doumic i w tym wypadku, widocznem jest jednak, że obcowanie z ludźmi „wyżéj” postawionymi, z umysłami wytrawniejszemi i talentami tworzącemi dzieła dobre, bez afektacyi, hałasu i zarozumienia o sobie, sprawia mu istotne zadowolenie i rolę krytyka, w oczach własnych, podnosi.

Studya o Bourget’cie i Maupassant’cie należą do najlepszych, jakie kiedykolwiek wyszły z pod pióra Doumic’a. Nie powiada nam krytyk nic nowego o tych dwóch odnowicielach powieści francuskiéj, na niektóre jednak strony ich twórczości rzuca światło niepozbawione oryginalności.

Bourget’owi poczytuje za największą zasługę, że, stosując sposoby używane przez filozofów, odnowił w powieści upodobanie do ścisłych studyów nad duszą ludzką i dorzucił ciekawy rozdział do nauki o niéj. Cóż to za rozdział, mianowicie?

Przypomnijmy sobie bohaterów powieści realistycznéj Balzac’a, Flaubert’a i t. p., a także utworów Zoli i jego naśladowców. Jaka jest ich psychologia? Najczęściéj są to jednostki ludzkie psychicznie dość jednolite, o silnych, całkowitych indywidualnościach, działające pod wpływem, wyraźnych, trwałych stanów ducha. Postaci balzakowskie np. są najczęściéj opętane jakąś jedną władzą ducha, jakąś żądzą silną, któréj cała ich duchowość jest podporządkowana. Naturalizm także upraszczał życie ducha, czyniąc je zależnem od paru instynktów elementarnych, wobec których wszystko to, co jest istotnem życiem duszy (uczucie, wzruszenie, myśl), abdykuje i milknie. U podstawy podobnéj psychologii spoczywało pojęcie o j e d n o ś c i „ja” ludzkiego. Psychologia Bourget’a opie-

ra się na zasadzie wręcz przeciwnéj, mianowicie na wielopostaciowości jaźni naszéj. „Ja” bohaterów Bourget’a jest luźne, chwiejne, rozbite na atomy; dusze ich są w rozkładzie, wiecznie niepewne siebie i niezdecydowane, dlatego że toczą w nich ustawiczną walkę rozmaite stany świadomości, nieraz zupełnie równe sobie, z których żaden nie staje się tą władzą naczelną, która podbija wszelkie inne i ducha całego obejmuje obręczą jedności. Tu właśnie duch ludzki, pozbawiony téj obręczy, jest niespójném skupieniem stanów psychicznych, istotą zbiorową i różnolitą, bogatszą wprawdzie w treść wewnętrzną, ale pozbawioną karności i niezdolną do energicznego działania. Wielopostaciowość staje się tu nieraz, skutkiem tego, bezkształtem i niewyraźnością. Postaci utworów Bourget’a cierpią najczęściéj na powyższy atomizm ducha. Myli się jednakże Doumic, przypisując Bourget’owi zasługę wprowadzenia do literatury typu „mózgowca”, cierpiącego z nadmiaru kultury umysłowéj, z wolą rozluźnioną analizą myśli, z jaźnią pokawałkowaną i niestałą. U Bourget’a typy podobne są bardziéj wykończone i noszą na sobie specyalne piętno epoki, literatura jednak XIX w. znała i przed nim tego rodzaju okazy ludzkie (nie szukając długo, choćby „Adolphe“ B. Constant’a).

Zgodzić się można natomiast z krytykiem, że mało kto potrafił pokazać z taką przenikliwością i wyrazistością, jak to uczynił Bourget, czém jest uczucie miłości, gdy się je ogołoci z tych złudzeń i omamień, jakiemi ludzkość przystraja je od wieków. W tym wypadku mistrzowstwo Bourget’a w istocie jest wielkie.

Niezrównanym analitykiem, nietylko uczucia miłości, ale wogóle życia — i to analitykiem-pesymistą — jest, podług Doumica, Guy de Maupassant. Analiza jego nadto pozbawiona jest pierwiastku subiektywnego, nigdzie nie zdradza osoby samego autora. W czasach powszechnego zrozpaczenia — są słowa krytyka — nikt lepiéj od Maupassant’a nie wykazał próżności wszystkiego i nie dał silniejszego wrażenia bezwzględnéj nicości. Nieubłaganie odziéra Maupassant życie z wszelkiego powabu, obniża wartość nadziei ludzkich tego wszystkiego, co podnieca energię życia, co jest celem jego. Im więcéj życie przeniknięte jest myślą, tém mniéj wartości posiada w oczach Maupassant’a. Ba! gdybyż odwieczna praca myśli ludzkiéj była tylko jałową! byłoby to jeszcze znośném. Ale ona to właśnie czyni istnienie nasze bolesném i obdarza nas przywilejem nieszczęścia. Maupassant ma wzgardę dla tych jednostek ludzkich, w których życie mózgu stłumiło życie pierwotnych instynktów natury. Sympatye jego zwrócone są do tych istot, które szukają

przeznaczenia swego i treści życia w dogadzaniu owym instynktom. Jednym z takich jest miłość, ale z uczucia tego czyni Maupassant najelementarniejszą żądzę cielesną, pozbawia je pierwiastków wyższych, ideowych, wszystko zaś czém człowiek usiłował opromienić to uczucie, nazywa pociągającą lecz wiotką tkanką, z samych kłamstw utkaną. Życie nie ma celu i sensu, wszystkie przyjemności kończą się niesmakiem i znużeniem. giną kształty piękne, żal w sercu po nich pozostaje, wszystko to zaś w końcu, objęte mrokiem wieczności, ginie bez śladu — w śmierci znajduje ostateczne rozwiązanie. Oto jest filozofia Guy de Maupassant'a, — prawdziwa niewątpliwie, ale niepotrzebnie Doumic w braku sympatyi dla ludzi, dla tego, co cierpi i ugina się pod ciężarem złego losu, widzi główne jéj źródło. Sympatyi téj nie brak w utworach Maupassant'a; nie trzeba wzgardy dla tego, co jest w życiu płaskie i śmieszne, mieszać z brakiem współczucia dla nędzy ludzkiéj. Ból chwytał Maupassant'a za gardło, dławił i uciskał pierś, goryczą i rozczarowaniem zalewał serce; śmierć nadto, jako niszczycielka najpotężniejszych wysiłków człowieka i dzieł jego, trwożyła go swym chłodnym, ponurym widokiem. Niedola jednak ludzka rozrzewniała Maupassant'a (*La vie errante*, *Sur l'eau*, *Fort comme la Mort*, *Une vie* i t. d.).

Ciekawém byłoby ustalenie stosunku zajmowanego przez Doumic'a względem krytyków sobie współczesnych, w ten sposób bowiem możnaby było okréślić bliżéj, czém jest on sam, jako człowiek danego zawodu; nie możemy jednak wiele miejsca temu poświęcić.

Nie lubi Doumic krytyki bez reguł i zasad, zdanéj na łaskę wrażliwości krytyka, jego kaprysów i zmiennych upodobań, jednakże Lemaitre'owi nie bierze tego za złe i, w talencie jego krytycznym, widzi same pociągające przymioty. Bardzo trafnie powiada o nim, że niezbyt ceni on tych, którzy tylko zewnętrzną stronę rzeczy odtwarzają i że czułości swoje zachowuje głównie dla tych, co w dzieła własne włożyli najwięcéj myśli i uczuć, najwięcéj uwag użytecznych o świecie i biegu życia. Lemaitre jest klasykiem, ponieważ lubi jasność, miarę, dobry smak etc., formę zaś uważa za rzecz drugorzędną; jest nim i dlatego jeszcze, że przywiązuje główną wagę do prawd ludzkich, zawartych w dziełach sztuki. Klasycyzm upodobań w połączeniu z modernizmem formy: oto przymioty charakteryzujące dzieła krytyczne Lemaitre'a. Jest on wzorem mądrości umiarkowanéj, ośmieszającéj i pobłażliwéj zarazem, ironicznéj i czułéj.

Podziwia Doumic niezależność myśli Faguet'a, którego zasadą w krytyce jest: „nic nie ukrywać" t. j. wyrażać poglądy własne zupełnie, w całéj ich sile i wyraźności; najwięcéj jednak zachwytów budzi w Doumic'u niewzruszoność zasad F. Brunetière'a. Tego krytyka podziwia od stóp do głów, nie omylimy się więc, gdy powiemy, że jest dla niego ideałem, zbiorowiskiem cnót krytycznych, paladynem krytyki.

Podziwia Brunetière'a p. Doumic i za to, że ma on najwięcéj wrogów, rekrutujących się ze wszelkich sfer, i za to także, że sobie nic z nich nie robi; podziwia jego zapał wojowniczy, gwałtowność z jaką napada na wrogów, dogmatyzm, pedantyzm, swarliwy humor—słowem wszystko. To rzecz gustu! Dziwném jednak wydaje się nam to tylko, że Doumic, tak pięknie mówiący o powabach krytyki Lemaitre'a płynących z żywéj i kapryśnéj wyobraźni, z usposobień lekkich pozbawionych oschłości i pedantyzmu, potrafi uwielbiać Brunetière'a za przymioty wręcz przeciwne — za surowy pedantyzm właśnie i butę, rzekłbyś: barona feudalnego broniącego zawzięcie zmurszałych wieżyc swego zamku.

W tomie krytyk poświęconym „teatrowi współczesnemu," znajdujemy głównie oceny wybitniejszych sztuk teatralnych, które w ciągu paru lat ostatnich wystawiane były na scenach paryskich, a także większe studyum o teatrze Dumas'a (syna) wyróżniające się gorącą obroną jego twórczości, wywołaną napaścią „młodych" na autora „Damy kameliowéj". Nad tém jednak zastanawiać się już nie będziemy.

Przegląd kilku powyższych tomów studyów krytycznych Doumic'a zamykamy następującym sądem o ich autorze:

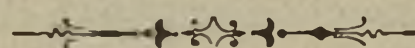
Krytykę uważa Doumic, za wysiłek ludzi dobréj woli, zmierzający do wykrycia prawdy i zwiększenia pewności myśli; dlatego ma o zawodzie krytyka wysokie mniemanie i sobie samemu narzuca w téj mierze surowy obowiązek: mówienia przedewszystkiém prawdy, nie krępując się żadnemi względami. Doumic przedmioty krytyki traktuje poważnie, nie uchyla się od dyskusyi gruntownéj, nawet z tymi, których w głębi duszy nieco lekceważy; nie wynika to z naturalnéj sympatyi dla wszelkich objawów twórczości ludzkiéj,— gdyż D. małą posiada zdolność przenikania w istotę umysłów odmiennych od swego—lecz z upodobania do polemiki i przyjemności, jaką znajduje w rozumowaniu. Oryginalnym w krytykach swoich nie jest, chociaż na samodzielności w poglądach mu nie zbywa; przenikliwym zbytnio także nie jest, rzeczy jednak odrazu dla siebie niezrozumiałych nie pomija, lecz stara się je pojąć i dochodzi do ich

zrozumienia, za pomocą powolnego, systematycznego myślenia. Rodzaj krytyk Doumic'a nie porwie nas świetnością stylu, werwą i paradoksalnością myśli, nie rozentuzyazmuje do dzieł umysłu ludzkiego, potrafi jednak, w wielu wypadkach, uchronić przeciętnego czytelnika od bezkrytycznego zaprzątnięcia się dziełami wątpliwej wartości, które moda tylko, zniecierpliwiona pogonią za nowością, ustawia w pierwszych szeregach w celu zwabienia wałęsających się bez celu przechodniów. Krytyki Doumic'a nie mają w sobie nic imponującego, nie są jednak bez pożytku, dla tych zwłaszcza, którzy samodzielnie z trudem mogliby się oryentować w pstréj i ruchliwéj masie dzieł ludzkich, obecnie wytwarzanych.

Wł. Jabłonowski.



TEORYA PRODUKCYI BOGACTW.



I.

Liczba ludzi zamieszkujących ziemię, a zwłaszcza niektóre jéj strony, wzrasta zbyt szybko, aby mogli się oni zadawalniać tą ilością bogactw, jaką sama natura dobrowolnie im dostarcza, pominąwszy nawet to, że człowiek w swym rozwoju superorganicznym odczuwa potrzeby, których natura choćby najbogatsza zadowolnić nie jest w stanie; aby jéj wydrzéć to tylko, co mu jest do zwykłego życia zwierzęcego niezbędnie potrzebne, musi człowiek staczać z naturą codzienną i ciągłą walkę: gdyż na każdym kroku grozi mu od niéj zagłada, musi szukać wciąż środków, aby ją ujarzmić, naginając do swoich celów, musi się starać za pomocą władz swego umysłu przenikać owe stałe i bezwzględne prawa, które rządzą jéj zjawiskami, aby kierować owemi prawami z jaknajwiększą dla siebie korzyścią, przeciwstawiając je jedne drugim. Walka ta człowieka z naturą, mająca na celu zaspokojenie jaknajwiększéj ilości ludzkich potrzeb, nosi w języku ekonomicznym nazwę produkcyi bogactw.

Wiadomo, że człowiek nie jest w stanie nic stworzyć, nie może on powiększyć istniejącéj ilości, ani materyi, ani siły, to téż wyrażenia „produkcya", dosłownie brać nie należy, nie jest ona tworzeniem w ścisłém tego słowa znaczeniu; człowiek może jednak posługiwać się siłami, których mu natura dostarcza, aby materyę urabiać i modyfikować

w ten sposób, aby jéj nadawać jaknajwięcéj własności utylitarnych, doprowadzić do takiego stanu, żeby mogła oddawać jaknajwiększą ilość usług i być z łatwością przez człowieka asymilowaną. Tak więc produkcya jest nadawaniem użyteczności i zasadza się nie na tworzeniu, lecz na przetwarzaniu materyi i siły, czyli naturalnych bogactw z ostatecznym, celem utylitarnym, wszelkie zaś produkty przemysłu noszą równie nazwę bogactw, lecz o tyle tylko, o ile celowi temu odpowiadają i służą do zaspakajania rzeczywistych, racyonalnych potrzeb ludzkich, gdyż w przeciwnym razie noszą w nauce nazwę bogactw fałszywych, a produkcya ich nie wzbogaca społeczeństwa, lecz je uboży i rujnuje.

Powiększając za pomocą pracy i kapitału, niemal do nieskończoności pożytek, jaki człowiek może mieć z dostarczanych mu przez naturę bogactw, nietylko zapewnia on sobie i ułatwia zaspakajanie swych potrzeb materyalnych, ale wszelki postęp intelektualny i moralny znajduje się w zupełnéj zależności od wzrostu produkcyi bogactw materyalnych. Jedynie mając zaspokojone fizyczne, zwierzęce swe potrzeby i mogąc zapomnieć, że je odczuwa, że przykuwają one ciało jego do ziemi, może człowiek zapomnieć o skromném swém pochodzeniu, wznieść się umysłem wysoko ponad pokrewny mu świat zwierzęcy i dążyć do coraz większéj niezależności duchowéj i duchowego udoskonalenia, gdyż tylko przy odpowiednich i sprzyjających warunkach materyalnych staje się ono możliwe. Dlatego też losy ludzkości były i będą zawsze ściśle związane z produkcyą, z ilością i jakością bogactw dostarczanych konsumcyi, oraz tych, które za pomocą oszczędności, a pod postacią kapitału, jedno pokolenie przekazuje następnemu; od wzrostu produkcyi będzie również zależéć polepszenie bytu klas uboższych pracujących fizycznie, rozwiązanie tak zwanéj kwestyi socyalnéj, czyli usunięcie niezgody przy podziale bogactw, wszystkie inne środki, zmierzające do osiągnięcia tego celu są i pozostaną nadal złudzeniem.

Produkcyjna działalność człowieka zasadza się, jakeśmy to powiedzieli, na walce z naturą, na walce nietylko odpornéj, lecz i zaczepnéj, a wychodzi on z niéj zwycięsko i czyni wciąż nowe i coraz znaczniejsze zdobycze. Nie zawsze jednak tak było, długie wieki minęły zanim zdołał się on podźwignąć z pierwotnéj bezsilności; dopóki znajdował się bezbronny wobec otaczających go sił przyrody, starania jego i wysiłki zaledwie zdołały uchronić ród ludzki od zagłady; postęp ekonomiczny ma początek dopiéro od ukazania się kapitału, jest on po bogactwach naturalnych i pracy, trzecim z kolei, a niezbędnym czyn-

nikiem produkcyi przemysłowéj, nad każdym z nich zatrzymamy się dłużéj, aby lepiéj ocenić ich doniosłość.

Obok bogactw materyalnych, czyli przedmiotów użytecznych, istnieją jeszcze bogactwa niemateryalne niewidoczne dla oka, które niemniéj służą człowiekowi, odpowiadają jego potrzebom i zadawalniając je, oszczędzają mu cierpień; są to bogactwa umysłu ludzkiego, które przybierają postać usług i odgrywają w społeczeństwach coraz ważniejszą rolę. Niemateryalne bogactwa podlegają tym samym prawom ekonomicznym, co i bogactwa materyalne, a produkcya ich wymaga równie współdziałania trzech powyżéj wymienionych czynników. Różnica polega na tém, że gdy w produkcyi bogactw materyalnych czynnik naturalny znajduje się zewnątrz człowieka, pod postacią materyi i sił przyrody, w produkcyi bogactw niemateryalnych, czynnika naturalnego musi człowiek szukać w sobie samym, we władzach swojego umysłu, musi je urabiać i wzbogacać, modyfikować i rozwijać; czynnik naturalny i praca mieszczą się wtedy w jednéj i téj saméj osobie, dlatego téż produkcya bogactw niemateryalnych nosi zwykle nazwę p r a c y n a d s o b ą s a m y m; nie należy jednak zapominać o tém, że i trzeci czynnik jest tu niezbędny: bez kapitału, bez nakładu i pomocy najpiękniejsze zdolności umysłowe i największa wytrwałość rozbijają się o napotykane przeszkody.

II.

Cała ilość materyi, jaką człowiek rozporządza i konsumuje, bywa dostarczaną przez bogactwa naturalne; mogą one być podzielone na dwie odrębne kategorye, na naturę martwą, bierną, która człowiewiekowi żadnego nie stawia oporu i na siły przyrody, które nie są mu uległe, lecz często groźne i wrogie, potrzebują być zwalczane i ujarzmiane. Natura martwa oddaje człowiekowi skarby swoje bez walki, wymaga z jego strony wysiłków, lecz z łatwością opanowana być może, a był czas, że na równi ze zwierzętami czerpał on z niéj prawie wyłącznie środki swego istnienia; inaczéj z siłami przyrody: narażają one człowieka na ciągłe niebezpieczeństwa, znajduje się on w ciągłéj od nich zależności, co chwila ostrzegany jest cierpieniem, że życie jego jest przez nie zagrożone, to téż wszystkie swe zdolności i wysiłki zużywa człowiek, aby siły te opanować lub przynajmniéj ustrzedz się zabójczego ich działania. Nie zawsze i nie wszędzie udawało mu się to nawet w części, jedynie w strefach umiarkowanych mógł człowiek zapanować nad otaczającą go naturą, a wszystkie wielkie cywilizacye,

czyli ogniska postępu, które znaczą w dziejach świata, w strefach umiarkowanych biorą swój początek i rozwijają się. Ani temperatura podbiegunowa, ani podzwrotnikowa, ani natura zbyt uboga, ani zbyt bujna i bogata, nie są żywiołami, pośród których rodzaj ludzki znajduje sprzyjające dla siebie warunki istnienia; zbyt trudne warunki materyalne, jak i zbyt łatwe, stają na przeszkodzie udoskonalaniu się człowieka, tak jedne jak i drugie zabijają w nim energię do czynu, jak tego dowiódł Buckle co się tyczy pierwotnego człowieka, na podstawie swych badań historycznych.

Na zasadzie świadectw historyi, a nawet zwykłéj obserwacyi, można zastosować rozumowanie Bucle'a i do człowieka cywilizowanego, gdy chodzi o określenie stosunku warunków zewnętrznych do jego udoskonalenia i produkcyjności pracy. Najwyższego stopnia wysiłku umysłowego i fizycznego nie daje on wtedy, kiedy ma zaspokojone wszystkie potrzeby, kiedy niczego nie pragnie oprócz nowych sztucznych wrażeń, ani gdy trudne materyalne warunki, codzienne i nieustające troski o środki bytu dla siebie i rodziny przygniatają go swym ciężarem, lecz wtedy, gdy zachęcony dodatniemi rezultatami swych wysiłków i starań, a mając przed sobą cel, do którego dąży, ma zarazem dosyć sił i zapału, aby pokonywać opór, jaki napotyka.

III.

Drugim czynnikiem produkcyi bogactw jest sam człowiek, czyli własna jego praca; był czas, że zajmowano się bardzo wiele pytaniem, który z czynników produkcyi jest ważniejszy: praca, czy bogactwa naturalne, jedni, jak fizyokraci, utrzymywali, że jedyném źródłem bogactw jest natura, drudzy, a na ich czele Ricardo, przypisywali jéj nieznaczną i podrzędną rolę w produkcyi, stawiając pracę na pierwszém miejscu; dopiéro John Stuart Mill zwrócił uwagę, że ta kwestya jest małéj wagi i że rozstrzygnąć jéj nie można, gdyż obadwa te czynniki są równie niezbędne a jeden bez drugiego nie posiada żadnego znaczenia ekonomicznego.

Wszelka praca musi się zawsze składać z dwóch różnéj natury pierwiastków, fizycznego i moralnego (umysłowego), pracy muskułów i pracy mózgu; pierwszy mieści się w wysiłku zewnętrznym, objawy zaś jego widome, dotykalne przybiérają kształty; drugi tkwi w wysiłku wewnętrznym, ukrytym dla oka, wyrażającym się nie funkcyą muskułów, lecz natężeniem myśli. Innemi słowy: każda bez wyjątku praca

wymaga głowy, któraby dawała rozkazy, oraz rąk, któreby rozkazy owe wykonywały.

W niektórych rodzajach pracy dwoistość ta i różnorodność w naturze jéj pierwiastków, bardziéj bywa widoczna i w pewnéj znajduje się równowadze; są jednak zajęcia, w których pierwiastek umysłowy, zredukowany do *minimum*, uchodzi uwadze powierzchownego badacza, oraz inne, w których pierwiastek fizyczny znika pozornie zupełnie, a pierwiastek umysłowy zdaje się stanowić sam jeden całą treść i istotę pracy. W rzeczywistości jednak tak nie jest; pomimo że często spotykać można określenia praca fizyczna i praca umysłowa, które są jedno drugiemu przeciwstawiane i zdają się wzajemnie wykluczać, żadna z nich, w jednym i tym samym osobniku, samodzielnie bez pomocy drugiéj, istniéć nie może; nie ma pracy muskułów, która by się mogła obejść bez pomocy umysłu, ani pracy umysłowéj, któréjby nie towarzyszyły zewnętrzne objawy fizyczne, a przynajmniéj wewnętrzne funkcye fizyologiczne. Stosunek jednéj pracy do drugiéj może być rozmaity, jedna może nad drugą przeważać, lecz nigdy nie wykluczają się one, ściśle są ze sobą związane i wzajemnie się uzupełniają.

Jednakże podział pracy, przeniknąwszy do saméj jéj istoty, narusza coraz więcéj równowagę pomiędzy fizycznym a umysłowym pierwiastkiem pracy, różniczkując je do ostatecznych granic; dzieje się to zawsze ze szkodą organizmu, zwłaszcza jeżeli ten ostatni pierwiastek bierze przewagę i prawie wyłącznie treść pracy stanowi. Higiena stara się zaradzić złemu, zalecając ludziom przeciążonym pracą umysłową, ćwiczenia ciała, ruch i zmęczenie fizyczne; podział pracy mechanicznéj i jéj specyalizacya nie przytępia inteligencyi i nie przynosi złych rezultatów, których się obawiano; „co się stanie z robotnikiem, który będzie całe życie robił łebki od szpilek!” wołali przeciwnicy podziału pracy, otóż doświadczenie pokazało, że niczém się oni nie różnią od swych towarzyszy.

Z wyjątkiem przemysłu rolnego, prawie we wszystkich gałęziach produkcyi, widziéć można stałe dążenie do oddzielania fizycznego pierwiastku pracy od umysłowego i doześrodkowywania ich w jednych i tych samych jednostkach, kierownikach lub wykonawcach; jest to charakterystyczną cechą nowoczesnego przemysłu, skutkiem ulepszeń technicznych i objawem ze wszech miar pożądanym, ze względu na potężny wpływ, jaki wywiera na podniesienie produkcyjności pracy ludzkiéj; posiada on jednak pomimo to licznych przeciwników, gdyż się sprzeciwia zasadzie równości bezwzględnéj. Próbowano nawet prowadzić współdzielcze przedsiębiorstwa przemysłowe, nie stosując się do praw ekonomicznych, lecz zgodnie z ową zasadą, w któ-

rychby dwa pierwiastki pracy nie były różniczkowane, kierujący byli równocześnie wykonawcami a wykonawcy kierującymi. Przedsiębiorstwa takie nie posiadały warunków istnienia i jak to łatwo można było przewidzieć, trawione anarchią, musiały upaść.

Jakąkolwiek postać przybierze praca, czy będzie w niéj przeważał pierwiastek fizyczny czy umysłowy, zawsze wymagać ona będzie wysiłku, związanego z przymusem i przykrością, która w warunkach zwykłych, normalnych, bywa przez człowieka unikaną. Z alternatywy wysiłku, na jaki go dana praca naraża i z niezaspokojonych potrzeb, któreby mógł za pomocą pracy téj zadowolnić, wybiera on zawsze mniejsze cierpienie, mniejsze złe, a raczéj to, co mu się niém być wydaje. Natura celu, jaki człowiek pragnie osiągnąć, wzniosłe dążenia, zamiłowanie do danego zajęcia oraz jeszcze inne względy mogą czasem zmniejszać i zacierać przykrości towarzyszące pracy, ale sam wysiłek, zwalczanie oporu, istnieje zawsze i nic go zastąpić nie może, czy będzie on zewnętrzny i widoczny, jak przy pracy fizycznéj, czy téż wewnętrzny i ukryty, jak przy pracy umysłowéj. Dlatego téż człowiek dążył zawsze i nadal do tego dążyć będzie, aby pracując otrzymywał jaknajwiększe rezultaty kosztem jaknajmniejszych wysiłków; jest to jeden z najbardziéj charakterystycznych, naturalnych objawów instynktu samozachowawczego, znany w nauce pod nazwą prawa ekonomii sił.

Działanie prawa ekonomii sił rozmaite przybiéra kształty, wynikiem jego w sferze zjawisk ekonomicznych jest dążenie do zwiększania produkcyjności pracy ludzkiéj, czyli jéj siły wytwórczéj; instynktownie stara się człowiek o to, aby z jednéj strony zmniejszać wysiłek, kosztem którego zaspakaja swe potrzeby i unika nieodłącznych od nich cierpień, z drugiéj zaś zwiększać o ile może rezultaty tego wysiłku. Dążeniu temu winna ludzkość wszelki wzrost produkcyi, dzięki któremu coraz większa ilość potrzeb może być zaspokojona.

Oprócz przyrody i jéj sił, które, jakeśmy to powiedzieli, mogą być człowiekowi mniéj lub więcéj sprzyjające, istnieją jeszcze liczne warunki natury społecznéj, mogące wpływać dodatnio lub ujemnie na stopień produkcyjności pracy, należy do nich zaliczyć: właściwości i zdolności rasowe, wierzenia religijne, formy prawne, instytucye polityczne, zasady moralne a przedewszystkiém inteligencya czyli zdobycze naukowe, wolność pracy oraz jéj podział.

Dopóki prawo ekonomii sił działając automatycznie ograniczało się na odruchach i nie wyszło po za granice instynktu, przynosiło ono rezultaty nieznaczne i krótkotrwałe, które dopiéro wtedy zaczęły się utrwalać i wzrastać, gdy z rozwinięciem się w jednostkach świadomo-

ści zostało ono poparte i pokierowane inteligencyą i wiedzą. Jeżeli w pracy saméj jako wysiłku, nie zważając na stopień jéj produkcyjności, główną rolę odgrywa siła muskułów, to gdy chodzi o tę produkcyjność, należy przedewszystkiém mieć na uwadze wewnętrzy, umysłowy pierwiastek pracy. Wszelki wysiłek fizyczny ściśle jest ograniczony, natężenie muskułów człowieka nie może przekroczyć pewnego określonego *maximum*; to téż cały wzrost produkcyjności pracy, wszelki postęp ekonomiczny, stojący w jakimkolwiek z nią związku, należy przypisać wewnętrznéj pracy człowieka nad sobą, czyli siłę jego umysłu, która wzrasta bezustannie. Umysł zaś, jak widzimy, obejmuje coraz szersze widnokręgi i jakkolwiek nie przeniknie nigdy całkowicie ciemności, które go otaczają, ale wciąż je w koło siebie rozpraszać będzie, co mu pozwoli określać z coraz większą dokładnością miejsce, jakie człowiek w naturze zajmuje. Jedynie oceniając w świetle rzeczywistości stosunek swój do zjawisk natury, poznaje człowiek samego siebie, wié jakie są jego potrzeby i do czego dążyć powinien. Wszelki postęp, a więc i postęp ekonomiczny zależy téż przedewszystkiém od znajomości praw natury, od dokładnego zrozumienia jéj zjawisk i ich wzajemnego stosunku; w produkcyi zasadza się on na umiejętném kierowaniu pracą, na najkorzystniejszém wyzyskiwaniu i użytkowaniu wysiłków muskularnych, które odgrywają wobec kierującéj niemi myśli pracującéj rolę narzędzi mechanicznych, pożytecznych i niezbędnych, lecz czerpiących z niéj całą swą siłę i żywotność. Będąc świadomym celów, do których dąży, i wiedząc jakiemi środkami najłatwiéj cele te osiągnąć może, nadaje człowiek swojéj działalności kierunek pozwalający mu zaspokoić coraz większą ilość rzeczywistych swoich potrzeb.

Aby jednak wysiłki i starania człowieka nie były bezowocne albo nie szły w znacznéj części na marne, musi praca jego być wolną, czyli postawioną w normalnych warunkach społecznych bez ścieśnień i innych ograniczeń z wyjątkiem zasady słuszności, czyli równéj wolności innych ludzi. Wolność taka winna się stosować do wszystkich postaci, jakie praca przybiera jakotéż i do form prawnych, które jéj dotyczą i są z nią związane, gdyż te bezpośrednio lub pośrednio zawsze silnie oddziaływają na jéj produkcyjność. Dlatego téż określenie „w o l n o ś c i p r a c y" zawiéra w sobie nie jedną ale kilka wolności, jako to: 1) wolność w wyborze rodzaju zajęcia, 2) wolność posiadania, 3) wolność umowy, 4) wolność kapitału, 5) wolność zamiany, a każda z nich jest sankcyą pewnéj grupy zasadniczych dążeń i potrzeb naturalnych człowieka, z których się składa jego życie społeczne i ekonomiczne.

Sto lat mija dopiéro, jak wolność pracy, przyjęta przez prawodawstwa, stała się zasadniczą formą dzisiejszéj organizacyi ekonomicznéj, jak usunięte zostały główniejsze zapory legalne, stawiane swobodnemu działaniu prawa ekonomii sił, a pomimo licznych ograniczeń, jakim podlega jeszcze praca w wielu prawodawstwach, dodatnie wyniki téj zmiany, pod postacią wzrostu produkcyi zbyt są widoczne w przeciągu ubiegłego stulecia, aby potrzeba je było wykazywać. Wolność jest brakiem przeszkód, jest czynnikiem negacyjnym produkcyjności pracy i dla tego bywa prawie zawsze wykluczany z rzędu przyczyn, którym przypisują świetny rozwój przemysłu naszego wieku; para, elektryczność, ulepszenia techniczne, środki komunikacyi zabiérają wszystkie laury, gdy doniosłość wolności pracy, będącéj źródłem postępu ekonomicznego, nie miewa ogólnego uznania. Tak naprzykład klasa robotnicza, która niezaprzeczenie jéj jest winna polepszenie swéj doli i swego bytu, otwarcie i zawzięcie przeciwko niéj walczy; ten objaw zaślepienia występuje z największą siłą w zachodniéj Europie, robotnicy tamtejsi wprowadzeni w błąd niemogącemi ziścić się obietnicami i nadziejami, niszczą własnemi rękoma z takim trudem uzyskaną przez praojców wolność pracy i nie wahają się nadstawiać karków pod tyrańskie jarzmo socyalizmu.

Pomimo że przemysł współczesny rozwinął się dzięki wolności pracy i z niéj czerpie swą potęgę, spadek po wiekach pracy przymusowéj ciąży jeszcze na społeczeństwach nowożytnych pod postacią ceł ochronnych, ograniczeń produkcyi oraz przeróżnych kombinacyi filantropii państwowéj, to téż i dziś jeszcze przesądy ekonomiczne i polityczne są powodem, że niezmierna ilość sił, zamiast być kierowaną zgodnie z prawem ich ekonomii, bywa zużywana przeciwko temu prawu i ulega bezowocnemu i nieprodukcyjnemu zniszczeniu. Najszkodliwszym z tych przesądów jest żądanie poparcia i opieki dla „pracy narodowéj” dla „przemysłu krajowego; nie bacząc na to, że praca jako wysiłek nie jest celem lecz środkiem i że nie powinno chodzić o popieranie saméj pracy (któréj przeciwnie należy unikać), lecz o jéj rezultaty i owoce, większość prawodawców sądzi, że oddają społeczeństwom usługi gdy przeszkadzają zamianie międzynarodowéj, zmuszają do kosztowniejszéj produkcyi, czyli do znaczniejszych ofiar i wysiłków, byleby nie pozwalać na konsumcyę produktów „obcego pochodzenia”, a to w imie jakiegoś źle zrozumianego i szkodliwego patryotyzmu. Zwiększać w społeczeństwie pracę i nieodłączne od niéj cierpienia bezskutecznie i narażać je prócz tego na marnotrawstwo bogactw naturalnych, jestto skazywać je po części na „pracę Penelopy,” która jak słusznie zauważył Chevalier, pomimo że nie przestanie nigdy

świécić w historyi wierności małżeńskiéj, pięknym przykładem, jednakże nie byłaby mogła domu utrzymać ze swojéj pracy i musiała miéć inne jeszcze źródła dochodu.

Przez podział pracy, wogólném tych słów znaczeniu, należy rozumiéć zjawisko, którém się zajmują zarówno nauki przyrodnicze jak i nauki społeczne, a zasadzające się na ciągłém wykonywaniu jednéj i téj saméj funkcyi, czy to przez tę samą komórkę w organizmie zwierzęcym, czy téż przez tego samego człowieka, ową komórkę społeczną, w społeczeństwie. Już w starożytności Plato w swéj „Rzeczypospolitéj“, Arystoteles w „Polityce” i inni, zwrócili uwagę na podział pracy w społeczeństwie, dopiéro jednak Adam Smith poddał go ścisłemu badaniu naukowemu, wykazał jego znaczenie i skutki, przykład zaś zaczerpnięty z fabrykacyi szpilek, którego użył, aby objaśnić i uprzystępnić swe dowodzenie, stał się klasycznym. Adam Smith dzieli skutki podziału pracy na trzy grupy: 1) rozwija on w robotnikach zręczność i wprawę, 2) zaoszczędza czas, który muszą tracić na przechodzenie od jednego zajęcia do drugiego, nazywany przez Francuzów *le temps de la mise en train*, 3) doprowadza do wynalezienia narzędzi, maszyn i do ulepszeń technicznych. Klasyfikacya ta została uzupełniona dwoma spostrzeżeniami, które uczynił Babbage: 1) zastosowanie podziału pracy zmniejsza czas potrzebny na wyuczenie się jakiegoś rzemiosła, gdyż czyni wystarczającém przyswojenie sobie pewnéj określonéj czynności, kiedy inne operacye, wchodzące w zakres danego rzemiosła, mogą pozostać nieznane. 2) w rzemiosłach, w których każda czynność wymaga różnego rodzaju i stopnia zręczności i siły, podział pracy pozwala zastosowywać do każdéj z nich potrzebną zręczność i siłę, nie przeciążając jednych i nie marnując czasu i zdolności drugich, co wpływa na znaczne zmniejszenie kosztów produkcyi, na obniżkę cen a tém samém na wzrost konsumcyi.

Podział pracy umysłowéj, czyli specyalizacya, nie mniejsze posiada znaczenie i tutaj zaoszczędza on wysiłek i pozwala na użycie go produkcyjniéj; skombinowany z wolnością pracy podział jéj otwiéra dla myśli ludzkiéj niezmierzone horyzonty. Im więcéj w pracy przeważa pierwiastek umysłowy nad fizycznym, tém różniczkowanie zdolności i upodobań szybciéj, łatwiéj się odbywa i głębiéj sięga; władze ludzkiego umysłu, gdy żadne sztuczne przeszkody nie są im stawiane, tam się kierują, gdzie je skłaniają naturalne ich własności, normalne warunki i gdzie najswobodniéj mogą się rozwijać, unikając trudnych lub niemożliwych do zwalczenia przeszkód. Podział pracy dotyczy przeważnie stosunku ludzi jednych do drugich i na nim to opiéra się zasada solidarności, ten czynnik społeczny pierwszorzędnego znaczenia;

przy współdziałaniu i wspólnéj pracy, ludzie organizują swe wysiłki i kierują niemi, mając na uwadze jeden i ten sam wspólny cel, czyli wspólność interesów, które to zjawisko ekonomiczne i w etyce ważną odgrywa rolę, jako jedna z najsilniejszych podstaw miłości chrześciańskiéj. Ten wspólny cel osiągają oni najłatwiéj, kiedy umieją ocenić różnice swych sił i zdolności, powierzając każdemu właściwą funkcyę i naznaczając mu odpowiednie miejsce: „*the right man in the right place.*"

IV.

Ostatnim z trzech czynników produkcyi jest kapitał, w zwykłym języku codziennym, określenie to obejmuje jedynie sumy pieniężne, oraz papiéry wartościowe, które je bezpośrednio reprezentują, ścisłe jednak naukowe określenie jest inne, a w ekonomii politycznéj nazwę tę nosi wszelki rezultat pracy ludzkiéj, mający być użyty do nowéj, dalszéj pracy, a więc narzędzia, maszyny, zakłady przemysłowe, zwierzęta domowe i t. d.; to téż znaczenie wyrazu kapitał jest daleko szersze, aniżeli mu ogół zwykle przypisuje, obejmuje on wszystkie wyprodukowane bogactwa, nie przeznaczone na natychmiastowe zużycie, lecz pozostawione na przyszłość jako pomoc i zapas sił, a te kilka słów powinny wystarczyć, aby zrozumiéć doniosłość, jaką kapitał posiada w społeczeństwie. Tak jednak nie jest, kapitał należy do zjawisk ekonomicznych błędnie pojmowanych i źle ocenianych, wynika z tego, że wszystkie prawie związane z kapitałem kwestye społeczne, przedstawiają się ogółowi w fałszywém świetle, dlatego téż John Stuart Mill przypisuje większą część przesądów i błędów ekonomicznych złemu zrozumieniu istoty kapitału.

Wszelki kapitał jest bogactwem, ale bogactwem, mającém pewne, ściśle określone przeznaczenie; tak jak wszystkie inne bogactwa może on służyć do natychmiastowego zaspokojenia potrzeb ludzkich, ale w takim razie ginie, traci zasadnicze swoje cechy, przestaje istniéć jako kapitał jest skonsumowany i już człowiekowi daléj służyć nie może. Późniejsze generacye mogą tylko z takich bogactw korzystać, które zostały użyte z celem, aby im służyć za pomoc w pracy, a więc z bogactw skapitalizowanych, od nich to zależy postęp ekonomiczny i materyalna potęga człowieka; bez kapitału znalazłby się on wobec natury nędzny i bezbronny, tak jak przedhistoryczni jego przodkowie; człowieka takiego nie umiemy sobie dziś wystawić, chyba jeden Labruyère może nam dać o nim przybliżone pojęcie w przesadnie czarnym obrazie współczesnego mu chłopa francuskiego, jaki nam pozostawił.

Antagonizm i niezgoda, istniejące pomiędzy kapitałem a pracą, są bezpodstawne i wynikają z powierzchownych nieporozumień, nie zaś ze sprzeczności interesów, a praca bez kapitału, jak kapitał bez pracy, obejść się nie mogą. Kapitał dostarcza pracy tym, którzy jéj poszukują; „wzrost kapitałów — powiada Sismondi — jest najsilniejszym bodźcem do pracy, czy to dlatego, że wzrost ten pociąga za sobą wzrost dochodów, a tém samém środków konsumcyi, czy dlatego, że kapitały o tyle tylko przynoszą swym właścicielom korzyści, o ile są użyte, co zmusza kapitalistów do wyszukiwania wciąż nowych gałęzi produkcyi.” Wystarcza porównać kraje obfitujące w kapitał z krajami, które go są pozbawione, aby zobaczyć wpływ jego na dobrobyt i na produkcyjność pracy.

Say przyznaje się, że nie rozumié, jakim sposobem mógł powstać pierwszy kapitał, gdyż wymagał on poprzedniego istnienia jakiegoś kapitału, wątpi nawet, czy danèm będzie kiedy człowiekowi przeniknąć tę tajemnicę, obecnie rozwiązanie tego zadania nie przedstawia trudności; kapitał powstaje z oszczędności i zawsze z oszczędności, do jakiéjkolwiek epoki zwrócimy się myślą; dopóki człowiek był zmuszony zużywać cały czas, jakim rozporządzał, na wyszukiwanie sobie pożywienia i zaspakajania niezbędnych potrzeb, wszelka kapitalizacya była niemożliwa, dopiéro kiedy mu się udało, zaspokoiwszy głód, miéć chwilę wolnego czasu i gdy doszedł do odpowiedniego stopnia umysłowego rozwinięcia, mógł się zaopatrzyć w narzędzia z drzewa, kości lub kamienia, co jest, jak wiadomo, pierwotną postacią kapitału. „Produkuję przez jeden dzień — powiada Emil de Laveley — tyle, że mi to wystarcza na trzy dni i korzystam z dwóch dni wolnego czasu, aby sobie zrobić szpadel, który mi pozwoli wydobyć z ziemi więcéj produktów w krótszym przeciągu czasu. Będę miał tym sposobem jeszcze więcéj czasu do rozporządzenia i łatwiéj mi będzie dojść do nowych narzędzi. Wszelki postęp ułatwia i przyśpiesza dalszy postęp.”

Powiadają że źródłem kapitału jest praca, że kapitał jest nagromadzoną pracą, określenie to nie jest ścisłe, gdyż zawiera tylko jeden z czynników wytwórczych kapitału — pracę, pozostawiając na uboczu drugi czynnik, niemniéj ważny—oszczędności. Jeżeli nie jest ważniejszy, jest on równie niezbędny, a jak utrzymuje Adam Smith, bardziéj bezpośredni: „Bezpośrednią przyczyną wzrostu kapitału nie jest przemysł lecz oszczędność.” W saméj rzeczy, co to jest nagromadzona praca, czy jest to kapitał? Nie. W pustyniach Afryki widnieją piramidy, są to rezultaty olbrzymich wysiłków milionów ludzi, jestto bezwątpienia nagromadzona praca ale nie kapitał. Aby mógł on powstać trzeba, aby praca została użytą produkcyjnie, aby mogla się odrodzić

pod postacią rzeczy użytecznych, które znów przyczynią się do dalszéj produkcyi; dopóki oszczędność nie pokieruje nagromadzoną pracą tak aby została ona skonsumowaną produkcyjnie, kapitał istniéć nie może. Bardzo wiele wysiłków i pracy można zużyć bez rezultatu, albo téż nie kapitalizując ich, na zaspokojenie natychmiastowe potrzeb ludzkich; jednakże gdyby jaka generacya użyła w ten sposób całego produktu swéj pracy, nie zaoszczędziwszy nic, następna generacya rozporządzałaby już mniejszym kapitałem, gdy sam czas go zużywa i wciąż odnawianym być musi, a gdyby wszystkie generacye, które nas poprzedziły, wolały wydawać niż oszczędzać, żylibyśmy dziś w nędzy i stanie dzikości i barbarzyństwa, graniczącym z dolą dzikich zwierząt. Należy téż wytworzyć sobie jasne pojęcie o kapitale i o znaczeniu oszczędności, gdyż — jak powiada Say — „nie ma cnoty, któraby miała większy wpływ na losy ludzkie."

W. Domański.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Jana Kochanowskiego „Dzieła wszystkie.“ Wydanie pomnikowe. Tom czwarty. Część pierwsza. W Warszawie, 1884.

Na okładce wydrukowano, że książka została wydana w roku 1884. Tymczasem dzieło wyszło dopiéro przed miesiącem niespełna, we wrześniu roku 1897, czyli, że w trzynaście lat późniéj, aniżeli trzy poprzednie tomy, które istotnie wyszły w r. 1884. Czemu przypisać to opóźnienie? Na to pytanie odpowiada w „słowie wstępném” prof. Roman Plenkiewicz, co następuje: „odpowiedzialność za opóźnienie tomu IV dzieł Jana Kochanowskiego niżéj podpisany przyjmuje w zupełności na siebie. Stawiając się jednak w stanie oskarżenia wobec całego zastępu osób, które to wydawnictwo, bądź udzieleniem funduszów na jego rozpoczęcie, bądź drogą prenumeraty tak skutecznie poprzeć raczyły, ośmiela się mniemać, że, jako obżałowanemu, przysługuje prawo usprawiedliwienia się, dlaczego całe wydawnictwo naraził na tak długie lata zastoju. Życiorys J. Kochanowskiego miał zająć w tomie IV jedno z pierwszych miejsc w porządku, przez program wydawnictwa wskazanym. Do jego też skreślenia piszący przystąpił jednocześnie z wydaniem pierwszych trzech tomów, zamierzając według programu objąć w nim krótki rys życia poety i krytyczną ocenę jego utworów. W ciągu pracy jednak poczęły się ukazywać nowe prace o Kochanowskim, poczęto ogłaszać nowe materyaly do jego życiorysu, a nadto chodziło o wyzyskanie archiwum aktów radomskich, na których uporządkowanie wypadało czekać do roku 1888. Następnie

w r. 1891 pojawiła się w „Ateneum", w pracy prof. Brücknera p. t. „Nowe przyczynki do dzieł J. Kochanowskiego" wiadomość o nowowykrytym rękopisie Jana Osmólskiego, znajdującym się w Bibliotece Cesarskiéj w Petersburgu, wiadomość, równająca się odkryciu dokumentów pierwszorzędnéj wagi odnośnie do życia i twórczości Jana z Czarnolasu. Jednocześnie, w miarę uwzględnienia tych nowych źródeł, rosła i objętość pracy, a rosła w tak imponujący sposób, że z projektowanego „krótkiego rysu życia poety" przybrała olbrzymie rozmiary jednéj z najobszerniejszych monografii, jakie potrafimy wymienić w naszéj literaturze historycznéj. Gdy ukończono druk rzeczonego tomu czwartego, okazało się, że sam życiorys zajął 661 bitych stron wielkiego formatu, tak, iż okazała się potrzeba wydrukowania tomu piątego dodatkowego. Tom ten, mający zawierać rozprawy zapowiedziane w przedmowie do tomu pierwszego, oraz kilka niedrukowanych utworów piewcy Trenów, ma wyjść niebawem... Tymczasem godzi się choć kilka słów powiedzieć o czwartym, o życiorysie poety. Autor nazwał go: „Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła." Zapowiédź obiecująca! Mimo to, autor daje znacznie więcéj, niż zapowiada; bo gdyby chciał w tytule wymienić wszystko, o czém się rozpisuje w swéj pracy—niejednokrotnie rozpisując się nadzwyczaj obszernie — wtedy dzieło powinno być zatytułowane: „Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła, na tle współczesnéj epoki." To szerokie podmalowanie epoki—która jest może najpiękniejszym okresem w dziejach naszego cywilizacyjnego rozwoju — epoki, która niedarmo nazywa się złotym wiekiem, jest jedną z największych zalet książki, ale jednocześnie jest i jéj wadą także. Te wszystkie rozdziały, w których autor daje barwne obrazy Krakowa, Padwy, Wenecyi, Bolonii, Paryża, etc., a które wzięte same w sobie, są nadzwyczaj interesujące dla czytelnika, te wszystkie rozdziały włączone do książki o Kochanowskim, nadwyrężają architektonikę całości, sprawiają, że Kochanowski zamiast plastycznie występować na tle swojéj epoki, ginie wobec zbyt wielkich rozmiarów tego tła, roztapia się w niém. Ale nie można się dziwić autorowi, że to tło tak bardzo wysunął na pierwszy plan obrazu, że niezawsze podmalowując je, przestrzegał praw perspektywy. Pokusa była zbyt wielka, ażeby o téj epoce humanizmu w literaturze i renesansu w sztukach plastycznych nie rozpisać się obszerniéj! Dla piękności téj kultury włoskiéj, przeniesionéj na grunt polski, na którym tak się przyjęła, można poświęcić wiele, nawet akademicką klasyczność proporcyi! Cóż z tego, że czasem Kochanowski zniknie w obrazie swego czasu, kiedy o Kochanowskim, o jego życiu prywatném, pewnych danych posiadamy tak niewiele (nie więcéj niż o Dan-

tem lub Szekspirze), a o wieku XVI-ym da się skréślić tyle rzeczy pięknych. Czytelnik z pewnością będzie wdzięczny autorowi, czytając te zbyt obszerne rozdziały o uniwersytetach włoskich, paryskim i krakowskim, za czasów twórcy „Trenów”, a choć zgodzi się na to, że w stosunku do rozdziałów, traktujących o Kochanowskim samym, zajmują za wiele miejsca w książce, to jednak będzie rad z ich przeczytania, bo mało posiadamy dzieł, z którychbyśmy tyle mogli się dowiedzieć o wieku XVI-ym, co z téj monografii prof. Plenkiewicza. Mniéj zajmujące, jako lektura, są te rozdziały, gdzie jest mowa o „rodzie” Kochanowskiego, o jego przodkach i krewniakach, o ich ciągłych procesach z sąsiadami. Bądź co bądź, są to szczegóły: 1) nowe zupełnie, po raz pierwszy dane do poznania czytelnikowi polskiemu, a 2) niezmiernie charakterystyczne: bez tego balastu procesów, zastawów, prawnych kontraktów, etc. — słowem, bez tego balastu pieniactwa, tak znamiennego dla naszéj szlachty z czasów Kochanowskiego i Reja, książka nie dawałaby kompletnego obrazu epoki, a tém samém dawałaby o niéj pojęcie fałszywe. Jest to prozaiczna strona téj książki o poecie i jego rodzinie, ale niezbędna. Trudno, życie ludzkie, nawet życie poety, nie jest poematem, ale rzeczywistością, a w rzeczywistości nie obywa się bez prozy. Co się tyczy Kochanowskiego, to dalibyśmy wiele za to — a szczególniéj wiele dałby za to prof. Plenkiewicz — gdybyśmy o jego życiu, nawet o prozaicznej stronie onego, więcéj wiedzieli na pewno, a mniéj byli zmuszeni przypuszczać, gdybyśmy, kreśląc dzieje tego żywota, rozporządzali obfitszym materyałem historycznym, a mniéj byli zniewoleni budować na tak niepewnych fundamentach, jak hypotezy. Niestety, prawie cały żywot twórcy „Fraszek” wypada odtwarzać na podstawie mniéj lub więcéj prawdopodobnych hypotez, z których każda może budzić mniéj lub więcéj poważne wątpliwości: każda może być zakwestyonowana, przy każdéj można postawić znak zapytania. Wiemy, że Kochanowski kształcił się na uniwersytetach zagranicznych, że studyował w Wenecyi, Padwie, Bolonii i Paryżu, że podróżował po Włoszech, że w tych czasach pisał swoje łacińskie elegie, że się kochał, etc., — ale wszystko to jest spowite w tak gęstą mgłę rzeczy niepewnych, że wszystkiego domyślamy się tylko, że ciągle gubimy się w przypuszczeniach, że prawie niczego nie wiemy na pewno, a to, co uważamy za mniéj lub więcéj pewne, to najczęściéj jesteśmy zmuszeni wnioskować na podstawie dzieł poety, na podstawie jego elegii łacińskich. Wiadomo zaś, jak niebezpieczną jest ta metoda uciekania się do dzieł poety, gdy chodzi o jego życie prywatne. A jednak, chcąc jako tako odtworzyć życie Kochanowskiego, trzeba wyłącznie prawie trzymać się téj zdradliwé

metody. Czyni to téż i prof. Plenkiewicz, a godzi się przyznać na jego pochwałę, że choć domyśla się i przypuszcza — z konieczności — bardzo wiele, to jednak w większéj części wypadków zdaje się być bardzo bliskim prawdy, a przynajmniéj trafia do przekonania czytelnikowi. Z drugiéj strony, rozporządzając o wiele bogatszym materyałem, niż ten, na którym w r. 1888 oparł swą książkę o Kochanowskim prof. St. Tarnowski, miał możność obalenia znacznéj liczby hypotez, które, jak się okazało, nie wytrzymały próby nowo-odkrytych źródeł, a następnie mógł na niejedną kwestyę, przez swego świetnego poprzednika nie wydobytą z mroku niepewności, rzucić całe snopy jaśniejszego światła. Pod tym względem stanowi dzieło prof. Plenkiewicza w stosunku do dawniejszych monografii olbrzymi krok naprzód, że zaś, jako napisane językiem pięknym i czystym, nie skażonym żadnemi naleciałościami, posiada i wysokie zalety literackie, więc można tuszyć, że sobie zjedna to uznanie pośród naszego czytającego ogółu, na jakie zasługuje. *F. H.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Stanisław Kluczycki.* **Mrówki**. Szesnaście pogadanek z notatek. W Krakowie, 1897. — Nie pierwszy raz spotykam się z nazwiskiem p. Kluczyckiego. Miałem kiedyś przesłaną mi do oceny pracę jego p. t. „Niebo i ziemia" i pamiętam, że zewnętrzna strona tego wydawnictwa była bardzo wytworna. Z tém samém wrażeniem zamykam nową pracę jego. O! gdyby treść odpowiadała zewnętrznéj formie! Tym razem p. Kluczycki z „notatek" swoich dał nam „szesnaście pogadanek" o mrówkach. Wyliczył sporo gatunków, dał krótki, anatomiczny opis ich ciała, wplótł w to wszystko sporo gawędziarstwa, jakiéjś dobroduszności w opowiadaniu; ale skończywszy jego książeczkę, czytelnik nie wiele wié o mrówkach, ma jakby chaos w głowie od cytat, nazwisk i nazw łacińskich i jeszcze większy zamęt od filozoficznych refleksyi autora. Zadziwia bardzo język p. Kluczyckiego, mający zwroty zgoła nie polskie. Cała praca, w któréj znać, że z nieobrobionych była czerpana notatek, robi wrażenie rzeczy nie do druku pisanéj, ale ku osobistemu zadowoleniu. Doskonałe drzeworyty nie pomogą tu zupełnie, zarówno jak liczne cytaty i spisy autorów, pomiędzy któremi ze źdźiwieniem napróżno szukałem sir Johna Lubbocka. Pożądaném byłoby, aby autor, podejmujący się pisania dzieł popularno-przyrodniczych, więcéj dbał o czystość języka i odpo-

wiednią formę. Jest to przecież jedno z najwdzięczniejszych pól dla każdego pisarza; szkoda, że do téj pracy zabierają się czasem ludzie nie dosyć kompetentni. *K. D. S.*

= **Geschichte der Englischen Literatur von den ältesten Zeiten bis zur Gegenwart.** Von Professor Dr. *Richard Wülker.* Lipsk i Wiedeń. Instytut bibliograficzny. In 8-vo, 150 ilustracyi w tekście, 25 miedziorytów i drzeworytów, 11 tablic. — Instytut bibliograficzny zamierza wydać szereg dzieł ilustrowanych, odtwarzających dzieje piśmiennictwa wszystkich wybitniejszych narodów; rozpoczęto od literatury angielskiéj. Przedsięwzięcie tego wydawnictwa świadczy najlepiéj, że ilustrowanie dzieł naukowych, przez pewien czas zaniechane, znowu odzyskuje swoje prawa; nie miałoby ono racyi bytu tylko wtedy, gdyby tekst w książce podrzędną odgrywał rolę, służąc jedynie dla objaśnienia ilustracyi, — natomiast w wydawnictwach, nie mających charakteru wyłącznie naukowego, a przeznaczonych dla szerszych kół inteligencyi, jak to ma miejsce z omawianą przez nas książką, ilustracye stanowią niezbędne dopełnienie dzieła, dzięki im bowiem, kréślone obrazy silniéj uplastyczniają się w pamięci czytelnika; portret, *facsimile* rękopisu lepiéj odtwarzają w naszéj wyobraźni ludzi i dzieła minionych czasów, niż najbardziéj wyczerpująca charakterystyka, skréślona przez historyka literatury. — Wülker, nie rozwodząc się długo nad szczegółami, postawił sobie za zadanie opracować, na podstawie naukowych badań, dzieło dla wszystkich dostępne i z tego bez zarzutu się wywiązał. Książka czyta się z wielkiém zajęciem; autor posiada dar jasnego, barwnego wykładu i umié uniknąć tak zwykłéj u Niemców oschłości. Omawiając arcydzieła poezyi, daje krótkie ich streszczenie, co z uznaniem podnieść należy. Większa część ilustracyi została bezpośrednio z oryginałów zreprodukowaną. Prof. Wülker jest gruntownym znawcą rękopiśmiennych zabytków literatury angielskiéj; wpływał widocznie i na wybór ilustracyi. Techniczna strona wydawnictwa ze wszech miar na pochwałę zasługuje. Pomiędzy kolorowemi reprodukcyami znajduje się nie jedno arcydzieło, jak np. *facsimile* początku Kantoberyjskich powieści Chaucera, jednéj z kart kroniki Froissarda i początku Ewangelii św. Jana. Na stronie 379 znaleźliśmy mały błąd. Pierwszy niemiecki przekład „Robinsona Crusoe” Defoégo ukazał się w r. 1720 nie we Frankfurcie i Lipsku, lecz, jak najnowsze badania wykazały, w Hamburgu u sukcesorów Tomasza Wieringa.

Wł. N.

= **„Gazeta Cukrownicza”**, która w d. 2-im b. m. rozpoczęła piąty rok istnienia, ogłosiła II-gi konkurs własny, z nagrodą rs. 500, za

najlepszą pracę wydrukowaną w „Gazecie” w ciągu roku 1897/98, a względnie nadesłaną do redakcyi najpóźniéj do dnia 1 września 1898 roku i traktującą jeden z poniżéj podanych tematów:

1) Działanie trzeciéj saturacyi.

2) Działanie wapna i saturacyi na sklarowanie mączki *resp.* odcieki niższych rzutów.

3) Działanie filtracyi kostnéj na oczyszczenie soków rzadkich i gęstych.

4) Zbadanie wpływu soli wapiennych, zawartych w sokach na wydajność cukrzyc.

5) Zbadanie przyczyn obniżania się alkaliczności soków.

6) Zbadanie wpływu, jaki wywiera zawracanie odcieku od 1-go rzutu na jakość i ogólną wydajność cukru.

7) Oznaczenie kleistości soku w różnych stadyach fabrykacyi i wpływu jéj na wydajność cukru.

8) Przy jakiéj temperaturze cukru różnych rzutów wirować należy, ażeby osiągnąć najlepsze rezultaty?

9) Pogląd krytyczny na najwłaściwsze przyrządy do podnoszenia i przenoszenia burakow, wysłodzin, cukrzyc lub gęstych odcieków.

10) Znaczenie i oszczędności przy zastosowaniu sokowarów, cyrkulatorów i t. p. urządzeń, jako przedwstępnéj stacyi przy stężaniu soków.

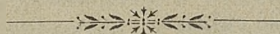
11) Urządzenie praktyczne ścisłéj kontroli ilościowéj w całym przebiegu fabrykacyi (mierniki, wagi, wodomiary i t. d.).

12) Nowe pomysły, zdążające do oszczędności w rozchodzie pary kotłowéj na fabrykacyę (para o wysokiem ciśnieniu, para przegrzana i t. p.).

Opracowane na powyższe lub w związku z niemi będące tematy—rozwiązania, oparte na własnych studyach bądź na warsztacie fabrycznym, bądź w laboratoryum, z uwzględnieniem dotyczącéj danego przedmiotu literatury i prac już ogłoszonych, winny być nadsyłane do redakcyi „Gazety cukrowniczéj” z godłem zastępującem nazwisko autora, którego podpis dołączony być winien w oddzielnéj kopercie zapieczętowanéj noszącéj toż samo godło.

Sąd konkursowy, złożony z siedmiu osób, przez redakcyę zaproszonych, mocen będzie nagrodę przeznaczoną rozdzielić w razie, gdyby z pośród prac sądzonych żadna wyróżnić się nie dała, lub gdyby znalazły się dwie lub trzy prace równéj wartości. W każdym razie nagroda pierwsza wyniesie nie niżéj dwustu rubli.

KRONIKA MIESIĘCZNA.



Rozprawa generalna czy specyalna. — Polemika bezowocna. — Różnice pozorne i istotne. — Przedmioty dyskusyi. — Konsekwencye nowego programu. — Charakter prowincyi zachodnich. — Równouprawnienie i tolerancya. — Stosunki kościelne. — Sprawy szkolne. — Administracya wewnętrzna. — Samorząd lokalny. — Reformy agrarne. — Rejestr nieskończony.

Już to po raz drugi w ciągu jednego roku doznajemy uczucia znużenia i przesytu zbyt ogólnikowemi rozprawami na temat stosunków polsko-rosyjskich.

Pierwszy taki moment był w styczniu r. b., gdy jeden z publicystów lwowskich, wzywając do zamknięcia „debaty ogólnéj”, pisał co następuje:

„Doświadczeni parlamentarzyści wiedzą to dobrze, że zbyt rozwlekła dyskusya ogólna, w razie nadmiernego rozszerzania się, albo staje się płytszą—jak rzeka, rozlewająca się na szersze obszary—albo przechodzi w ton rekryminacyjny i drażliwy, zagrażający pomyślnemu wynikowi narad” („Gazeta Narodowa”, Nr. 21).

Pewnik ten sprawdza się obecnie po raz drugi: oto znowu „Dziennik Poznański” nawołuje do zamknięcia rozprawy generalnéj i radzi przejść do specyalnéj. W rzeczy samej czas na to wielki. Zdaje się, że po obu stronach — i w prasie polskiéj i w rosyjskiéj — wyłuszczono dość obszernie i jasno *ogólne* zasady i poglądy na stosunek do państwa rosyjskiego zamieszkałych w niém Polaków i na warunki rozwoju naszego bytu narodowego.

Po stronie polskiéj zasady te sformułowane zostały tak dobitnie i zgodnie z poczuciem powszechném, ze nawet ci, którzy koniecznie pra-

gną powiedziéć coś odmiennego, po wielu kołowaniach i zastrzeżeniach, kończą najdokładniéj na tém samém, co już wielokrotnie było wypowiedziane. Nawet w poglądach na sposoby działania niema różnic istotnych: to, co się potępia, jako niewłaściwe, gdy czyni ktoś inny, staje się najzupełniéj godziwém i odpowiedniém, skoro działa sam oponent. Różnice są natury osobistéj nie rzeczowéj, porozumienie się byłoby najzupełniéj możliwe, gdyby nie podział na koterye. Ubolewać więc tylko można nad tém, że poczucie interesu publicznego nie zapanowało nad małostkowością osobistych uraz, uprzedzeń, niechęci i zawiści. Kłócąc się pomiędzy sobą o rzeczy drugorzędne, o mniéj lub więcéj udatny *modus procedendi*, chełpiąc się publicznie z tego: „żem nie jest jako ów!” — żadnych nowych faktów nie stworzymy, a natomiast osłabiamy swoją siłę na zewnątrz.

Po stronie drugiéj — w prasie rosyjskiéj — różnice są bardziéj zasadnicze. Podkładem odmiennych zapatrywań na sprawę polską są tam różnice w tendencyach ogólnych, bądź zwracających się w kierunku humanitaryzmu, tolerancyi, zaufania do sił społecznych, bądź téż opartych na zbyt ciasno pojętym unitaryzmie państwowym, na wyłączności narodowościowéj i wreszcie na wygórowaném zaufaniu do potęgi biurokracyi, do środków oddziaływania zewnętrznego, na nieufności do wszelkiéj akcyi społecznéj. Po za tém, różne pisma rosyjskie są przedstawicielami różnych interesów klasowych i poglądy ich zależne są od tego, jakiéj klasy społecznéj dany dziennik jest rzecznikiem. Tam więc różnice w poglądach są bardziéj niż u nas istotne, a ożywiona polemika, tocząca się od paru miesięcy *à propos* spraw polskich, bardziéj niż u nas usprawiedliwiona.

Jednakże i tam już spostrzegać się daje pewne wyczerpanie i kręcenie się w kółko, wobec braku materyału rzeczowego do dyskusyi. Jeszcze w stosunku do t. zw. prowincyi zachodnich tematu do rozpraw dziennikarskich dostarcza przygotowywane obecnie wprowadzenie instytucyi samorządu ziemskiego. Polemika zresztą w tym przedmiocie obraca się ustawicznie około jednego tylko punktu: czy obywateli Polaków należy równouprawnić z Rosyanami, czy też udział ich w samorządzie ograniczyć przepisami wyjątkowemi. Znając stanowisko i tendencye ogólne danego dziennika, zgóry wiedziéć można, w jakim sensie każdy z nich kwestyę tę rozstrzyga. Argumentacya stoi tu wyłącznie na gruncie politycznym, chociaż instytucye, o które chodzi, mają charakter gospodarczy. Najwyższy rozkaz o nie zmuszaniu uczniów katolików do uczęszczania na nabożeństwa prawosławne oraz o modlitwie szkolnéj, osobnéj dla każdego wyznania, zwłoka w wykonaniu

tego rozkazu w wileńskim okręgu naukowym—oto drugi przedmiot gorącéj polemiki w pismach rosyjskich w ostatnich paru tygodniach.

Ale ze stosunków w Królestwie Polskiém nie wypływa na powierzchnię rozpraw publicznych żaden fakt donioślejszy. Sprawa pomnika Mickiewicza została już w swoim czasie omówiona, a dziś powraca do niéj ustawicznie jeden tylko korespondent „Mosk. Wied.” nie znajdując zresztą posłuchu w innych organach prasy. Temat, rzucony przez p. Nabliudatiela, którego korespondencye do „Piet. Wied.” tak korzystnie odbijają od innych—mianowicie pytanie: gdzie jest granica uprawnionego wpływu języka państwowego, po za którą wtłaczać go nie należy—nie zostało dotychczas podjęte ani w prasie rosyjskiéj, ani w polskiéj. W téj ostatniéj stwierdzono tylko, że granicę tę przekroczono przy wykładzie języka polskiego w szkołach, a słuszność téj uwagi — jak słychać — uznaną została w sferach decydujących. Podjęta przez p. Straszewicza dyskusya, czy zakaz mówienia po polsku w murach szkolnych jest środkiem politycznym, czy téż—jak twierdzą niektóre dzienniki rosyjskie—pedagogicznym, nie została jeszcze rozwinięta ani ukończona.

Po za témi kwestyami—niewątpliwie pierwszorzędnéj wagi—korespondenci do gazet rosyjskich nie są w stanie dostarczyć im żadnego poważniejszego materyału do rozpraw i raportują o różnych drobiazgach, nie mających żadnego znaczenia. Niestety jednak wyznać trzeba, że i naodwrót w naszych pismach nie spotykamy prawie wcale albo bardzo mało poważnych informacyi o stosunkach rosyjskich.

Jestto brak bardzo dotkliwy, bo nieznajomość tych stosunków była w przeszłości źródłem niejednego z naszéj strony błędu, a i dziś podsyca wiele złudzeń i uprzedzeń. Prasa rosyjska ma w porównaniu z naszą jedną wielką zaletę: daleko mniéj zajmuje się polityką zagraniczną, daleko więcéj własnemi sprawami i potrzebami. Czerpiąc ztamtąd nie tylko te rzeczy, które nas bezpośrednio dotyczą, ale również informacye o donioślejszych kwestyach wewnętrznych, prasa nasza dostarczyłaby czytelnikom swoim lektury daleko korzystniejszéj i ciekawszéj od jałowych dociekań w różnych sprawach egzotycznych, nie mających nie tylko żadnego związku ale nawet żadnéj analogii ze stosunkami naszego kraju. Już samo przyzwyczajenie czytelników do poświęcania uwagi kwestyom polityki i administracyi wewnętrznéj nie pozostałoby bez pożytku i wyrabiałoby chętnych słuchaczy na tę chwilę, gdy nareszcie i my zwrócimy całą naszą pilność i gorliwość ku pracy nad poprawą narodowego i społecznego bytu.

Jeżeli w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy widzimy pewne początkowania w tym kierunku, jeżeli raz po raz na porządek dzienny rozpraw publicznych wypływa jakaś potrzeba ważna, a niezaspokojona, jeżeli tu i owdzie podejmują się pewne usiłowania do zaspokojenia takich potrzeb zmierzające, to jestto niewątpliwie skutek zmienionych warunków politycznych i prasowych, ale także i pierwsza konsekwencya jasnego uświadomienia sobie nowego politycznego programu.

Przez lat sto — rzec można — skierowywaliśmy wszystkie nasze myśli, wszystkie nadzieje do jednego celu—samodzielności politycznéj. Byłoby rzeczą więcéj niż dziwną—jak zauważyło w swoim czasie „Nowoje Wremia“ — gdyby naród mający tysiąc lat świetnéj przeszłości historycznéj, nie usiłował dźwignąć się z upadku. Ten cel główny, a niedoścignięty, zasłaniał nam wszystkie inne. Do czasu osiągnięcia tego celu odkładaliśmy załatwienie wszystkich chociażby najpilniejszych potrzeb, albo patrzyliśmy bezczynnie na to, jak je zaspakajano bez naszego udziału Ograniczyliśmy się w końcu niemal do elementów istnienia, wykluczywszy, nawet zasadniczo — w programie pracy organicznéj — pierwiastek polityczny.

A teraz, gdyśmy się przekonali, że takie, w znacznéj części przymusowe, ale w pewnéj mierze i dobrowolne, niewykonywanie pewnych funkcyi, normalnemu organizmowi właściwych, jest ciężkiem kalectwem społeczném, gdyśmy mogli i gdyśmy się zdecydowali do programu dawnego dodać paragraf o pracy, zmierzającéj do stopniowéj, możliwéj w danych warunkach poprawy i obrony bytu narodowego,— spostrzegliśmy że tych potrzeb pierwszorzędnéj wagi, kwestyi oddawna załatwionych w całéj Europie, a u nas wciąż jeszcze otwartych, jest tak wiele, że niewiadomo, doprawdy, która z nich jest pilniejszą i do któréj przedewszystkiém zabrać się należy.

Ztąd to zapewne płynie pewna dorywczość, pewien brak planu i systematu, zdradzający się w podnoszeniu rozmaitych zagadnień, potrzeb, reform i projektów. Na liście spraw, poruszonych w prasie w ostatnich czasach, napotkać można przedmioty różnéj wagi i różnego stopnia pilności.

Sprobujmy tutaj wyliczyć je sumarycznie, a może ten rejestr dopomoże do uporządkowania i rozwinięcia owéj tak pożądanéj dyskusyi specyalnéj.

Wspomnimy najpiérw o kilku faktach dokonanych, natury ogólniejszéj, *par excellence* politycznéj.

Ukaz Najwyższy z d. 27 marca st. st. r. b. znoszący kontrybucyę z majątków polskich w 9-ciu guberniach zachodnich, został wytłoma-

czony powszechnie, jako krok na drodze równouprawnienia obywatelskiego polaków, jako zapowiédź odwołania i innych ustaw wyjątkowych lub ograniczeń administracyjnych. Wyjątków od ogólnego prawa istnieje w tych prowincyach tak wiele, że musiano kilkakrotnie wydawać specyalne ich kodeksy, a i te nie zawarły jeszcze całego mnóstwa z biegiem lat nagromadzonych przepisów, okólników i instrukcyi. Pożądaném byłoby dokonać jeneralnéj rewizyi tych edyktów, które bądź nie mają należytéj podstawy prawnéj, bądź téż straciły już dzisiaj zupełnie *causam legis*, które wreszcie zniesione być powinny bodaj w imię zasady jedności państwowéj.

Prasa rosyjska uważa kwestyę polityczną w tych 9-ciu guberniach za rdzeń kwestyi polskiéj. za najgłówniejszy kamień obrazy i często bardzo zwraca się do polaków z kategorycznem: *hic Rhodus, hic salta!* Pytanie stawia się w téj formie: czy kraj ten ma być polskim czy rosyjskim, jaki pierwiastek ma miéć w nim przewagę? Publicystom rosyjskim wydaje się, jakoby to dla nas była kwestya najtrudniejsza do roztrząsania, do jawnéj i szczeréj odpowiedzi. Tymczasem samo stawianie kwestyi w téj formie jest politycznym anachronizmem. Dopóki mogło chodzić o pewną odrębność ziem polskich pod względem polityczno-państwowym, dopóty można było pytać: w jakich granicach? jak daleko ta odrębność sięgać będzie. Skoro jednak staje się na gruncie jedności państwowéj, przy uwzględnieniu jedynie praw narodowych i obywatelskich— kwestya granic upada sama przez się. W znaczeniu państwowem prowincye zachodnie są niewątpliwie rosyjskie, bo do państwa rosyjskiego należą. Ale któż może zapomniéć o tém, że etnograficznie, wyznaniowo i społecznie nie jestto kraj ani rosyjski, ani polski, lecz kraj o ludności m i e s z a n é j?

Jakiż może być stosunek nowożytnego państwa do ludności w ten sposób historycznie ukształtowanéj? O gromadnych wędrówkach narodów dziś już marzyć nie podobna, o wynarodowieniu marzyć można, ale to marzenie nieziszczalne. Nie sądzimy także, aby leżało w interesie państwa trzymać wiecznie pewną i to znaczną część ludności w upośledzeniu prawném i obywatelskiém. Jedyne rozwiązanie tkwi w równouprawnieniu pod względem praw cywilnych i obywatelskich, bo o nie tu tylko chodzi, nie zaś o jakąś hegemonię polityczną, którą wysuwają na plan pierwszy niektórzy publicyści rosyjscy, na podstawie tendencyjnych relacyi interesowanych korespondentów. Równouprawnienie obywatelskie usunie wszelkie antagonizmy i umożliwi wspólną, zgodną, cywilizacyjną pracę dla dobra państwa i kraju.

Drugi rozkaz Najwyższy, tych samych prowincyi dotyczący, uregulował kwestyę budowy i restauracyi kościołów katolickich oraz stawiania krzyżów przydrożnych. W ten sposób usunięto źródło najdotkliwszych, najboleśniejszych przykrości i zatargów, przywrócono moc zasadzie tolerancyi religijnéj, tak uroczyście w ustawach państwa wypowiedzianéj. Tym samym duchem tolerancyi nacechowany jest Najwyższy rozkaz z d. 25 czerwca st. st. r. b. o uwolnieniu uczniów katolików od udziału w nabożeństwach i w modlitwie szkolnéj według obrządku prawosławnego. Zastosowanie tego rozkazu napotkało w praktyce na pewne trudności ze strony władzy szkolnéj, tak w wileńskim jak i w warszawskim okręgu naukowym, jak to ogłosił „Warsz. Dniewnik”, ale wątpić nie podobna, że trudności te zostaną wkrótce usunięte. Aby skończyć już tutaj ze sferą stosunków kościelnych i wyznaniowych, wspomnimy jeszcze o obsadzeniu wakujących katedr biskupich, o otwarciu zamkniętego seminaryum w Kielcach i wreszcie o przywróceniu nowicyatu oo. Paulinów w Częstochowie i usunięciu koszar z tamtejszego klasztoru. Fakty te mogą tylko wywołać uznanie dla dobréj woli władz decydujących, ale materyału do dyskusyi nie nastręczają. One tylko przywracają spokój i budzą ochotę do pracy.

Bardzo natomiast obfitego materyału do rozpraw i opracowań dostarczyła i niewątpliwie jeszcze dostarczy sfera stosunków szkolnych w Królestwie Polskiém. Zmiana w naczelném kierownictwie okręgu naukowego dała powód do oczekiwania doniosłych reform w téj dziedzinie. Jakoż w prasie naszéj poruszono już wiele kwestyi szkolnych choć może nie dość jeszcze wyczerpująco. Zwrócono więc przedewszystkiém uwagę na dotkliwy brak wystarczającéj liczby zakładów naukowych, a zwłaszcza szkół średnich. Brakowi temu władza szkolna stara się częściowo zaradzić przez otwieranie klas równoległych. Powstało téż świéżo kilka prywatnych szkół zawodowych, mianowicie technicznych i handlowych. Co do tych ostatnich, uznano za konieczne odstąpić w niektórych punktach od ustawy ogólnéj dla całego państwa. Żałować należy, że przed rozstrzygnięciem téj kwestyi, motywy owych zmian nie zostały podane do wiadomości publicznéj; być może, potrafilibyśmy usunąć obawy i nieufność do udziału społeczeństwa w sprawie wykształcenia handlowego.

Zwrócono daléj uwagę na braki w zakresie wykształcenia wyższego. Toczy się właśnie obszerna dyskusya w prasie o potrzebie założenia w Warszawie szkoły politechnicznéj. Były wątpliwości co

do tego, czy zakład taki należy otwierać wpiérw, zanim należyta organizacya średniego wykształcenia technicznego przygotuje dostateczną ilość techników średniéj kategoryi, ale ostatecznie dla wszystkich stało się oczywistem, że zakład techniczny wyższy jest tak samo niezbędny jak szkoły średnie.

Jeden z pedagogów, zapytywany w téj kwestyi przez korespondenta „Kraju”, zwrócił uwagę na zupełny brak u nas średnich szkół rolniczych i niedostateczność wogóle zakładów w tym kierunku. W jedynym na cały kraj wyższym instytucie rolniczym w Nowéj-Aleksandryi liczba studentów polaków ograniczona jest do pewnego procentu. Szkoła niższa w Sobieszynie kształci uczniów kilkunastu — szkoły średniéj nie ma wcale. I to w kraju od wieków przeważnie rolniczym!

Nie lepiéj mają się rzeczy ze szkołami wiejskiemi. Oto co pisze w „Kraju” p. Juliusz Werner: „Wskutek zakazu nauczania języka polskiego i nie wykładania religii przez księży katolickich, włościanie stracili ochotę zakładania szkółek nowych, a do istniejących zaprzestali prawie zupełnie dzieci posyłać. Skutkiem świąt obu obrządków, dni galowych i feryi, nauka trwa zaledwie kilka tygodni w roku, tak że dziecko zapomina w lecie tego, czego się z trudnością nauczyło w zimie. Śmiało więc rzec można, że u nas szkółki wiejskie istnieją tylko na papierze,”

Wielu brakom szkolnym dałoby się może zaradzić, gdyby istniały u nas —jak pragnie „Gazeta Polska”—komisye szkolne, na wzór tych, jakie działają przy ziemstwach, albo gdyby w radzie kuratora okręgu naukowego zasiadali nietylko urzędowi przedstawiciele szkolnictwa, lecz także obywatele i pedagogowie Polacy.

Stosunki, panujące w uniwersytecie warszawskim, wywołały kilka uwag w „Bibliotece Warszawskiéj”, na które obszernie odpowiada w „Warsz. Dniewniku” rektor uniwersytetu, prof. Zenger. Polemika jeszcze nie ukończona, ale ciekawa i pouczająca — wypadnie nam zapewne do niéj powrócić.

Jedną z kapitalnych kwestyi w dzisiejszym systemie szkolnictwa jest sprawa wykładu języka polskiego. Dotychczas język ten wykładano po za godzinami normalnemi, udzielano mu mniéj godzin niż podług prawa należy, nie trzymano się programu wydanego przez b. kuratora Witte'go, ograniczając się do osławionych wypisów Dubrowskiego, nieaprobowanych zresztą nawet przez ministeryum. Nadto język polski wykładano po rosyjsku, a wykładali go nie filologowie specyaliści, lecz nauczyciele bez odpowiednich kwalifikacyi. Na skutek

skarg powszechnych, władza szkolna poleciła już, by w każdym zakładzie naukowym specyalna komisya obmyśliła sposoby zreformowania nauki języka polskiego i wypracowała programy dla podręczników. W koncesyach, udzielanych teraz łatwiéj na szkoły prywatne, wykład religii i języka polskiego pozwolono prowadzić po polsku. Prasa zwróciła wszakże uwagę na brak zupełny nauki języka polskiego w warszawskiéj szkole ogrodniczéj i w łódzkiéj szkole technicznéj.

Po za tém, w dziedzinie stosunków szkolnych rzeczą najważniejszą jest dobór odpowiedniego personelu nauczycielskiego. Nie jest tajném nikomu, że dotychczasowa obsada stanowisk pedagogicznych w naszym kraju pozostawiała wiele do życzenia. Nauczyciele Polacy byli zupełnie przy nominacyach wykluczani, a stąd i młodzież nasza przestała dążyć do zawodu pedagogicznego. Należy się spodziéwać, że i w tym kierunku nastąpią zmiany na lepsze, i że tylko długotrwała choroba p. kuratora okręgu opóźnia pożądane reformy.

Niemniéj obszerny dział i przedmiot do zastanawiania się nad możliwą poprawą stosunków — przedstawiają zadania administracyi wewnętrznéj kraju. Sama kwestya bezpieczeństwa publicznego, zagrożonego przez pomnożenie kradzieży, rozbojów, bójek na noże i t. d może być przedmiotem osobnego studyum.

Do zapewnienia tego bezpieczeństwa nie przyczynia się bynajmniéj obowiązujący dotąd w Królestwie system pasportowy. Podczas gdy w Cesarstwie zastąpiono już pasporty przez książeczki legitymacyjne, u nas, gdzie reforma byłaby daleko łatwiejsza, bo książeczki takie mamy już oddawna, obowiązek wyjednywania pasportu utrzymuje się bez zmiany. Pasport obok książeczki legitymacyjnéj nie służy dziś do niczego, bo wiadomo z doświadczenia, że osoby podejrzane i ukrywający się przestępcy mają zawsze pasporty w porządku. Prasa nasza powinnaby pilnie i wytrwale domagać się uwolnienia spokojnych obywateli od pasportowéj mitręgi.

W zarządach gubernialnych, skupiających w sobie liczne sprawy administracyjne i gospodarcze, byłoby zapewne wiele do naprawienia, tak samo jak w magistratach, będących instytucyą ułomną od urodzenia, wytworzoną zupełnie przypadkowo w czasach politycznego niepokoju. Nad poprawą wszakże téj instytucyi łamać sobie głowy nie warto, wobec uznanéj już konieczności zastosowania do Królestwa ustawy o samorządzie miast.

Samorząd miejski i ziemski—oto niewyczerpana kopalnia do studyów i rozpraw publicznych. Ziemstwa powiatowe i gubernialne utworzą ściany i kopułę na fundamencie istniejącego już od lat trzydziestu zgórą samorządu gminnego. Natchną one może tę zasadniczą komórkę administracyi samorządnéj i państwowéj życiem prawdziwém i normalném. Dziś bowiem naprawdę samorząd gminy jest fikcyą, wobec rzeczywistego samorządu władzy powiatowéj, wyznaczającéj pisarzy gminnych i wójtów jedynie do wykonywania swoich rozporządzeń.

Na ten absolutyzm naczelników powiatu skarżyli się ziemianie nasi w memoryałach, podawanych Naczelnikowi kraju w czasie Jego podróży inspekcyjnéj. Skarżyli się także na brak porządnych środków komunikacyi, ku naprawie których potrzebna jest nowa ustawa drogowa i sumienni jéj wykonawcy. Najgłośniéj wszakże skarżyli się na serwituty.

Ta opłakana instytucya, wywołująca tyle zatargów agrarnych, będąca prawdziwą klęską ekonomiczną i społeczną, ma być podobno nareszcie zniesiona. Przygotowuje się podobno odpowiedni projekt w kołach rządowych i ma być wniesiony na najbliższą sesyę prawodawczą.

Drugą przygotowywaną reformą, wielkiéj wagi dla naszych rolników, jest ustawa o ochronie lasów. W prasie naszéj ogłoszono w téj sprawie kilka artykułów, wyrażających obawę, aby nowe prawo nie odbiło się ujemnie na dobrobycie materyalnym większych właścicieli ziemskich. To samo stosuje się i do prawa o zniesieniu propinacyi.

W zakresie stosunków włościańskich — oprócz oświaty ludowéj, do rozkrzewienia któréj mają się przyczynić projektowane biblioteki ludowe, i oprócz uregulowania serwitutów, pozostaje zawsze niezałatwiona sprawa normalnego ustroju gospodarstwa drobnego, a to za pomocą komasacyi rozrzuconych w szachownicę gruntów i zaokrąglenia ich w prawidłowe kolonie. W tym właśnie kierunku miał działać bank włościański, ale instytucya ta, zredukowana do czynności biurokratycznych, pozbawiona pomocy i współudziału żywych sił społecznych, nie spełnia bynajmniéj swego zadania, owszem częstokroć przyczynia się do jeszcze większego powikłania stosunków własności ziemskiéj. Bank ten mógłby także zdziałać wiele dobrego dla urządzenia gruntowego t. zw. drobnéj szlachty, ale ta kategorya drobnych posiadaczy rolnych została od prawa do pożyczki bankowéj odsunięta.

Spoglądając na przygotowaną notatkę z wyliczeniem ważniejszych tylko spraw publicznych, nadających się do opracowania i roztrząsania, widzę, jak daleko mi jeszcze do końca.

Trzebaby przecie dotknąć sądownictwa, kwestyi podatkowych, spraw hygieny publicznéj, stosunków handlowych i przemysłowych, działalności filantropijnéj, stowarzyszeń, wreszcie warunków, potrzebnych do rozwoju literatury i sztuki. Pozostawiam to do dalszéj na tém miejscu gawędy.

Z tego, com już przytoczył, rozważny czytelnik zdoła ocenić, jak wielkie jest u nas pole rzeczywistéj, realnéj, politycznéj pracy i o ile polityka w tym mianowicie sensie może dostarczyć więcéj zadowolenia osobistego i publicznego pożytku, aniżeli najzjadliwsze polemiki o zasady ogólne.

Ludomir Grendyszyński.



Wydawca: *W. Spasowicz.*
Za Redakt.: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Октября 1897 г. — Druk Jana Cotty.

OGŁOSZENIA.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

1. *Wanda Grot-Bęczkowska.* **Kędy droga?** Powieść współczesna. Warsz., nakł. księg. Dubowskiego i Gajewskiego, 1898, 8-vo, str. 448.
2. *Kazimierz Laskowski.* **Chłopska dola.** Z notatek hreczkosieja. Warsz., nakł. księg. Dubowskiego i Gajewskiego, 1898, 8-vo, str. 66.
3. *Adolf Dygasiński.* **Nędzarze życia.** Warsz., nakł. księg. Dubowskiego i Gajewskiego, 1898, 8-vo, str. 107.
4. **Encyklopedya rolnicza** wydawana nakładem Muzeum przemysłu i rolnictwa. Zeszyt LXX. Warsz., 1897, skład głów. w księg. Gebethnera i Wolffa.
5. **Program** ces.-król. Szkoły politechnicznéj we Lwowie na rok nauk. 1897/98. Lwów, 8-vo, str. 102.
6. *Piotr Czarkowski.* **Głosownia polska.** Warsz., 1897, str. 42.
7. *Ferdynand Hösick.* **Juliusz Słowacki** (1809—1849). Biografia psychologiczna. Trzy tomy. Kraków i Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1897, 8-vo, str. XII, 428, 318 i 417.
8. **Współczesna Syberya** przez *Władysława Stadnickiego.* Z mapą Syberyi. Kraków, u G. Gebethnera i S-ki, 1897, 8-vo, str. 161.
9. *A. Ciszewski*, budowniczy. **Pośpieszne suszenie** nowych domów murowanych. Warsz., księg. Gebethnera i Wolffa, 1897, str. 16 (cena kop. 10).
10. *Jana Kochanowskiego* **Dzieła wszystkie.** Wydanie pomnikowe. Tom czwarty, część pierwsza. Warsz., 1884, str. VII i 674.
11. **Dzieła Aleksandra hr. Fredry** wydał dr. *Henryk Biegeleisen*, tomy III, IV i V. Warsz., księg. G. Centnerszwera, 1897, 8-vo, str. 211, 343 i 233.
12. **Bąk**, kalendarz satyryczno-humorystyczny na rok 1898. Warsz., nakł. księg. St. Sadowskiego, 8-vo, str. 79 tekstu i 19 str. ogłoszeń.
13. *Leon Dembowski.* **Moje wspomnienia.** Tom I. Petersburg, nakł. księg. K. Grendyszyńskiego, 1898, 8-vo, str. 384.
14. **Książka zbiorowa** ku uczczeniu pamięci **Adama Mickiewicza**, w stuletnią rocznicę urodzin poety. Petersburg, nakł. księg. Grendyszyńskiego, 1898, 8-vo, str. 218.
15. **Józef Korzeniowski**, jego życie i działalność literacka. Zarys biograficzny przez *Piotra Chmielowskiego* (Życiorysy sławnych Polaków, Nr. 3). Petersb., nakł. księg. Grendyszyńskiego, 1898, 8-vo, str. 133, z portretem (cena kop. 30).
16. *Jerzy Mycielski.* **Książę „Panie Kochanku."** Studyum historyczne. Petersb., nakł. księg. Grendyszyńskiego, 1898, 8-vo, str. 200. Wydanie 2-gie.
17. *I. L. Goremykin.* **Zarys historyi włościan w Polsce.** Przekład *Adama Dobrowolskiego.* Petersb., nakł. księg. Grendyszyńskiego, 1898, 8-vo, str. 232.
18. *Aleksander Mańkowski.* **Moja Helenka.** Powieść współczesna. Petersb., nakł. Grendyszyńskiego, 1897, 8-vo, str. 327.
19. *Wacław Pomian.* **Sonata wiosenna.** Warsz., 1897, str. 13.
20. **Święte i świątobliwe niewiasty polskie.** Warsz., 1898, str. 96.
21. *Klemens Junosza.* **Powtórne życie.** Nowele. Wilno, nakład i druk Józ. Zawadzkiego, 1897, 8-vo, str. 248.
22. **Sto lat dziejów malarstwa w Polsce, 1760—1860**, napisał dr. *Jerzy Mycielski.* Krak., skład gł. w księg. Spółki wydawniczéj polskiéj, 1897, 8-vo, str. XXX i 738.
23. **Gaetano Chiaveri** w Polsce i jego książka szkiców. Napisał dr. *Jerzy Mycielski.* Krak., 1896, 8-vo, str. 23 (z rysunk.).
24. **T. L. Burattiniego Miara Powszechna.** Traktat wydany w r. 1675 w Wilnie po włosku, a obecnie przetłómaczony na polski. Kraków, nakł. Akademii Umiej., 1897, 8-vo, str. VI i 32 (z 4-ma tabl. rys.).
25. **Breve noticia** sobre Honduras. Datos geográficos, estadísticos e informaciones práticas. *Manuel Lemus y H. G. Bourgeois.* Tegucicalpa, 1897, 8-vo, str. 39.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.